

De. II 1

TOM CCLVII.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 770.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

L U T Y.

1905.

---

TOM I. — ZESZYT 2.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1905.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. ISTOTA, NASTRÓJ ZASADNICZY I ZNACZENIE ROMANTYZMU,— przez prof. <i>H. Struvego</i> . . . . .	205
2. PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	225
3. NOWA TEORIA ZADAŃ SPOŁECZNYCH MACIERZYŃSTWA, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . . . .	255
4. NIEDOKONANY UTWÓR LEONARDA DA VINCI.—przez <i>Jana Ładę</i>	262
5. MŁODOŚĆ SŁOWACKIEGO, — przez <i>Tadusza Grabowskiego</i> (dok).	279
6. CZYTELNICTWO WŚRÓD STUDENTÓW UNIwersYTETU WAR- SZAWSKIEGO, — przez <i>Konstantego Krzczakowskiego</i> . . .	320
7. DRUKI LITEWSKIE, — przez <i>Michała Brensztejna</i> . . . . .	349
8. PIŚMIENICTWO:	
SZYMON ASKENAZY: Książę Józef Poniatowski, — przez <i>A. R.</i> . . . .	365
F. KUCHARZEWSKI: Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed ro- kiem 1875, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . . . .	376
E. PRATT: The organisation of Agriculture, — przez <i>Adama Krzyża- nowskiego</i> . . . . .	379
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Pierwsze w kraju muzeum higieniczne w Częstochowie.—Biblioteki w miastach prowincjonalnych.—Decentralizacya towa- rzystw rolniczych.—Biuro pośrednictwa pracy.—Kon- kurs dramatyczny Tow. teatralnego w Łodzi.—Wspo- mnienia pozgonne: Ś. p. Maksymilian Jackowski. — ś. p. Wacław Pawliszak.—Ś. p. prof. Henryk Wernic.	384
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	401



De. II. 1.

## Istota, nastrój zasadniczy i znaczenie romantyzmu.

Z powodu książki Tadeusza Sierżputowskiego: „Romantyzm polski, jego fazy, istota i skutki. Próba syntezy, uzupełniona rozbiorem literatury krytycznej, poświęconej temu przedmiotowi.” Lwów. Księgarnia Narodowa. 1905. Str. VIII i 278.

Zdaje się, że zarówno materjalizm, jak i spokrewniony z nim pozytywizm ze swemi dążnościami nietylko na polu filozofii, ale i literatury wogóle, oraz życia, ustępują i u nas coraz bardziej żywszym prądom idealistycznym. Wiadomo dobrze, że zwrot taki w zakresie filozofii jest dzisiaj powszechnym, dzięki szczególnie wynikom krytycyzmu Kanta, który uwagę myślicieli od świata zewnętrznego zwrócił ku wewnętrznemu życiu człowieka, jego treści umysłowej, a przez to rozbudził na nowo dążności, mające na oku zaspokojenie idealnych potrzeb ducha.

Rozumie się samo przez się, że wobec zdobyczy wiedzy przedmiotowej ostatnich czasów, a w szczególności wskutek postępów przyrodoznawstwa, mowy być nie może o zwrocie do dyalektycznego idealizmu, jaki się w początkach 19-go wieku wywiązał z filozofii Kanta, wywołując następnie reakcyę materjalizmu i pozytywizmu. Dzisiaj, żaden głębszy myśliciel nie lekceważy już badań przedmiotowych, ani nie buja po przestworzu ducha bez szukania oparcia o realny grunt wiedzy i życia. Jeżeli tedy dążności, mające na widoku przedewszystkiem świat zewnętrzny, o ile swemi zjawiskami oddziaływa na zmysły nasze, nazwiemy wogóle *realizmem*, to o jego zupełnem wyrzeczeniu się na korzyść abstrakcyjnego idealizmu dziś nikt zgoła na seryo myśleć nie może. Zwolennicy idealizmu, w najrozlicniejszych, filozoficznych

i życiowych jego odcieniach,—nie wyłączając przedstawicieli wznowionego heglizmu,—domagają się dziś tylko wyrównania swych dążeń z uprawnionym realizmem; domagają się tedy w gruncie rzeczy owej syntezy, która faktycznie jest daną w samym człowieku i w dziejowym rozwoju jego życia umysłowego, a której teoretyczne sformułowanie przedstawia dotąd jeszcze tyle trudności, dla tego, że znajdujemy się ciągle pod wpływem owych jednostronnych kierunków: bądź realizmu, wyłączającego idealizm, bądź idealizmu, wyłączającego realizm.

Wahadło dziejów ciągle nanowo zaznacza ruch umysłowego życia człowieka pomiędzy temi dwiema ostatecznościami, wynikającymi z przyrodzonej przeciwstawności jaźni ludzkiej i jej przedmiotowego otoczenia. Czas jednak pomyśleć w końcu o zasadniczej jedni samego ustroju bytu, który taki a nie inny ruch w rozwoju ducha ludzkiego powoduje. Synteza, określająca bliżej tę jednię, staje się coraz bardziej potrzebą filozoficznej świadomości człowieka i ujawnia się też coraz dobitniej we wszystkich dziedzinach życia umysłowego, a więc i w zakresie twórczości artystycznej i poezji.

Na tem polu przeciwstawność między podmiotem i przedmiotem, jaźnią i jej otoczeniem, a więc między idealizmem i realizmem,—przybrała konkretną formę dziejową antagonizmu między *romantyzmem* i *klasycyzmem*. W samej rzeczy, jeżeli zdamy sobie sprawę z właściwej istoty tych dwóch prądów twórczości, natenczas spostrzeżemy łatwo, że romantyzm opierał się zawsze na podmiotowych czynnikach jaźni, na jej treści idealnej, podczas gdy klasycyzm miał przeważnie charakter przedmiotowy i kładł główny nacisk na formę utworu w przeciwstawieniu do jego treści. A jeżeli w zakresie filozofii *synteza* idealizmu i realizmu jest niewątpliwie najważniejszym zadaniem przyszłości, coraz głębiej pojmowanym,—to należyte wyrównanie podmiotowych i przedmiotowych czynników twórczości artystycznej staje się również koniecznością dziejową i uwydatnia się wyraźnie we współczesnych dążnościach sztuki i poezji, wahających się dotąd ciągle pomiędzy owemi ostatecznościami.

Prawda, że na tem polu synteza nie daje się urzeczywistnić prostem teoretyzowaniem, najgłębszemi nawet badaniami estetycznemi nad wzajemnym do siebie stosunkiem treści umysłowej, idealnej utworu i jego formy zmysłowej, realnej. Tylko w bezpośrednich utworach geniuszu może być urzeczywistnioną ta wyglądana synteza z należytą prawdą i pełnią. Pomimo to i teoretyczny rozbiór owych przeciwległych kierunków twórczości na tle

ich dziejowego rozwoju może się skutecznie przyczynić do postępu sztuki i poezyi. To też z tego stanowiska pożądane są wszelkie studia, wnikające głębiej w istotę jednego lub drugiego z tych kierunków i zdające sobie sprawę z ich wzajemnego do siebie stosunku.

## I.

Takie studjum, godne ze wszech miar uwagi, ogłosił autor wymienionej na czele książki, *Tadeusz Sierzputowski*. Ma on wprowadzić głównie na oku *syntezę* samego romantyzmu, ale dochodzi do niej na podstawie porównania tego prądu twórczości z klasycyzmem. A chociaż studjum jego nosi napis: *Romantyzm polski*, to jednak opiera się na ogólnym rozwoju romantyzmu i usiłuje określić istotę, t. j. zasadniczy nastrój umysłowy tego prądu. Przypatrzmy się tedy tej pracy nieco bliżej i zobaczymy o ile się przyczynia do rozwiązania jasno postawionej kwestyi.

Książka T. Sierzputowskiego rozpada się na pięć rozdziałów. Pierwszy (str. 1—36) zawiera ogólny pogląd autora na poezję zachodnio-europejską ze szczególnem uwzględnieniem epoki pseudoklasycznej oraz romantyzmu niemieckiego, angielskiego i francuzkiego. Drugi rozdział (str. 37—136) obejmuje starannie opracowany przegląd krytyczny literatury, dotyczącej romantyzmu polskiego, poczynsz od pracy *Wężyka* z r. 1815 aż po obecną chwilę. Trzy zaś ostatnie rozdziały poświęcone są głównemu przedmiotowi całej pracy, t. j. syntetycznemu poglądowi na istotę romantyzmu, mianowicie polskiego i na znaczenie jego w porównaniu z objawami klasycyzmu. Stosownie do naszego założenia zatrzymujemy się tu głównie na tej kwestyi zasadniczej co do istoty i znaczenia romantyzmu.

Rozbiór tej kwestyi zagaja autor temi słowy (str. 139): „Pomimo mnóstwa, jakie widzieliśmy, prac różnej objętości, poświęconych wyjaśnieniu romantyzmu polskiego, zauważyliśmy, że zupełnej i wyczerpującej definicyi naukowej tego rodzaju poezyi nie dał nikt. Mało kto, zresztą, kusił się o nią, a ci, którzy to czynili, byli albo zbyt jednostronni, jak *Kaczkowski*, opierający się tylko na stronie społeczno-politycznej i *Cegielski*, określający za Heglem tylko filozofię romantyzmu, — albo też żyli zawcześnie, aby mogli objąć całokształt prądu, jak *M. Mochnacki*.”

Ten ustęp nasuwa nam przedewszystkiem pytanie, dla czego w owem „mnóstwie“ autor nie uwzględnił poglądów na roman-

tyzm współczesnych znakomitych badaczy historii naszej literatury, ani *Spasowicza*, ani *Chmielowskiego*, ani *Tarnowskiego*, ani *Brücknera*? Oni to już chyba byli w lepszym położeniu niż Mochnicki i mogli objąć całokształt prądu romantycznego. Dla czego o ich poglądach nie ma mowy wcale?

Autor usprawiedliwia wprawdzie swoje milczenie w tym względzie co do trzech pierwszych, — a do nich i *Brücknera* zaliczamy, — tą okolicznością, że nie napisali dzieła, należącego wprost do tak zwanej „literatury przedmiotu,“ a nadto mówi, że „*compendia* ich poglądów na historię i na poszczególne kwestye literatury naszej zbyt są znane, aby zachodziła potrzeba streszczać je i rozbierać na tem miejscu (str. 136).“

Usprawiedliwienie to nie wydaje się nam wystarczającym, bo choć wzmiankowani badacze nie ogłosili monograficznych studyów nad romantyzmem polskim, to jednak w swych obszernych dziełach dotknęli tego kierunku twórczości w sposób dość wyczerpujący, więc ze wszechmiar zasługiwali na uwzględnienie. A jeśli ich odnośne poglądy są powszechnie znane, to mógł je autor tem treściwiej przedstawić, nie wyrzekając się jednak ich rozbioru ze swego stanowiska, jak to czynił z całą pozostałą literaturą przedmiotu. Skłonni tedy jesteśmy do zdania, że raczej skromność młodego autora była istotną przyczyną, że nie zajął się krytyką owych „wielorybów,“ — jak się wyraża, — w przedmiocie historii literatury polskiej, lecz rozwinął wprost swój własny pogląd na istotę i znaczenie romantyzmu.

Ponieważ, według trafnej uwagi autora, żaden prąd historyczny nigdy nie ujawnia się w stanie czystym, typowym, lecz zawsze zawiera w sobie pewne resztki prądów panujących przed nim i zarazem nosi w swem łonie przyszłość, więc pewne zawiązki nowych prądów, przeto o ścisłych definicyach historycznych, na wzór definicyj matematycznych, mowy być nie może. Tu tylko znajomość historyczna stopniowych przemian może nas przekonać o pewnej wspólności ideowej i formalnej szeregu objawów i doprowadzić do wyjaśnienia ich cech charakterystycznych. Dla tego też autor jak najstuszniej wyprzedził określenie istoty i znaczenia romantyzmu polskiego poglądem na różne fazy jego rozwoju i z nich dopiero wyprowadza wnioski co do zasadniczych czynników tego objawu.

Sierżputowski rozróżnia cztery fazy czyli epoki romantyzmu polskiego (Rozdział III-ci, str. 137—184).

Pierwsza epoka od r. 1816 do 1822 obejmuje przeważnie panowanie wpływów niemieckich, gdy *Brodziński* swe poglądy teo-

retyczne czerpał ze *Schlegla*, a *Mickiewicz* wprost z samej poezji niemieckiej. Naturalnie, że nie brak w tej epoce i innych, drugorzędnych objawów tego wpływu niemieckiego, szczególnie w ówczesnej baladomanii. Wogóle jednak uwydatnia się w tym pierwszym okresie zwrot do ludowości z dążeniem odbicia narodowości w literaturze, a z tem łączy się szczerą wiarą poetów w utwory fantazyi ludowej.

Druga epoka od r. 1823 (ukazanie się „*Dziadów*“) do r. 1831 (pierwsze utwory *Słowackiego*), zaznacza zbliżenie się poezji polskiej do autorów romantycznych angielskich, zwłaszcza do *Byrona* i poczęści do *Waltera Scotta*. Przytem jednak ujawnia się widoczny postęp od ludowości i narodowości do patryotyzmu. Ten ostatni uwydatnia się teraz już bardziej dosadnie, szczególnie w malowidłach przeszłości. Nadto występuje w tym okresie pierwiastek, nieznanym ani Anglikom, ani Niemcom, a mianowicie oryginalny odcień cichego smutku, który często przechodzi w głęboką melancholię, a który towarzyszy i późniejszym fazom romantyzmu polskiego. Smutek ten dźwięczy w „*Sonetach krymskich*,“ czuć go w dumkach *Zaleskiego*, ale z największą siłą przejawia się w „*Maryi*“ *Malczewskiego*. W talentach drugorzędnych żyją jeszcze i rozwijają się cechy okresu poprzedniego.

Trzecia jest epoką najwyższego i najoryginalniejszego rozwoju romantyzmu polskiego od r. 1832 (III-cia część „*Dziadów*“) do 1848 (ostatni „*Psalm*“ *Krasińskiego*). Tu patryotyzm gorący, płomienny łączy się z żądzą czynu i poświęcenia własnego „ja“ na ołtarzu dobra ogólnego. I w pierwszym okresie, oraz poprzednio u Legionistów występował ten czynnik, ale z małemi wyjątkami w sposób dość jeszcze nieudolny i błady. Nadto i w drugim okresie przemawiało to uczucie patryotyczne silniej i artystycznie, szczególnie w pieśniach filareckich, a zwłaszcza w „*Konradzie Wallenrodzie*.“ Ale patryotyzm Wallenroda ma charakter byroniczny, nie jest oryginalnie polskim; takim staje się poraz pierwszy dopiero w niektórych utworach mniejszych *Słowackiego* z r. 1831 i w drobnych utworach *Mickiewicza* z r. 1830–31.

Tym duchem przejęte są najwydatniejsze utwory tego okresu, *Mickiewicza*, *Krasińskiego*, *Słowackiego* i wielu innych, drugorzędnych poetów. Ale wraz z tem uczuciem patryotycznym wzmagają się i ów cichy smutek, o którym powyżej mowa była. Poeci pocieszają się wprawdzie wiarą w przyszłość, w przyjście królestwa Bożego na ziemi; wogóle uznają wyższość uczucia nad rozumem, przejmują się swem posłannictwem proroczem, i dzięki temu dochodzą do mistycyzmu i mesyanizmu. Atoli wszystkie te

pociechy nie przewyciężają owej głębokiej melancholii, która nimi zawładnęła i ich nie opuszcza w najwspanialszych utworach. Obok tych najwydatniejszych cech występują tutaj i inne drugorzędne, wykazujące wpływ to *Shakespeare'a*, to *Dante'go*, *Ariosta*, *Calderona*, *Chateaubrianda*, *W. Hugo* i innych, szczególnie francuzkich poetów.

Nareszcie, okres czwarty jest okresem przekwitu romantyzmu od r. 1840 do 1864. Jestto romantyzm krajowy, rozwijający się po części równolegle z emigracyjnym i przeżywa go jeszcze szeregiem lat. Był on także dosyć oryginalnym, nie miał wiele wspólnego z literaturami obcemi, ale był to już okres upadku. Wynoszono wprawdzie wysoko wszystko, co swojskie, co ojcyste, ale czyniono to i odnośnie do najbardziej ujemnych stron życia. Więc zachwycono się nawet brudnymi drogami, mostkami połamanemi, chatami kurnemi ze strzechami nawpół zniszczonemi i t. p. Z dziejów zaś dawnych wychwalano szczególnie burzliwe sejmiki i sejmy, pijatyki, prawo pańszczyźniane, władzę batoga i t. d.

Do najbardziej gorliwych apologetów tego rodzaju objawów należeli *Henryk Rzewuski* i *Wincenty Pol*. Ujawnia się u nich znaczne obniżenie polotu poetyckiego oraz obniżenie pojęcia o powołaniu i zadaniach poety. Inne grupy poetów krajowych doszły do ekstrawagancyi pod innemi względami. Drudzy, jak np. *Zmorski*, powrócili do romantyczności pierwotnej, wznowili duchów, czary, upiory i doszli w tym kierunku do absurdów. Drobną część tylko poetów wytknęła sobie cele zupełnie nowe, jak *Lenartowicz*, który wyśpiewał prześliczne pieśni, osnute na motywach mazurskich; jak jego rówieśnik litewski, *Syrokomla*, „lirnik wioskowy“, jak *Włodzimierz Wolski*, który z zupełną świadomością wprowadzał do poezyi tendencye demokratyczne. „Ale, dodaje autor (str. 183), ci, najzdrowsi, rzec można, przedstawiciele romantyzmu polskiego krajowego, który właściwiejby było *zaściankowym* nazwać, i liczebnie i szczerpłym zakresem swych wpływów nie mieli tego znaczenia, co tamci i nie oni charakteryzują tę fazę, fazę romantyzmu *wybujałego i przekwitłego*.“

## II.

Powyższa charakterystyka stanowi tło, na którem autor określa bliżej istotę i znaczenie romantyzmu polskiego. Tło, jak widzimy, staramie i z wszechstronną znajomością rzeczy dobrane.



Może ten lub ów wśród samodzielnych badaczy historii literatury naszej nie zgodzi się na powyższy podział, ani na oświetlenie, w jakim tu różne epoki tego objawu twórczości przedstawiono. Ale, ogółem wzięwszy, obrazowi autora nie można odmówić trafności, a charakterystyka jego obejmuje wszystkie wydatne momenta, jakie znakomici dziejopisarze naszej literatury w poezji romantycznej wykazali. Więc „próba syntezy,“ czyli ostatecznego określenia istoty romantyzmu na tej szerokiej podstawie okazuje się zupełnie uprawnioną.

Poświęca jej autor rozdział czwarty (str. 185 — 242), stanowiący jądro całej pracy. Tu zajmuje się przede wszystkim charakterystyką *pseudoklasycyzmu*, aby jasno przedstawić stan rzeczy, przeciwko któremu wystąpiła reakcja romantyczna. Autor powołuje się w tym względzie głównie na znane dzieło *Taine'a*, „*L'ancien régime*“ i według niego rozwija wydatne rysy szczególnie francuskiego klasycyzmu, który i u nas był wzorem dla tego kierunku twórczości. Rutyna, brak życia, prostoty, szczerości i naturalności, skostniałe formy „rozumu rozumującego“ i jednostajnej logiki, wreszcie etykieta, nazwana „dobrym tonem,“ — oto czynniki ówczesnego nastroju umysłowego, które się uwydatniały i w twórczości poetyckiej. To doprowadziło do zupełnej niwelizacji wszelkich odmian indywidualnych i na polu poezji i sztuki. Język blednie, traci wyrazistość, sprowadza się do konwencyonalnych ogólników. Opisy przyrody są zmanierowane. Wszystkie osobistości, bez względu na różnice stanu, narodowości, czasu, w którym żyły, przemawiają w powieściach i utworach dramatycznych temi samemi tyradami, poruszają się jednakowo, czynią te same giesty według wskazówek profesorów tańca. W ten sposób klasycyzm nowoczesny tworzy same tylko szablony. Sylwetki tętniące życiem stanowią kontrabandę i występują niezmiernie rzadko jako osoby trzecio i czwartorzędne. Wszystko redukuje się do *jednostajności*, która stanowi istotę pseudo-klasycyzmu.

Otóż, tej jednostajności przeciwstawiają się, według autora, *rozmaitość* i *różnostronność* romantyzmu, płynące z *naturalności*, jako jego cechy zasadniczej. Poezja romantyczna jest *naturalną*, *prawdziwą* poezją, zaś pseudoklasyczna jest *sztuczną*, *falszywą*, słowem *pseudo-poezyą*.

Z *naturalności* romantyzmu, tak powszechnego, jak i polskiego, wyprowadza autor wszystkie inne jego cechy, do których wraz z powyższemi zalicza i *realizm*, nadając tej nazwie odcień odstępujący od przyjętego znaczenia tego terminu, o czem pomówimy niżej.

Będąc *naturalną*, poezya romantyczna, według słusznej uwagi autora, musi być inną w każdym narodzie; więc i naród polski przedstawia odrębne cechy naturalności, ściśle związane z jego charakterem i dziejowym rozwojem. Zgodnie zaś z przedstawionym powyżej poglądem historycznym do najważniejszych rysów romantyzmu polskiego zaliczono, jako wpływające również z naturalności: *patryotyzm*, *religijność*, *mistycyzm*, *ukochanie natury oczystej* i wreszcie *melancholię*. „Suma tych rysów, mówi autor (str. 225), mieszana w najrozmaitszych proporcjach, jest nieodzowną częścią składową romantyczności polskiej.“

Takie sprowadzenie istoty romantyzmu do *naturalności* i wprowadzenie z niej wszystkich innych cech, w przeciwstawieniu do sztucznej jednostajności pseudoklasycyzmu, nie trafia, według naszego widzenia rzeczy, w cetno tej kwestyi. Charakterystyka pseudoklasycyzmu jest zupełnie trafna, podobnież nie można odmówić romantyzmowi tego, co autor nazywa naturalnością. Ale przedstawione rysy obydwóch tych przeciwległych objawów nie stanowią, według nas, zasadniczej, pierwotnej ich istoty, lecz mają charakter *poходny*, są skutkami głębszych przyczyn, których szukać należy w samym nastroju umysłowym, w *duszy* głównych przedstawicieli tych kierunków, a więc w *psychologii* romantyzmu i klasycyzmu. Tylko ścisły rozbiór stanów psychicznych, które doprowadzają do tego lub owego objawu twórczości poetyckiej, może nas pouczyć co do ich właściwej istoty i rozwiązać kwestyę przez autora jasno postawioną.

Wnikając zaś bliżej w te stany psychiczne, przekonywamy się, że zaznaczona przez nas na wstępie przeciwstawność między jaźnią i jej otoczeniem, między treścią podmiotową i formą przedmiotową, wskazuje drogę do należytego zrozumienia tych sprzecznych ze sobą prądów. Co się zaś tyczy przedewszystkiem poezyi romantycznej, to istota jej sprowadza się, ze stanowiska psychologicznego, jak najwyraźniej do nastroju, który określić należy mianem *subiektywizmu*, jako objawu zwrotnej, refleksyjnej działalności duszy, dążącej do możliwie pełnego rozwoju i wyrażenia swej treści wewnętrznej, a więc swych uczuć i ideałów. Wszystkie owe rysy poezyi romantycznej, obcej i polskiej, o których autor mówi, więc naturalność, prawdziwość, rozmaitość, wielostronność, dalej patryotyzm, religijność, mistycyzm, miłość natury, melancholia i t. p. są objawami *subiektywizmu*, zwrotnych, refleksyjnych poruszeń duszy, zajętej własną swoją treścią.

Poeci romantyzmu zagłębiali się w samych siebie, w treść swego ducha i odtwarzali możliwie żywo i wyraziście tę swoją

treść wewnętrzną, i to właśnie nadawało im charakter naturalności, prawdy, szczerości; to doprowadzało do owej rozmaitości i wielostronności, do owego bogactwa umysłowego, które się uwydatnia w ich utworach. Każdy z nich był innym i wyśpiewał swe własne radości i męki; każdy, jako odrębna, samoistna dusza, jako jednostka, odczuwał i odzwierciedlał swe otoczenie, więc przyrodę, ludzi i dzieje na swój sposób, według swego indywidualnego widzenia. Z nieprzebranych głębin swej duszy czerpał ciągle nowe pomysły, a to wznosiło go ponad świat realny, w dziedziny nadprzyrodzone, często w świat guseł i fantasmagoryj. Jaźń jego, zajęta sobą, wskutek rozwoju stosunków życiowych, obejmowała zarazem jego świadomość społeczną i narodową. Dzięki tedy uświadomieniu swej treści indywidualnej przejmował się dążnościami całego społeczeństwa, jednoczył swe poczucie osobiste z losami narodu, żył jego życiem, radował się jego zwycięstwami, bolał nad jego cierpieniem, żył z milionami i za miliony.

Wystawmy sobie, że poeci romantyczni pozbawieni byli tej zwrotnej działalności, zajmującej się przedewszystkiem własną treścią umysłową, a natomiast zwracali się wyłącznie do świata przedmiotowego i jego rozlicznych objawów, czyżbyśmy napotkali u nich choć jeden z owych rysów? A jeśli to tak, natenczas w tym właśnie subiektywizmie, który polega na zwrotnej czynności umysłu i serca, uznać należy istotę psychicznego nastroju romantyków. Bez tego subiektywistycznego nastroju nie byłiby tem, czem w rzeczy samej są i nie obdarzyliby nas owemi utworami, które nas dotąd do żywego przejmują zarówno głębokością uczucia, jak i szerokim polotem wyobraźni, jak wreszcie wzniosłem pojęciem własnej, ogólnie ludzkiej, narodowej i osobistej godności.

Jeżeli w jakiegokolwiek epoce twórczości, to w epoce romantyzmu *osobistość*, *dusza*, *jaźń* poetów, artystów występuje na pierwszy plan i jednoczy się w sposób nierozzerwalny z ich utworami. Podczas gdy utwory klasycyzmu, zarówno starożytnego, jak i nowoczesnego, zrozumiały są zazwyczaj same przez się, przy pomocy przedmiotowych danych, bo twórca pozostaje, że tak powiem, za kulisami i wysuwa na scenę tylko swoje dzieło; to, przeciwnie, najwspanialszych utworów romantyzmu nie można należycie zrozumieć, nie wnikając w *duszę* poety, artysty, nie zdając sobie sprawy z warunków jego bytu i rozwoju, z jego stosunków osobistych, z jego narodowości, stanu, doświadczeń życiowych.

Utwory romantyka są tylko echem tego, co sam przeżywa, odbłaskiem jego ducha. Wskutek panującego w nim subiektywizmu nic go w świecie zewnętrznym nie zajmuje, co nie odpowia-

da jego indywidualnemu nastrojowi, co nie znajduje odgłosu w środowisku jego życia wewnętrznego, w jego własnej jaźni. Żadne refleksje logiczne, żadne przedmioty, pochodzące z zewnątrz, żadne badania i poglądy naukowe nie przemawiają do jego duszy same przez się, swoją treścią, od niego niezależną, swym obiektywizmem. Tylko, gdy wzmacniają przebieg jego własnej treści nastrojowej, gdy się łączą z prądem jego wezbranych uczuć, zasilając je i podnosząc ich poziom,—tylko wtedy zajmują go i stają się współczynnikami jego twórczości. Wtedy wydaje na świat nieraz utwór podobny do wielkiej rzeki, która płynie spokojnie szerokim korytem koło łąków, starych grodów, wiosek i miast, odzwierciedlając je w swych nurtach, jako wspaniała ozdoba przyrody, jako świadek życia, tętniącego nad jej brzegami. Ale i w takich utworach główna siła, poruszająca całość, stanowiąca o jej charakterze i kierunku, sprowadza się do dążności i tendencji podmiotowych i znajduje w nich najwymowniejszy swój wyraz. Więc twórczość romantyczna nie występuje nigdy po za zakres owego refleksyjnego subiektywizmu, który stanowi jego istotę psychiczną.

Nawet tak zwany przez autora *realizm* poezji romantycznej, o ile bez względu na tę nazwę należy rzeczywiście do jej rysów charakterystycznych, tkwi ostatecznie w zaznaczonym powyżej subiektywizmie. Bo też to, co autor nazywa realizmem, jest w gruncie rzeczy idealizmem, jeżeli wogóle odróżnimy jasno te dwa terminy i nadamy im znaczenie nowoczesne, a nie wznowimy terminologii średniowiecznej, która istotnie mianem realizmu oznaczała skrajny idealizm, uznający realność przedmiotową ogólnych pojęć i wytworów umysłu, t. j. idei. Dziś nazwy realizmu używamy dla oznaczenia poglądu, przyjmującego byt niezależnego od nas świata zmysłowego za podstawę wszelkich pojęć, dotyczących przedmiotowej rzeczywistości. To też realizmem w poezji i sztuce przyjęto nazwać wierne odtworzenie świata przedmiotowego, wolne o ile można, od dodatków podmiotowych, osobistych. A czegoś podobnego właśnie u romantyków nie napotykaamy; u nich nastrój podmiotowy łączy się zawsze bezpośrednio z najwierniejszym nawet odtworzeniem przedmiotów, osób, oraz faktów dziejowych.

Sierżpułowski sam przyznaje (str. 204), że złączenie realizmu z romantyzmem jest „twierdzeniem śmielszem,” aniżeli przypisywanie go klasycyzmowi, bo, dodaje, że klasycyzm grecki, jak i cała sztuka grecka, był realizmem, wątpliwości niemasz. Pomimo to obstaje przy realizmie romantyzmu i dowodzi, że ten

nawet w balladach fantastyczno-cudownych jest *realnym*. W tym względzie powołuje się na *Odyńca*, który powiedział, że poeta romantyczny wiernie czyli *realnie* odtwarza świat ludu i jego wierzeń.

Jeżeli jednak w tym duchu nawet ballady *fantastyczno-cudowne* zaliczymy do twórczości realistycznej, dlatego, że są oparte na wierzeniach ludu, — to w samej rzeczy trudno będzie określić, co należy nazwać wytworem umysłowym, niemającym cechy realizmu, wypływającym wprost z subiektywizmu duszy ludowej, z jej stanów psychicznych, odczuwanych przez poetę? W czemże, w takim razie, wyraża się ów nastrój ludu i poety, doprowadzający do idealistycznego, subiektywnego poglądu na świat i ludzi, w przeciwstawności do realnego i przedmiotowego? Czy to realizm: zaludniać świat duchami, przyznawać istnienie potęg, odstępujących od ustalonego porządku rzeczy, powodujących cuda?

Zresztą, nie myślę zaprzeczać, że i romantycy bardzo często i z wielkim artyzmem odtwarzali rzeczywistość, przyrodę i dzieje, a więc różne ich utwory niewątpliwie posiadają ustępy o charakterze realistycznym. Nie byłiby prawdziwymi poetami, gdyby pozbawieni byli zdolności żywego przedstawienia przedmiotów, któremi się zajmują, ich wiernego odtworzenia, z całą plastyką światła i cieniów, niezbędną dla wywołania odpowiedniego wrażenia. Ale ten rys nie stanowi istoty romantyzmu, bo właściwy jest i klasycyzmowi, szczególnie starożytnemu. Jest to jeden ze środków pomocniczych wszelkiej wogóle poezji, więc nim posiłkuje się i poezja romantyczna dla uwydatnienia właściwego celu swych utworów; a celem tym jest zawsze, nawet i przy odtwarzaniu rzeczywistości, wyrażenie treści wewnętrznej ducha, jego nastroju podmiotowego, jego subiektywizmu.

Charakter różnych objawów twórczości zależy głównie od zasadniczej dążności twórcy, a nie od środków technicznych, jakimi się posiłkuje dla urzeczywistnienia swych dążności. Realizm poezji romantycznej jest co najwięcej tylko takim środkiem technicznym, więc nie charakteryzuje istoty tego kierunku twórczości.

Przedstawiając genezę romantyzmu północnego (str. 209 i nast.), autor sam wykazuje jego charakter podmiotowy, idealistyczny. Można się nie godzić na metereologiczny wywód tego nastroju psychicznego, ale wynikiem jego należy przyznać słuszność. Dolegliwości fizyczne, mówi autor, usposabiają ludy północne do pocieszenia się *myślą*, że są gdzieś, w innym może świecie, stany o wiele szczęśliwsze). To jest zaczątkiem tworzenia

się ideałów oderwanych<sup>1)</sup>. Wzmaga je religia, zrazu przeniesiona zkadinał, ale wkrótce wybornie przystosowana do danych wymagań i warunków. Odbija się to wszystko i na twórczości. *Myśl* jej jest rzeczą najważniejszą, forma podrzędna. *Myśl* coraz bardziej *uduchownia się, idealnieje*. Twórczość północna czyli romantyczna dba więcej o piękno *idealne*, niż formalne. Nadto autor pojmuje dobrze (str. 207), że poezya powinna unosić czytelnika w krainę *ideałów*, uszlachetniać jego duszę, przyzwyczajając ją do obrazów pięknych i wrażeń w niej tęsknotę do czynów szlachetnych. Z tego też stanowiska występuje jaknajślusniej przeciwko zbroczeniom *naturalizmu*.

Czyż wobec takich poglądów samego autora można mówić o *realizmie*, jako o istotnym i zasadniczym rysie twórczości romantycznej? Sądzimy, że nie. Tylko *wierność prawdzie*, którą autor miał głównie na oku u romantyków, w przeciwstawieniu do pseudoklasycznego fałszu naprowadziła go na myśl o *realizmie*. Ten zaś kierunek sam przez się nie może być zestawianym ani z ową estetyczno-etyczną szczerością i wiernością prawdzie, która charakteryzuje romantyków, ani z owym nastrojem *idealistycznym*, zaznaczonym powyżej przez autora. Wreszcie, nacisk, jaki romantycy, szczególnie nasi, kładą na *serce* i *uczucie* w różnicy od rozumu i rozsądku, następnie ich przecucia i jasnowidzenia, dalej ich antropomorfizm w odtwarzaniu przyrody, — co wszystko sam autor bardzo trafnie podnosi (str. 213, 217, 218, 220), świadczą o ich subiektywizmie, o idealistycznym, a nie realistycznym poglądzie na świat i życie. Zostawmy tedy nazwie realizmu jej powszechnie przyjęte znaczenie i nie podciągajmy pod nią, dla tego, że jest popularną, takich objawów, które z istoty swojej mają charakter wprost przeciwny.

### III.

Że subiektywizm, jako zwrotna czynność umysłu, doprowadzająca do idealistycznych poglądów na świat i życie, stanowi w rzeczy samej istotę psychiczną nastroju romantycznego, o tem przekonywa też charakterystyka tego objawu przez najznakomit-

<sup>1)</sup> Tu możnaby nawiasowo zapytać, co też wywołało w ludach wschodnich i południowych tę samą myśl o innym, lepszym świecie? Czy ten skutek pojawił się tam dzięki gorącemu klimatowi?

szych naszych krytyków, począwszy od Mochnackiego. Charakterystyka ta nie jest wprawdzie jednorodną i zgodną, obejmuje najrozlicniejsze strony romantyzmu; ale pomimo to napotykamy w niej zawsze cechy, ściśle związane z zaznaczonym przez nas rysem zasadniczym. Potrzebujemy w tym względzie tylko zajrzeć do podanego przez autora starannego przeglądu literatury krytycznej, dotyczącej romantyzmu (Rozdział II-gi str. 37—136).

I tak, *Mochnacki* określał początkowo romantyzm, jako opuszczenie ziemnej rzeczywistości i przeniesienie się w krainę ułudy i marzeń; ale później, bez porównania głębiej, widział w nim, jak wogóle w literaturze, uznanie się narodu w jestestwie swoim, dążność do wyodrębnienia własnej istoty narodu, jego wyobrażeń, pojęć i uczuć, objaw jego *sumienia*.

*Michał Grabowski* dowodził, że poeta romantyczny nie jest naśladowcą; nie naśladuje on nawet natury; wzory jego dzieł i kreacyj leżą w głębi jego duszy własnej i te tylko wzory swej duszy naśladuje poeta; on chce odtworzyć człowieka i jego treść wewnętrzną.

*Cegielski* uczył, że artysta składa w sztuce myśli czyli idee swoje, odtworzone w duchu, na wzór idei odwiecznych. Według Hegla rozróżnia on wyobraźnię plastyczną starożytnego klasycyzmu od wyobraźni *idealnej* romantyzmu. Ta ostatnia pojmuje świat umysłowo, podnosi się w sfery duchowe, w świat nieskończoności. To też w utworach romantyzmu duch przemaga nad formą i przelewa się niejako pełnią swoją poza krainę formy.

*Zygmunt Kaczkowski* mówi, że romantyzm jest to prąd ducha, mający na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego *uczucia* z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do *samowiedzy* i oddanie mu najwyższej władzy w poezji, literaturze i sztuce.

*Wojciech Cybulski* widzi w romantyzmie *piękno* i *dobro*, a za główną zaletę jego i cnotę uważa to, że stał się wyrazem pragnień i życia narodu. Aby zaś ugruntować poezją narodową, romantyzm zeszedł na najniższy stopień *samowiedzy* ludowej, by stąd coraz wyżej, aż do najwyższego szczybla wiedzy ją podnieść.

Wreszcie *J. Tretiak* zaznacza, że poezja romantyczna była o wiele żywsza i ruchliwsza od klasycznej, a nadto *wrażliwsza* na różne wpływy postronne lub wewnętrzne.

Podobne rysy wykazują i najnowsi historycy literatury polskiej, których Sierzputowski, jak widzieliśmy, bliżej nie uwzględnił.

*Spasowicz* dowodzi, że romantyzm uczył odtwarzać plastycznie nie tylko zewnętrzne strony bytu, lecz *myśli* i *uczucia*

minionych pokoleń, że potężna *osobistość*, cechująca najświetniejsze chwile rozkwitu sztuki, należała do jego najważniejszych objawów.

*Piotr Chmielowski* widzi w romantyzmie nowy prąd *uczuciowo-fantazyjny*, *podmiotowością* silnie przeniknięty; zestawia go też z filozofią idealistyczną, a w najwyższym jego rozkwicie u nas podnosi jego serdeczne i głębokie przejęcie się sprawami narodowymi, ogarniające, w rozleglejszym niż poprzednio zakresie, *uczucia, myśli i ideały* wszystkich stanów.

*Tarnowski* zaznacza, że przez ogłoszenie pierwszych dwóch tomików Mickiewicza romantyczność nasza poznała, że jest, jaka jest, i zaczęła żyć naprawdę, ze świadomością siebie. O *Gustawie* mówi, że był wzięty zupełnie z osobistych uczuć, o *Maryi Malczewskiego*, że natury bardziej ożywionej *uczuciem* człowieka rzadko spotkać w poezji, rzadko nawet w malarstwie. Co zaś do krytyków z obozu romantycznego powiada między innymi, że zapuszczają się w wywody filozoficzne, radzi prawią o *ideach*, o idei piękności w świecie starożytnym i nowym.

*Brückner* wreszcie przeciwstawia klasycyzmowi świat nowoczesny z ideałami chrześcijańskimi braterstwa ludów, swobody i równości płci i stanów, poszanowania pracy, uznania praw *uczucia i serca*. Zamiast szablonu jednostronnie intelektualnego, domagano się głębokiej analizy psychicznej, skruszenia bałwanów płytkiego *realizmu* i mądrości zdawkowej, dążenia ku *ideałom*, choćby nieziemskim, ku celom wszzechbytu, badaniu rzeczy niezbadanych. W tym duchu poezya romantyczna ujawniała niezadowolone formami życiowymi, pragnienie ideału, rozdarcie duszy tęskniącej ku sferom nadziemskim, a w objawach rozwichrzenia romantycznego występowały przesada fantastyczna, uczuciowość nadtkliwa, jednostronne uwielbienie wieków średnich, szukanie ideałów „kwiatu niebieskiego,“ idealizacya namiętnych wybuchów skarg i żalów.

Czyż to wszystko nie objawy, dające się psychologicznie wyprowadzić jedynie z owego subiektywizmu, który, przejmując się treścią, nurtującą w głębiach duszy, szukał zaspokojenia swych potrzeb i dążeń serdecznych w ujawnieniu tej treści idealnej, w nadaniu jej form najponętniejszych podmiotowo? W każdym razie, jest to nastrój zasadniczy, który dźwięczy poprzez wszystkie utwory poezji romantycznej, począwszy od najwspanialszych, stojących na wyżynach czasu, aż do objawów nieudolnego naśladownictwa, lub przesady w tym kierunku.



Do tego samego wyniku doprowadza bliższe porównanie romantyzmu z klasycyzmem i określenie ich wzajemnego do siebie stosunku, jako objawów twórczości.

Podaliśmy powyżej charakterystykę francuskiego pseudoklasycyzmu według Sierzputowskiego. Widzieliśmy, że jest to kierunek, który doprowadza do ostateczności czynnik formalny twórczości. Czerpiąc swe wzory z utworów starożytnych i trzymając się niewolniczo pewnych ustalonych prawideł, klasyk nowoczesny wyrzekał się wszelkiej indywidualnej samodzielności, krępował twórczość podmiotową, więc wszelkie żywsze objawy uczucia i namiętności swą rozważą rozsądkową i beztreściowym formalizmem. Nie dziw, że wskutek tego wydawał na świat zazwyczaj sztywne, skostniałe manekiny, pozbawione życia wewnętrznego, będące raczej karykaturą rzeczywistości, niż jej wiernym odtworzeniem; — a to wszystko, pomimo zasady klasycznej, za czerpanej z Arystotelesa, że sztuka powinna być naśladowaniem natury.

Pierwotny klasycyzm starożytnych, szczególnie Greców, nie miał wprawdzie tych wad; zestawiono go nawet co do prostoty, szczerości i żywej twórczości z romantyzmem. I nasz autor odróżnia jasno klasycyzm od pseudoklasycyzmu (str. 202) i uznaje w pierwszym te same czynniki zasadnicze, co i w romantyzmie, a przede wszystkim *naturalność* i *wielostronność*. Z tem wszystkim nie brak i różnic bardzo poważnych. Sierzputowski sprowadza je głównie do objawów, wypływających z różnej przyrody Południa i Północy. „Południe, mówi (str. 208), jasne, wesołe, świetlane, musiało wywołać poezję równie jasną promienną. Ciepły klimat, pozwalający na szaty lżejsze, przejrzystsze, na częścione obnażenie ciała nawet, wywołać musiał dążenie artysty do odtwarzania piękna cielesnego, zwłaszcza, jeśli religia, także wytwór warunków fizycznych, jest właściwie uosobieniem piękna zmysłowego.“ Wręcz przeciwnie ma się z Północą; ona to, jak widzieliśmy powyżej, ma usposabiać ludzi do ideałów oderwanych, do uduchowienia myśli, do nadania *formie* znaczenia podrzędnego w twórczości.

Bez względu na takie klimatyczne wyjaśnienie istoty klasycyzmu w przeciwstawieniu do poezji romantycznej, należy i co do tego objawu zdać sobie sprawę z nastroju umysłowego, jako przyczyny jego cech zasadniczych. Czemu ten nastrój różni się od nastroju romantycznego? Na czem polega ich przeciwstawność z psychologicznego punktu widzenia? Wywód bowiem tego nastroju, jak i nawet religii, z warunków fizycznych wpada w za-

kres metafizyki i oddala nas tylko od bezpośredniego rozwiązania zasadniczej kwestyi co do charakteru unysłowego tych objawów.

Wszystkie cechy główne zarówno klasycyzmu jak i pseudo-klasycyzmu, w różnicy od romantyzmu i jego odmian i zбочeń, sprowadzają się, według powszechnego uznania, do tego, że w ich utworach *forma* góruje nad treścią. U starożytnych Greków ujawnia się to przedewszystkiem w przeważnym rozwoju sztuk plastycznych, architektury i rzeźby, które obejmują najwspanialsze objawy ich twórczości artystycznej. Ale i poezya Greków, począwszy od Homera, odznacza się przedewszystkiem swym ustrojem formalnym, pewnym spokojem plastycznym w przedstawieniu najburzliwszych nawet poruszeń duszy. Pseudoklasycyzm już zupełnie popadł w formalizm, naśladowując wzory starożytne głównie ze względu na ich stronę zewnętrzną. Podczas, gdy w starożytnym klasycyzmie przewaga formy nie krępowała treści ideowej, lecz z nią, o ile istniała, swobodnie się łączyła, to w pseudoklasycyzmie treść ideowa sprowadzoną została do minimum dla samej formy, a wskutek tego przewaga tej ostatniej doprowadzała do bezdusznych szablonów.

Jeżeli się teraz zapytamy, jaka czynność unysłowa, jaki kierunek jej rozwoju, uwydatnia się w takim górowaniu formy zewnętrznej, — to nie trudno spostrzedz, że jest on wynikiem zajęcia się duszy swem otoczeniem, danemi świata przedmiotowego, w przeciwstawieniu do zwrotnej czynności umysłu.

Wszelka *forma*, najbardziej nawet uduchowiona, ma charakter zewnętrzny, a więc *przedmiotowy*, opiera się na danych, których umysł sam nie tworzy, lecz je z otoczenia swego przejmuje; umysł conajwięcej przekształca tylko ten czynnik przedmiotowy według wymagań podmiotowych. Górowanie tedy formy nad treścią jest zawsze wynikiem zajęcia się umysłu nie sobą, lecz swem otoczeniem, a więc wynikiem *objektywizmu* w przeciwstawieniu do *subiektywizmu*. Zarówno artyści jak i poeci starożytni, szczególnie greccy, byli *objektywistami*, a kładąc główny nacisk na zaczerpnięte ze świata przedmiotowego dane, odtwarzają takowe możliwie wiernie, wyrzekając się przez to, o ile można, swej własnej podmiotowej treści. Ich utwory odzwierciedlają ostatecznie bardziej ich otoczenie, niż ich duszę i to nadaje im ów charakter przedmiotowego spokoju, który się przedstawia w górowaniu formy nad treścią.

Ten czynnik formalny twórczości artystycznej, więc i poezyi, ujawnia się wprawdzie w najrozlicniejszych odmianach, bo for-

nią nie jest tylko widzialny i dotykalny kształt zewnętrzny utworu, ale i materiał jego, osnowa, o ile staje się środkiem wyrażenia pewnej samodzielnej treści. Więc ten lub ów zewnętrzny przebieg faktów historycznych lub też fabuła poematu, powieści, dramatu, stanowią często zewnętrzną formę tylko, a mianowicie wtedy, gdy nie zajmują twórcy same przez się, swą treścią, lecz dobrane zostały, że tak powiem tendencyjnie, dla odpowiedniego uwydatnienia niezależnego od nich nastroju podmiotowego twórcy. W tym duchu przebieg faktyczny w takich utworach, jak: *Wallenrod*, *Grażyna*, *Pan Tadeusz*, *Maryja* Malczewskiego i t. p. jest formą, za pośrednictwem której poeta wyraża swoją własną treść idealną, swój nastrój podmiotowy. Tymczasem, czyny bohaterów w epejach i dramatach starożytnych nie stanowią tylko *formy* tych utworów, lecz obejmują zarazem ich *treść*, ale treść czysto przedmiotową, bo twórca miał na oku same te czyny, a poza niemi nie chciał wyrazić żadnej innej treści, idei. Widzimy tu tedy jasno zasadniczą przeciwstawność obiektywizmu klasycznego i subiektywizmu romantycznego na polu twórczości. W tej też przeciwstawności tkwi istotne znaczenie obydwóch tych prądów, oraz wpływ ich na rozwój sztuki i poezji aż po chwilę obecną.

#### IV.

Kwestya wartości i znaczenia romantyzmu stanowi przedmiot ostatniego rozdziału książki Sierżputowskiego (str. 243—262). Tu podnosi autor przedewszystkiem bogactwo poezji romantycznej pod względem treści. „Twórczość romantyków, mówi (str. 246), dotknęła wszystkich stron życia narodowego.“ Liczny dobór trafnych przykładów stwierdza to zdanie. Język romantyków szwankuje wprawdzie niekiedy z powodu neologizmów i używania germanizmów i rusycyzmów, szczególnie u Krasieńskiego, następnie też u Ujejskiego, a czasem i u Słowackiego. Przykłady i tutaj ilustrują dobrze ten zarzut. Ale z tem wszystkim autor wyznaje, że pomimo tych, niewielu zresztą, usterek, język pod piórem romantyków nie tylko nie zepsuł się, jak o to obawiał się Jan Śniadecki, ale naodwrot, doszedł do najwyższego stopnia doskonałości, muzykalności, bogactwa i piękna, co wcale nie zmniejszyło jego męskiej siły.

Wogóle żywotność romantyzmu i wielką jego wartość literacką ujawnia, według autora, najlepiej ten fakt, że kiedy pseudo-

klasycyzm, skoro raz upadł, nie nie jest i nie będzie w stanie wskrzesić; — *romantyzm*, który po okresie pozytywistycznym zdawało się, iż powinien skończyć na wieki, wskrzesza, jak feniks z popiołów w naszych czasach. Nie mówiąc o licznych w chwili obecnej naśladowcach Mickiewicza, Krasińskiego, a zwłaszcza Słowackiego, posiadamy mnóstwo talentów pierwszorzędnych i mniejszych, które dalej rozwijają ducha romantycznego. Wymienia tu autor *Prusa*, *Konopnicką*, *Sienkiewicza*, *Orzeszkową*, *Sieroszewskiego*, *Asnyka*, a do nich przyłącza się cała plejada autorów o talencie drugorzędnym.

Dalej podnosi autor wielkie zasługi moralno-społeczne romantyzmu, wskutek zaszczepienia w narodzie ideałów szlachetnych. Zarzucano wprawdzie romantykom, że zachęcali do zdrady, co jest nieprawdą, że się nie wznosili ponad politykę, że podniecali utopijne dążności, które sprowadzały na naród tylko nowe klęski, że wogóle podszeptom serca większy dawali posłuch, niż chłodnej rozwadze i wywodom logiki. Ale to wszystko także nie było wyłącznie ich winą, bo niezależnie od nich działały inne powody zewnętrzne i padały jak iskry płonące na całe stopy prochu. Zresztą, choćby to wszystko i zaważyło na szali win romantyzmu, przebaczyć im to należy wobec ogromnej zasługi, że zbudzili z letargu zasypiający naród, doprowadzili go do polityczno-społecznej samowiedzy i powołali do nowej organicznej pracy na polu życia umysłowego i oświaty. To też autor kończy swą, wielce zajmującą książkę podniosłą zachętą do wdzięczności i miłości dla tych wielkich przedstawicieli życia narodowego, którzy objęci są pod ogólną nazwą romantyków.

Jak główne cechy romantyzmu, tak i te słuszne bardzo uwagi autora co do jego znaczenia znajdują swe ostateczne wyjaśnienie oraz niezbędne dopełnienie jedynie w owym zasadniczym nastroju umysłowym, o którym mówiliśmy powyżej, w *subiektywności* romantyków. W nim tkwią ich wielkie, nieocenione zasługi, ale i pewne wady, związane zawsze z przeważnym rozwojem jednej działalności umysłu kosztem reszty. Wzniosłe ideały, głębokie przejście się ich treścią, uświadomienie przy ich pomocy potrzeb umysłu i serca, wreszcie energiczna dążność do ich życiowego zaspokojenia, — oto objawy, mające najwyższe znaczenie dla kultury umysłowej a ściśle związane ze zwrotem duszy ku samej sobie, z górowaniem życia wewnętrznego nad swem otoczeniem, nad materialem przedmiotowym, z niego zaczerpniętym. Ale ten zwrot pociąga też za sobą często zboczenia i wady, gdy nie znajduje wskazanego przez naturę, koniecznego do-

pełnienia w należytem uwzględnieniu przedmiotowych danych otoczenia.

Jednostronny subiektywizm wpada zbyt łatwo w utopie wszelkiego rodzaju, często bardzo szlachetne, wzniosłe, budzące serdeczną sympatya, lub nawet uwielbienie, ale pomimo to rozchodzące się z *prawdą*, a więc szkodliwe w swych skutkach, nadwężając zdrowy rozwój życia umysłowego. *Mistycyzm* naszych romantyków, a w szczególności ich *mesyanizm* jest wymownym objawem takiego zбочenia. Nie rachując się z rzeczywistymi warunkami bytu, ani z przedmiotowymi danymi dziejów, romantycy nasi, — nie tylko poeci, ale i filozofowie, — doszli do przesadnych pojęć o roli, jaką naród odgrywa w społeczeństwie innych narodów. Świadomość indywidualna i narodowa, zajęta subiektywistycznie sama sobą, wyniosła sama siebie ponad swe otoczenie, wmawiała w siebie jakieś posłannictwo wyjątkowe, zamiast zrozumieć, że dosięga szczytu swego przeznaczenia, gdy w gronie innych narodów, według swych zdolności i swego usposobienia, przyjmuje czynny udział w rozwiązaniu najwyższych zadań ludzkości. Realizm prawdziwy, złączony z idealizmem, byłby w tym względzie pouczył romantyków i nadał ich twórczości charakter szerszy, pełniejszy, zgodniejszy z prawdą.

Owi poeci współcześni, których autor wymienił, jako dalej rozwijających ducha romantycznego, a do których doliczyć należy koniecznie autorkę *Polski w pieśni*, a mianowicie poematu o Sobieskim, *Deotymę*, nie są już właściwie romantykami, choć naturalnie przejęci są czynnikami idealnemi, wyprowadzonymi na widownią życia narodowego przez naszych wielkich poetów i myślicieli. Okres materyalizmu i pozytywizmu, który oddziela współczesną twórczość od romantyzmu, nie mógł pozostać bez wpływu na nią, dzięki swym czynnikom realistycznym. Jak w zakresie filozofii, tak i na polu współczesnej poezyi, pierwszorzędni jej przedstawiciele nie idą poprostu szlakami subiektywizmu romantycznego, lecz łączą z nim na każdym kroku ów przedmiotowy realizm, który, pomimo polotu na wyżyny ideału, sprowadza ich jednak, w miarę potrzeby, i na niziny rzeczywistości, codziennego życia. Twórczość tych naszych współczesnych wielkości ma tedy charakter *syntetyczny*; łączy daleko ściślej, niż to romantycy czynili, wierność ideałowi z wiernością prawdzie, głęboko odczute tęsknoty ducha z realnemi warunkami bytu i życia. Na tem polega ich samodzielna potęga w rozwoju literatury, ich pełna oryginalność, w różnicy od naśladowców romantyzmu.

Tylko ci ostatni, epigonowie romantyzmu, wznawiają subiektywizm w sposób jednostronny, lubują się w nim, szukają przy jego udziale nowych dróg i dochodzą przez to często do samowoli i cudactwa. Naturalne uczucie subiektywne romantyków staje się u tych *modernistów* różnych odcieni jakimś nieokreślonym, mistycznym *przecuciem*, które, zamiast zaczerpać z otoczenia realnych sprawdzianów swej treści, usiłuje przeniknąć świat przedmiotowy i wcielić w niego swój nastrój mistyczny. Tacy to subiektywiści, których nie brak i na polu teoryj estetycznych, patrzą z zasady na wszystko przez pryzmat swych chwiejnych i zmiennych nastrojów. Dziś to wydaje im się pięknem, prawdą i dobrem, jutro owo, coś wręcz przeciwnego. Nic nie uznają stałego, niezmiennego, prawdziwie realnego w świecie; bo wszystko w nim zależy wyłącznie od ich podmiotowego usposobienia, a to ich usposobienie nie ma żadnych zgoła kryteriów dla oceny własnej treści, — więc staje się w istocie kaprysem, chimera, bez poważnego znaczenia dla rozwoju życia umysłowego i twórczości.

Nie trudno spostrzedz, że są to objawy chorobliwe, zбочenia subiektywizmu, mające raczej charakter parodi owego nastroju romantycznego, który wydał na świat tyle utworów wspaniałych o treści wzniosłej, idealnej. Są to objawy sztuczne, wymuszone jakiegoś pseudoromantyzmu, znajdującego się w tym samym stosunku do pierwotnego, naturalnego romantyzmu, jak pseudoklasycyzm do klasycyzmu starożytnego. W tym kierunku nie można się spodziewać zdrowego postępu, nowych, wielkich zdobyczy. Przyszłość na polu sztuki i poezji, podobnie jak i w zakresie filozofii, należy jedynie do pokolenia, które przejmie się pełnią bytu ludzkiego, nie tylko jaźnią, ale i jej otoczeniem, i rozwiąże zagadkę ich nierozzerwalnej, faktycznej jedni.

HENRYK STRUVE.

# PRZEMIANY.<sup>1)</sup>

## Powieść współczesna.

### XIX.

I przyszło na Pawła zniechęcenie, tak jak po pogodnych i pracowitych dniach lata nastają jesienne szarugi.

Nie stracił wiary w cele swoje, w program, w działalność ziemiańską, nie zachwiał się w zamiarach, nie wypuścił z rąk sztandaru „oświeconego konserwatyzmu“ i „szlacheckiej ludowości,“ stoczyłby o sztandar ten, o cele, o program zawzięty bój z takim np. Turowskim albo hrabią Tobiaszem, nie cofnąłby pod naciskiem najenergiczniejszego chociażby musu albo najpoważniejszej potrzeby żadnego z rozporządzeń swoich: co do procesu ze wsią, bezpłatnej pomocy lekarskiej dla fernali, odnowienia kaplicy grobowej hrabiów Naborowskich, zamknięcia wszystkich szynków i wydalenia wszystkich żydów, osiedlonych w granicach dóbr Naborów i t. p. - ale zapалу nie posiadał i pracę swoją odrabiał jak gdyby zadanie konieczne a nudne i uciążliwe.

Zamykał się w swoim pokoju, nie poto wszakże, ażeby jak dawniej mozolnie klecić długie okresy odczytu, szperać w słownikach, wertować encyklopedye i niemieckie podręczniki rolnicze, wodzić palcem po mapach majątku (sporne grunta były oznaczone

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26.

krzyżykiem), wymierzać cyrklem szerokość nowych czworaków, przerysowywać drzewo genealogiczne hrabiów Naborowskich... Przewracał karty własnego dziennika.

Z kufrów i szuflad wyjął grube, oprawne w kosztowną skórę, ponumerowane na grzbietach tomy, ułożył je symetrycznie podług porządku dat na biurku i zabrał się do czytania. Przez pierwszych dni kilka czytał uważnie i wolno, kreśląc coś na marginesach (stawił nawet znaki pisarskie, których brakło wszędzie) jak gdyby szukał czegoś (rysów duszy? uciech i uśmiechów przeszłości? krzywd losu?) albo jak gdyby, zdjęty tkliwem współczuciem dla samego siebie, pragnął obcować z sobą i pieścić siebie miłującym wspomnieniem (był przecież sam jeden na świecie i niepotrzebny nikomu)—po tem ujawniał coraz częściej zniechęcone roztargnienie i jał zapadać w długie zadumy. Ze spojrzeniem, zatrzymanem na jakiejś obojętnej dacie, pod którą zapisał przed laty mróz albo upał, tytuł ćwiczenia albo cenę nowego ubrania, myślał przez długie godziny, pełen goryczy, przerażenia i dziwnego osłupienia...

Te poźółkłe i poblakłe, zasmarowane dużem, niekształtnem, dzieciennem jeszcze pismem stronice, uczyniły na nim wrażenie, którego się nie spodziewał, uderzyły w niego groźnem a nieoczekiwanem przypomnieniem. Zaczął przewracać je w litosnem rozrzwieniu nad sobą, nad samotnością swoją, nad chłodem, który go otaczał, chciał obcować z sobą i z przeszłością, tak jak obcuje się z drogiem dzieckiem, które się usadza na kolanach i pieści — a stanęła przed nim śmierć, pustka i znikomość życia... Dlaczego?

Pamiętał te dawne czasy, i dom rodzinny w Borku i matkę i pierwsze nauki, szkołę, kolegów, podróże i choroby, obrazy na ścianach, kolor pieców, twarze nianiek i bon — wspomnienia wracały z daleka wyraźne, ale to wszystko było widmem żalosem, marą grobową, rozwiewnym cieniem... To było stracone na zawsze, to przestało należeć do niego, nie było już jego własnością... Minęło i niema... Tamto ciemnowłose o dużej głowie dziecko, które wstawało z ciepłego łóżka, odmawiało z matką pacierze, cieszyło się z kozuszką na mleku, z gustem zabierało się do łatwych lekcyj, biegało do kucharza pytać o ostatnią potrawę, sypało wały ze śniegu — umarło; umarł tamten pilny, ostrożny, uważny, zawsze czysty chłopczyk, którego chwaliły nauczycielki, który gryzł jak marchew wszystkie gramatyki; umarł uczeń gimnazyum; umarł młodzieniec...

— Więc czem że jest życie — pytał siebie z trwogą — jeżeli przeszłość nie należy do nas, jeżeli dnie dzieciństwa i młodości opadają tak jak liście z drzewa? chwilą terażniejszości? A za



lat dziesięć i ta chwila terażniejszości, każda w przeciągu lat dziesięciu posiadana terażniejszość, rozkruszy się w nicłość, i znowu nie będzie nic prócz momentu obecnego, prócz świadomości momentu... Potem nastąpi kres...

Chłód ogarnął Pawła. Nie znał jeszcze tych myśli.

— Oto dnie przechodzą—dumał dalej—i każdy bezpowrotnie, z każdym uchodzi życie. Życie składa się z dni, jak tkanina z nici. Przeżył już połowę. I połowa przepływie i będzie tak, jak gdyby nie żył wcale. Trochę wspomnień niby od przeczytanej książki albo od snu... Życie jest świadomością jednej terażniejszej chwili... Gdybyż można było każdy przeżyty dzień chować do skrzyni i zbierać i nagromadzać i posiadać i rozsiać się na przeszłości tak jak skąpiec rozsiada się na kupie złota, żeby ją ukryć przed złodziejem, żeby jej nie oddać... Ale złodziej zabiera nam dzień po dniu... Człowiek, idąc w lata, idzie po drabinie, która pali się od dołu, która runie zetlała, gdy człowiek stanie na szczelbku ostatnim. Wówczas pod nogami ukaże się przepaść...

Były to myśli zwyczajne, jak razowy chleb, ale Pawła przemawiały ziąbem, niby białe zimne tumany nad moczarami. Nigdy jeszcze pracowitym oczom jego nie ukazywała się znikomość żywota, nigdy jeszcze za plecami swemi nie czuł śmierci... Żył, pracował, zdobywał, dążył...

Teraz mrok niezmierny, mrok słotnej, jesiennej nocy nad pustemi polami, zasłaniał przed nim wszystko: i dziennik i drzewo genealogiczne hrabiów Naborowskich i rękopis odczytu i księgi rachunków i mapę majątku, rozpostartą na stole ze spornemi gruntami, oznaczonemi krzyżykiem i krzewy bzu, które chwiały się za oknem, na wprost biurka.

— Śmierć.

Dnie umierają, umarły dzieciństwo i młodość, przeminie życie—i Pawła Naborowskiego nie będzie!

Widział ciemną nicość, w której pogrążał się na zawsze, czuł beznadziejną trwogę, krzyk ciała, które tonie—potem gasła i stygła świadomość, osłupiała, lodowata...

— Śmierć...

Na długo zanikała w nim wszelka myśl, niby płomień zdmuchnięty mocnym powiewem. Pocóż myśleć? nad czem? dokąd płynąć myślom, jeżeli niema wyjścia?

Droga, u której kresu przepaść, drabina, zawieszona nad otchłanią, fala na bezdennym mrocznym, odmiecie...

Tamowało mu oddech, jak niegdyś w cyrku, gdy kobieta w trykocie stawiała jedną nogą końcem palców na trapezie pod

drewnianą kopułą budynku... Nie utrzyma się, straci równowagę—runie... Tam, w cyrku przyniósł oczy...

Śmierć...

Ludzie szukają od niej ratunku w wierze religijnej, w snach o niebie, w tęsknotach do błogiej nieśmiertelności, i wszystkie systematy religijne powstały, jak czytał gdzieś, zapewne u Spencera, ze strachu śmierci, z faktu śmierci. Wiara w Boga wynika z wiary w zagrobowe istnienie, która potrzebna jest ludziom, ponieważ koi żal, zasłania próżnię, łagodzi bojaźń. Szczęśliwi, którzy wierzą...

Ale jego wiara została w Borku, w pokoju dzieciennym razem z zabawkami i nie może po nią sięgnąć tak samo, jak nie sięgnie po pacholęcą piłkę... Przerósł... Człowiek nauki nie otworzy drzwi dla przyjęcia twierdzeń bezpodstawnych, które nazywa „przesądami,“ człowiek nauki nie pieści złudzeń, chociażby te złudzenia były pociechą...

Zresztą, rozumiejąc i oceniając znaczenie dogmatów religijnych dla mas nieoświeconych, które nie wyszły jeszcze z wieku dzieciństwa, dla których etyka jest dostępną jedynie pod postacią przepisów religijnych, obywał się dotychczas znakomicie bez wiary, nie szukał jej i nie łaknął... Uznał ją, jako pierwszorzędny czynnik społeczny i polityczny — nie zgłębiał i nie rozpatrywał, nie potrzebował zgłębiać tej sprawy w sobie i dla siebie... Przerósł...

Ale teraz stanęła przed nim śmierć...

Za lat kilkanaście urwie się szereg dni jego, z których każdy jest życiem, każdy pierwszym i ostatnim dniem jedyne go, krótkiego życia, (bo ani przeszłości, ani przyszłości człowiek nie posiada) — i Pawła Naborowskiego nie będzie. Zostanie nazwisko, zapisane w metrykach — dźwięk bez treści — zostanie na jakimś cmentarzu nagrobek—kamień ze złotymi literami, w paru gazetach ukaze się nekrolog—i już na wieki nie...

Myśl Pawła szła prastarym szlakiem przerażenia i ziemskiej żałości.

Nie będzie Pawła Naborowskiego tak jak niema ojca jego, jak niema dziada Alfreda, który w tych samych pokojach uczył dzieci, suszył zioła i cieszył się z życia, jak niema tych wszystkich, których imiona, nazwiska, daty urodzeń i zgonu czytał na cmentarzach...

Gdzież oni są, ci wszyscy? Minęli, jak minęły ich lata, minęli jak gdyby nie byli nigdy... A może nie byli nigdy?

Odwiedzał dawniej w wielkich miastach cmentarze, chodził wśród mogił, przebiegał z roztertargnieniem nadpisy grobowców, ale

kamienna ciżba pomników, miasto umarłych nie były dla niego wówczas żadnym memento. Wiedział przecież, że człowiek jest śmiertelny, że ludzie unierają... I podziwiał marmury pięknych rzeźb, misterne koronki żelaznych balustrad, starannie pielęgnowane klomby kwiatów, podobały mu się ład i pieczołowitość...

Miał dobre złudzenie, i niewyrozumowaną a niezbitą pewność, że jego, Pawła Naborowskiego nie jest udziałem tak zgasnąć, że tamci — co innego, on — co innego, że ludzie, których iniona odczytywał, nie byli rzeczywistymi, takimiż samymi, jak on ludźmi... Teraz pojmował, że każde z wyrytych na grobowcu istnień było życiem zupełnie takim, jak jego, życiem, złożonem z dni, z miesięcy, z lat, z dążeń, z zamiarów, z trudów, życiem jedynem i najdroższem dla tego, który je posiadał... I rozwiało się, jak gdyby nie było nigdy! I miną jego własne dni, minie życie, skończy się wszystko!... nowi ludzie, nowe lata, mogiły, tak samo słońce i noc, sen, gazety, pociągi, walki...

Więc poco ten krótki moment istnienia, ten błysk chwilowy? Jakaż może być myśl życia?

— Szczęście—odpowiadał sobie—chyba szczęście... W człowieku mieszka pragnienie szczęścia, ludzie kochają życie, to dowód, że żyjemy dla szczęścia, że życie jest szczęściem...

Zapadł w zadumę...

Gdzież są ślady szczęścia w dzienniku? Byłóż kiedy to szczęście w jego życiu?

Ponury z powodu choroby i zgryzot ojca—dom, ojca, który jedną ręką grał i tracił nienie, drugą—gorączkowo a niefortunnie robił na spekulacjach pieniądze, łzy i niepokój matki podczas nieobecności ojca: powroty ojca, które wywoływały popłoch, sceny, przerażenie służby, posępna cisza, tanten zawsze zamknięty straszny pokój, w którym ojciec chorował... Były uśmiechy i jasne smugi...

Potem śmierć ojca (strzał za drzwiami straszego, zawsze zamkniętego pokoju) pogrzeb, ubóstwo, oszczędność, długi, których ciężar odczuwał intuicyą... w domu zabrakło naraz połowy sprzętów, zabrakło służby, i przyjaciół... potem umarła matka... Wyjazd do wielkiego miasta, gimnazjum, samotność, nienawistne lekcye gimnastyki, na których był pośmiewiskiem... Kolegom było wesoło, ale on może przedwcześnie dojrzał... Nie miał domu rodzinnego, nie znał ich uciech... Uczył się, brał dodatkowe lekcye języków i gimnastyki, oszczędzał (chodziło mu o spłacenie długów ojca i już wówczas o podźwignięcie fortuny Naborowskich), jeździł nad morze dla wzmocnienia zdrowia... Ta przeszłość wydaje się

ciemną... Piątki i pochwały nauczycieli, nagrody, rozkoszne wówczas, teraz, zbladły... Smutne i zimne dni... Może przedwcześnie dojrzał? Wszyscy dokoła niego żyli inaczej...

Uczył się przykładnie i sumiennie — przez obowiązkowość i z zaniłowania—polecił opiekunom, którzy podziwiali skromność jego wydatków, spłacać długi, zaoszczędzony grosz odkładał na przyszłość dla podźwignięcia rodu, dbał o zdrowie, gimnastykował się, kąpał się w morzu, przewietrzał pokój, chodził na spacer... Przyjaciół nie miał... (pracowici między kolegami byli głupszy od niego, rozumni i zdolni nie zajmowali się naukami szkolnymi, zresztą wszyscy razili jego, wychowanego wykwiutnie, rubasznością form, hrabia Tobiasz był dziwakiem) Zimne i smutne dni...

Potem przekonany o swoim naukowem powołaniu, udał się za granicę dla studyów. Pracował i tak samo wietrzył pokoje, gimnastykował się, kąpał się (w zakładzie hydropatycznym), tak samo był samotny... Nawet niemka staruszka, której był lokatorem, wyrażała mu swoje współczucie, nawet lokaj dziwił się, że Herr Graf nie odbiera listów... Dzierżawcy Naborowa i Borka dwa razy do roku przysyłały raty do banku... Z gotową rozprawą zjechał do Krakowa — w złą godzinę...

— Gdzież szczęście? — pytał, szybkim skrzydłem pamięci ogarniając przeszłość — gdzie szczęście? Były powodzenia i zwycięstwa, piątki i nagrody, pochwały nauczycieli i profesorów—to mało, to mało...

— Człowiek zostawia owoc czynów, żyje w pożytku, który przyniósł ludzkości swoim istnieniem — rozumował dalej — atom znika, lecz całość macierzysta—ludzkość trwa. Uczciwe i wytrwałe pełnienie obowiązku daje nam strawę zadowolenia, wyzbycie się egoistycznych uczuć jest zadaniem uświadomionego człowieka.; trzeba położyć cegiełkę we wspólnym gmachu postępu...

Tak wierzył; ale te myśli, wydobyte z książek, sztucznie związane w całokształt, nie wypróbowane w żadnym ogniu, były obecnie niby obumarłe płatki kwiatu, który zwiadł od niewiadomej przyczyny... Brał je po kolei w palce, patrzył w nie, szukał w nich pokrzepienia—kwiat wydawał się znużonym czy martwym... Nie mógł wzbudzić w sobie zapału, z którym wybiegał jeszcze niedawno ku przyszłości, ku urzeczywistnieniu zamiarów i planów...

Skończy odczyt, zyska nim zastęp zwolenników, stanie się głośnym ziemianinem, wybitnym działaczem—i cóż? Uporządkuje i podniesie Naborów, oświeci kilka wsi, doprowadzi do wysokiej kultury rolnej zakątek kraju—i co z tego?

Gdyby był został na polu naukowem, osiągnął wysokie zaszczyty, zgromadził obfite plony wiedzy — także mógłby zadać sobie to samo zniechęcone, beznadziejne pytanie. I co z tego?

Jeżeli szczęście jest treścią życia, to jego własne życie nie posiadało tej treści. Czy przyjdzie kiedy ta treść napełnić jego dolę tak jak światło dnia przychodzi napełnić co rana ciemny w nocy pokój?

— Rodzina, ognisko domowe, dzieci—myślał jeszcze czasami przelotnie—radość odradzania się... Rodzice żyją w dzieciach, które są przedłużeniem ich doczesnego wieku... nieprzerwany łańcuch pokoleń snuje się przez dzieje... słodkie i mądre prawo natury...

Ale tylko ciemniała mu twarz, jak wówczas, gdy w drodze z Jaworowa był pytany przez stryja Michała, i odpowiadał sobie samemu, tak samo, jak wówczas:

— Nie ożenię się nigdy.

Na ciemnych wodach istnienia nie było blasku...

I szedł, żeby oderwać myśl od dziennika między ruiny byłego pałacu, na którego widok wzdrygał się do niedawna, patrząc na smutne zniszczenie, na poniewierkę i upadek, pewny, iż nikt mu żadnym „interese“ nie przerwie tu jałowych, niemocnych, trawiących rozmyślań... Snuł, niby robak we wnętrzu rozkładającego się trupa, (nasuwało mu się to porównanie) po zgniłych belkach, po spróchniałych deskach, pod pękniętymi, porysowanymi, osypującymi się sufitami, wśród ścian, z których tynk opadł przed laty, wśród brzydkiego kalectwa, ohydnej zgrzybiałości, żałosnej pustki... Co można było zabrać: klanki, okucia, zawiasy, drzwi, rany okienne, nawet gwoździe, tafle parkietów—pokradli chłopci i służba, i trwały tylko grube, odwieczne, spleśniałe, krwawe, gdzie obleciały tynki, mury, trzymały się sklepienia piwnic podziemnych, trwał mocny dach z dachówki. Gdzienigdzie, niby niespodziany a znikomy promień słońca, uśmiechały się wątlym uśmiechem poblakłych farb, freski: to jasne kędziory jakiejś głowy — może bóstwa—która się starła, to ramię niewieście, wyciągnięte ruchem przesadnym w próżni, to oczy, same jedne żywe, jakies łagodne, oczy bez twarzy... Najlepiej zachowała się sala jadalna, komnata największa ze wszystkich. Ocalało trochę posadzki, przedziwnie kunsztownej z różnokolorowego drzewa (widocznie nie mogła nikomu się przydać), ocalały rzeźbione ozdoby drewnianego plafonu, ocalały misterne oddrzwia. I w ścianach tkwiły jeszcze haki, na których ongi wisały zapewne portrety przodków...

Gdzie podziały się same portrety, gdzie jest ta galeryja martwych, nieruchomych, uroczytych twarzy? Niechby były tu i spo-

glądały ze ścian na zjadliwe szyderstwo czasu, na koniec wszystkich rzeczy...

Były niegdyś uczyty, przez te wysokie drzwi wchodziły pary, luczła kapela, łały się strugi wina, strzelały moździerze, zajeżdżały złociste karoce... Teraz cisza i milczenie gruzów, kurz i pajęczyny.. W nocie jesienne jęczy, świszczy, zawodzi tu wicher, długie słoty ścielą tu śliskie i zimne pokrowce pleśni, dną śnieżyce i rozkładają u okien na cudownych wzorach posadzki białe błamy, zasy i wały... na murach szkli się skorupa lodu, która taje potem, i ciche drobne krople ściekają wolno, niby łyzy, gwarząc... Przychodzi wiosna, co rok budzić ziemię—i pomija ten grób...

Chłopak wioskowy narysował ręką niewprawną kawałkiem węgla olbrzymią głowę z ogromnym nosem w profilu. Zawieszisty wąs i oko bezmyślne w kształcie trójkąta... Może to złośliwy symbol?

Poco żyli ci ludzie, którzy pracą lat wznosili, budowali, zdobili, złócili ten przybytek uciechy? Gdzie jest chociażby nikły ślad ich zabiegów? Alboż on, Paweł Naborowski, który jest ich potomkiem, wie o nich cokolwiek, alboż oni żyją w nim? Pokolenia następują po sobie jak łany zboża na zagonie, płynie wiekuisty potok dziejów...

Oto ogromna głowa z zawieszistym wąsem, bezmyślna, bezmyślnie uśmiechnięta przygląda się zniszczeniu swojego dzieła. Przeszłość, wystawiona na urąganie... Próżny jest trud żywota, próżny jak pisanie na piasku. Czas zetrze, zetrze...

Nigdy jeszcze Paweł, który wierzył i czczył tradycje, kochał chwałę rodu Naborowskich i marzył o podźwignięciu go z nizin, nie dotarł do tak beznadziejnego kresu. Był jak człowiek, którego pochwyć niespodzianie wśród białego dnia, wśród pracy lub podróży ręce nieznanymi zbirów, zwiążą i strącą na dno czarnego lochu, gdzie zakutemu w kajdany zostaje jedno—patrzeć w mrok.

Chodził zwolna po olbrzymiej komnacie, budząc gromkie i zuchwałe echo, dotykał niewiedzieć poco kalek ścian, pytał o coś spłowiełe uśmiechy fresków, spoglądał we drzwi, oddawna i na zawsze otwarte, jak gdyby spodziewał się jeszcze, że naraz poczną sumać przez nie długim korowodem pary strojne, barwne, świetne... Stałyby między niemi i płynął z ich orszakiem milczącym bez dźwięku i szelestu po pustych pokojach, okrążyłyby tak jak one ze smutnem zdziwieniem ruinę pałacu, odszedłby w ich ślady...

Odszedłby—i byłby już koniec... Cóż mu bowiem po tych latach, które jeszcze przyjdą? kilka tysięcy dni? Trochę daremnych wysiłków i nudy?

Słyszał turkot fur, zwożących snopy, stuk siekier, które ciosały drzewo na nowe czworaki, nawoływania fornali, żarty mularzy, odnawiających kaplicę grobową, któregoś wieczora spłonął nawet młyn, podpalony przez jednego z żydów, których wysiedlał—ale to wszystko nie wytrąciło go z apatyi, ze stanu niemrawej bezwoli, z posepnego osłupienia, poranki spędzał wciąż w swoim pokoju, przy biurku, niby nad dziennikiem, który przestał przeglądać, popołudnia w pałacu albo gdzieś daleko w polu, na jakiejś miedzy ukryty. I przeżuwał wciąż te same myśli, ten sam nastrój tak jak bezczynnny majtek przeżuwa gorzki tytoń. Nie wyprowadzał żadnych wniosków, nie układał postanowień, nie dokonywał odkryć—patrzył poprostu w szarzyznę życia własnego, którą zasnuł wszystko, dokoła, i nudził się. Kochał przedtem i życie i przeszłość swoją i siebie, siebie ze czcią i z dumą, z przywiązaniem bałwochwalczem do każdego szczegółu i drobiazgu dotyczącego jego osoby—dowodem dziennik, prowadzony niestrudzenie, nieprzerwanie przez szereg lat, dziennik, w którym zapisywał każdy fakt, najbardziej pośledni z życia, a mający dla niego tę samą wagę, którą dla zbieracza ma każdy numizmat, chociażby lichy i starty—teraz odwrócił się z odrazą i jakby z rozczarowaniem. I trapiły go dwa uczucia, na pozór sprzeczne: z jednej strony z przerażeniem widział kres, ostatnie nieodzowne rozwiązanie każdego życia, niewzruszony dogmat śmierci—z drugiej z gorzkim powątpiewaniem mówił sobie, że, obróciwszy na marne wiek młody, nie osiągnie celów swoich i jedyne go celu—szczęścia, że na jałowych dążeniach zejda mu dnie jego.

Aż przyszło przebudzenie.

Któregoś dnia, gdy tak samo zgnębiony i zniechęcony, pełny nudy wewnętrznej deptał tafle posadzki we wspaniałej komnacie jadalnej, coś pchnęło go ku jednemu z otworów okiennych. Wsparł się o framugę, zasypaną kawałkami odwiecznych szyb, wychylił głowę... Uderzyły w niego skwar i ostra woń chwastów, rosnących między gruzami. Patrzył... przez tyle czasu nie widział, pogrążony w błotnem zalewisku nudy, pięknego oblicza lata, zapominał, że te brzydkie ruiny były jak martwa i naga skała, która tkwi wśród błękitnych wód rozkosznego jeziora.

Było popołudnie dnia letniego, był widok przedziwny w przeciwstawieniu do posepnego rozkładu dzieł ludzkich dokoła, czarowny, jak gdyby sen wiecznej młodości, jak gdyby obraz krainy z tamtego brzegu. Z daleka razily wzrok świecąca, rozgrzana w upale pozłotą gładkie rżyska, na których uwijała się pracowita ciżba, i biegły śniadą roztoczą w daleki przestwór, stykały się

z lazurem niebios złote, zda się przepyszne złotolite lamy u błękitnego płaszcza królewskiego, który jest wdziany w uroczystej chwili świętego dnia... Bliżej skoszona łąka, cała w słońcu, słała szmaragdowy kobierzec, miękki, jasny, prześwietlony; każde piórko trawy świeci i skrzy iskrą słoneczną; od ciemnych olsz, tworzących gęsty szpaler na skraju, kładzie się cień i duma w chłodnym zaciszu.. Łąka szczęścia, kobierzec wesela, kobierzec godów, ustronie nieskończonej radości... oto, muskając stopą czubki roślin, idzie marzącym krokiem cudna istota w bieli, płynie powiewny płaszcz jej szat... Niema nikogo... Widać tylko roje motyli, słychać upalny gwar owadów, które sennym brzękiem mówią o rozkoszy, o gorącu, o krótkim, szczęśliwym istnieniu...

Lato i życie, sama radość i moc życia zaśmiały się do Pawła z tego obrazu. Oto rzeką lazurową i słoneczną, rzeką zieleni i kwiecica płynie przez świat lato, oto dzieje się codzienny cud życia, oto bije w tajemnym łonie ziemi wiekuiste pracowite tętno bytu. Paweł wsłuchiwał się. Jak gdyby dotknięty wskrzeszającą ręką, jakgdyby olśniony, jakgdyby rozweselony puharem wina, wychylonym duszkiem i do dna—ocknął się. I mimowoli ruchem zachwyconym wyciągnął obie ręce rzekłbyś w naiwnym dziecięcym zamiarze przygarnięcia, zagarnięcia, przyciśnienia... Kędy tylko spojrzeć, widać rozlew wszechżywotnej mocy, bujny rozkwit, upojenie, radosne święto istnienia... Przepotężna, młoda fala życia...

Dokoła pałacu świergołą jaskółki, troskliwie o gniazda, ulepione pod dachem; kwilenie piskłat...

Dwie brzozy młodziuchne, wysokie, wiotkie, proste, srebrnopienne pochylały ku sobie na wprost okna precudne wierzeholki i całowały się wśród lazurów cichem muśnięciem, słodkiem wzruszeniem lśniących liści. Mijała chwila—i znowu nieruchome marzyły, potem szły ku sobie i chwiały prześlicznymi głowami i pieściły siebie, pieszczotą ledwie znaczną i brały pocałowanie — i cichły w upojeniu.

Paweł doznał dreszczu, jak gdyby to do niego tuliły się te cudne głowy, jego to pieściły nieśmiało dotknięciem, jego lechtały lęklwym pocałunkiem. I nie mógł już zostawać dłużej tu wpośród gruzów i pajęczyn, kurzu i pleśni, w cieniu śmierci, w posepnem milczeniu przeszłości... szukał życia.

Ruszył, pefen bezpodstawnej otuchy, krokiem ucieczki przed siebie w słońce, w pole, w upał. Rozradował go tam widok zwózki gorączkowej, turkotliwej, gwarnej. Wrzała praca, brzmiały śpiewy i nawoływania, rozmowy; wozy skrzypiały, kołysząc się na zagonach, jakieś źrebię rżało, uganiając się w podskokach za



matką, wprzeżoną w drabinę... Paweł przyglądał się z wesołością, potem walcząc z nieśmiałością, stanął w szeregu. Rozpierały mu piersi żądza ruchu i rzadka, chłopięca prawie uciecha, w sercu miał kochanie, dobre, proste, bratnie, którym ogarniał i tamtą szpetną kobietę z podbitym okiem, w przedostatnim miesiącu ciąży, i chude szkapięta, co rade z chwilowego wytchnienia,—wyciągają szyję dla skubnięcia traw z miedzy, opędzają się muchom długimi, kołtuniastymi ogonami i rżącego żrebaka, i wyrostka bez czapki w koszuli aż do pięt, i starą dziką gruszę, osypaną okrągłemi, sztywnemi liśćmi, i bezmiar pogodnych niebios, i bezmiar świata, skapanego w słonecznej ciszy, w błogosławionym spokoju... Dobra chwila, jedyna...

Nikła chmurka sunie zaledwie widzialnie przez modre odnęty, powoli, jak niewinne dziecko, które pełza, bo chodzić nie umie, zatrzymała się nad samą gruszą—idzie dalej... Paweł przestał szukać jej wzrokiem. Wszczepił się w robotę z całych sił ramienia, z całej ochoty serca, niby żołnierz rozgrzany bitwą we wroga. Nic to, że snopy wysuwały się z rąk, że podrzucone nie dosięgały szczytu wozu, i z szelestem leciały na ziemię, że pryskało przewiąsło niezgrabnie ujęte, że dziewczyna uśmiecha się do jego niepowodzeń,—odpowiada jej szczerym uśmiechem... Będzie pracował do samego wieczora, i jutro od rana, i każdego dnia; pójdzie z pługami, z kosą, przy bronach... Alboż jest większa uciecha, niż oblewać się potem, czuć gorący bieg krwi, nie ustępować, walczyć z trudem roboty!

Naładował już jeden wóz, dwa wozy, trzeci, czwarty...

Ludzie poglądają ku niemu z uznaniem... ośmielili się... w tym końcu pola ktoś zanucił... Kochani ludzie... objąby ich wszystkich w tym momencie za głowy i uściskał, jak braci, jak druhów... I oni płoną dla niego tem samym uczuciem... Stary fornał w czarnej „żakietce," w butach, wciągniętych na zgrzebne spodnie o żółtej, obrośniętej, zgryźliwej twarzy raz po raz patrzy w jego stronę, uśmiecha się i mruga porozumiewawczo oczami... Zdobył ich...

— Panoczku! — odzywa się stary fornał — pan widzi, my i w niedzielę pracujemy, „kab“ żyto nie zmokło... trzeba nam na „borysz“ panoczku — starzec uśmiecha się przebiegle.

— Jakto w niedzielę?...

— Dziś niedziela panoczku — zgryźliwa twarz fornała roztafia się w jaśniejącym uśmiechu.

— Ja nie chcę, żebyście pracowali w niedzielę...

— „Komisar“ kazał...

Paweł przestał pracować. Stał chwilę w niepewności. Rządca p. Skiwski bez upoważnienia złamał święto, trudno już cofnąć dane rozporządzenie, ale nie zgadza się to z zasadami .. praca w niedzielę, wódka...

Paweł zawrócił do domu. Szedł wolno, żałując roboty, ludzi, dobrej chwili.. Znowu samotność, gorzkie myśli, dziennik, szydercze widmo przeszłości...

Przechodząc koło stajni kazał zaprządz sobie konie. Nie miał do kogo jechać, nie wiedział jeszcze dokąd pojedzie, czuł tylko, iż musi wyrwać się z beznadziejnego koła nicujących dumań, chciałby zapomnieć, zatracić siebie... Zapragnął rzeczy niedoznanej, zapragnął żyć, jak żyją inni, żyć prosto, rozgrzać stygnącą krew, słyszeć bijące serce, odetchnąć... Bywały takie godziny i dawniej. W miastach zazdrościł wówczas tym, którzy siedzą dokoła stołów, w szynkach, w dźwiękach hałaśliwej muzyki, w zaduchu, w pijackim gwarze, zazdrościł, że wychodzili, zataczając się, krzykliwą czeredą z brzydką pieśnią na ustach, że brali napotkane kobiety, zmykające z piskiem, wyrządzali skandale, pładrowali w ciemnym zaułku.. Szedł za nimi jak szpieg, jak głodny szpieg... Ciemny zaułek pełny był muzyki, grającej do tańca...

Spілby się teraz. Ale tu na wsi panowała świąteczna, senna cisza. Stał przed biurkiem i marszczył czoło. Dziecinne łzy cisnęły mu się do oczu.

— „Nigdy nic, nigdy nic!..“ --szeptał.. sobie samemu.

A gdy powóz zaszedł pod ganek, zamigotała w nim na chwilę zdradziecka myśl.. „Kamieńczyce... Byłby tam przed wieczorem z krótką sąsiedzką wizytą... nawet wypada... zresztą... moment radości...“ Dotkliwie zabolęła szarpnięta blizna.

— Daleko stąd do Pełłowa? — zgaszonym głosem spytał woźnicę.

— Dwie mile, ale droga „letka“ — odparł staugret zgadując myśl pana. Służba lubiła jeździć do Opolskich. Paweł spojrział na zegarek. Było pół do piątej.

— Jazda. Na szóstą stanąć w Pełłowie.

Ogromne, gniade (świeżo kupione) konie ruszyły z miejsca w tęgiego kłusa. Zadudniła ziemia pod migającymi kopytami; szybka jazda sprawiała Pawłowi szczerą przyjemność. Z lubością patrzył na swoje konie, liczył słupy wiorstowe i czas podług zegarka.

Mknęli jednym tchem. Nie dochodziła jeszcze szóstka, gdy wśród drzew zabielał, widny zdala, murowany dom Pełłowski.

— Pełłów—rzekł furman, ukazując biczem--dobre konie!-- i zwrócił do Pana uśmiechniętą, zadowoloną twarz.

— Dobrze konie!—z takim samym uśmiechem, połączony po dziedzicznej szlacheckiej żyłce koniarskiej, potwierdził Paweł i kazał zwolnić. Chciał przyjrzeć się choć przelotnie ósmemu cudowi świata, którym podług zgodnej opinii całej okolicy Ugodzińskiej miał być Peptów. Ale nie widział tymczasem nic nadzwyczajnego, tylko piękne urodzaje na polach, gdyż trzeba było doświadczonego rolnika na to, ażeby ocenić rzeczy na pozór proste a zaprowadzone z olbrzymim nakładem pracy i kosztów, jak oto: rowy wzdłuż dróg, aleje, murowane mosty, doskonałe drogi, gdzie nęgdzie nawet ubite na podobieństwo szosy, łąki gładkie jak kobierzec i t. p. Za to czworaki z cegły, kryte dachówką, o dużych oknach, otoczone drzewami, każdy z ogródkiem i własnym obejściem, wzbudziły zazdrość Pawła. Żywo stanęły mu w oczach nędzne, smrodliwe, rozwalone chałupy Naborowskie. Więc jego działalność nie była ani nowatorską, ani reformatorską? A zresztą jaka działalność? Zupełnie jałowa dotychczas, zupełnie daremna... Nie mógł odegnać pesymizmu dnia tego...

Tymczasem powóz zatrzymał się już przed domem, dużym, długim, za długim, murowanym, o spuszczonej markizach.

Żwawy i gościnny lokaj zaprowadził Pawła do państwa, a raczej do Opolskiego, bo ten samotnie koło dzbana kryształowego z kruszonem, w salonie zażywał upalnego wywczasu.

Nie poznał Pawła, wlepił w niego osowiałe, niechętne spojrzenie, nie wstał na powitanie, nie prosił siadać, nie częstował kruszonem, do którego gość po kilku godzinach jazdy w upał, wzdychał z upragnieniem. Paweł, oczekując na gospodynię rozrywał się widokiem rzeźb i obrazów, których pełno było w salonie, i cedził przez zęby jakieś ogólniki o skwarze i urodzajach, o dobrych i złych drogach, które to zdania, Opolski czasami zbywał głuchem milczeniem, czasami kazał sobie głośno powtarzać.

— Pan z daleka? — wybełkotał nagle, jakby coś sobie przypominając.

— Z Naborowa — krzyknął Paweł.

Senne oczy Opolskiego ożywiły się.

— Alfred dawno umarł — mruknął.

— Jestem bratankiem stryja Alfreda...

— Alfred był niezonały — zaprzeczył gospodarz — fiu, fiu i stuknął siebie w czoło, może pomawiając Pawła o pomieszanie umysłu, albo o jawne oszustwo.

— Ja też jestem nie synem, ale tylko bratankiem — wrzeszczał Paweł — stryj Alfred *grand oncle* — miał brata Tadeusza, który był moim dziadem.

Opolski pociągnął napoju i jął rozmyślać nad słowami Pawła.

— A pan żonaty? — spytał potem nagle.

— Nie.

— Znajdź-że pan sobie taką żonę, jak moja...

Paweł zamilkł zdziwiony.

— Znajdź-że pan—powtarzał Opolski, uśmiechnięty, figlarny, szczęśliwy.— Nie znajdziesz! i pewno kochasz się w mojej żonie? Co? kochasz się, jak wszyscy... a ona we mnie—uderzył się w pierś—stary, a jeszcze coś wart...

I zapił swoją dumę kruszonem.

W tej chwili szybko, szeleszcząc jedwabiem jasnej obcisłej sukni weszła pani Anna. Wchodząc miała swój zwykły światowy, uprzejmy a prześliczny uśmiech.

— Pan już oddawna — witała gościa — nikt mi pana nie zameldował i dlatego tak się spóźniłam. Proszę pana — wskazała krzesło — Nadczekiwaliśny pana już oddawna. Z Naborowa do Pełowa, tak blisko, a pan się ociągał... Dlaczego? Chyba że uwięziono pana w Kamieńczycach?

— Wyjechałem zaraz po odjeździe państwa.

— Ach, tak?... Dobrze panu idzie w gospodarstwie?—zmieniła temat, widząc cierpki grymas Pawła.

— Jak zwykle...

I rozprawiali czas jakiś o rolnictwie.

— O czem to mówicie? — odezwał się Opolski.

— O gospodarstwie.

Opolski gniewnie machnął ręką.

— Gospodarstwo, to wiatrak w czas bezwietrzny — bełkotał, wytrzeszczając swoje blade oczy.— Oplacaj młynarza, a mliwa nie ma. Płać i płać.. Koteczek uparty... Jabym tego filozofa oddawna za kołnierza — wykonał jakiś niedołyżny ruch — jego nasze pieniądze nie boją, bo cudze...

Pani Anna patrzyła w dywan.

— Stefan Modrzec zajmuje się u państwa — rzekł Paweł— znałem go w szkołach i spotkałem w wagonie, jadąc po raz pierwszy w te strony.

Pani Anna nie podniosła spojrzenia.

— To pracowity i niezaprzeczenie uczciwy człowiek — ciągnął dalej Paweł, rad, iż ma o czem mówić—Znałem go dobrze. Wywierał wpływ na młodzież olbrzymi, zgromadzał, uwijał się, kazał. Słuchali go i nosili na rękach i wszędzie było go pełno. Myślałem nieraz, że on obywa się bez snu i bez jadła. W wypłowiawym szynelu, w wytartej czapce, w stukającym obuwiu, biegł od

rana do nocy... — Paweł urwał, może wpatrzony w ten obraz daleki. Po chwili uśmiechnął się i dodał:

— Kochały się w nim wszystkie pensye, nazywano go Adonise'em czy Antinouse'em... Miał powodzenie...

— A on?—cicho spytała pani Anna—czy on... korzystał z tego powodzenia?

— Był zaręczony—odparł Paweł i, niewiadomo dlaczego, utknął. Chwilę było milczenie.

— Może pan kruszonu—przerwała ciszę pani Anna, z wysiłkiem dźwigając ciężki, kryształowy dzban.

Potem znowu prowadzili rozmowę, która rwała się, zmieniając wciąż tematy, wnet w jakimś krótkim zdaniu wyczerpane. Paweł spostrzegł, że pani Anna była roztargnioną czy smutną, że miała zgaszone oczy i jakąś cierpką ryś koło wąskich ust. Usiłowała wszakże zapanować nad sobą i udawała ożywienie.

— I ona — myślał Paweł, który od niejakiegoś czasu zaczął zastanawiać się nad odwrotną stroną, nad tajemnicą istnień ludzkich—i ona także! Rozwiązała zadanie życia tak świetnie, i zbrakło jej czegoś...

Za to Opolski rozruszał się na dobre. Zapytywał i kazał sobie powtarzać słowa Pawła, żartował, gładził żonę po ramieniu, gromił zbytki, wyrzekał na modnych agronomów i upały, na medycynę i doktorów.

— Płacę im pięć razy drożej niż wszyscy, a każdy patrzy na zegarek i śpieszy, byłem u wszystkich, żaden nie pomógł... — opowiadał z żalem.

Panią Annę ten jego dobry humor nużył widocznie. Kręciła się niespokojnie na krześle, przeglądała fotografie, wreszcie wstała.

— Może pochodzimy trochę — zaproponowała Pawłowi po francusku — pokażę panu dom.

— Właśnie chciałem panią prosić...

— A ja?—kapryśnie zapytał Opolski.

— Zaraz wrócimy...

Pocałowała go w głowę, on zaś objął ją jakimś gwałtownym, a zarazem bezsilnym ruchem, i przycisnął do piersi.

— On kocha się w tobie — mówił wytykając Pawła palcem i mrugając jednym okiem—jak wszyscy. Ja wiem, że on zakochał się...—śmiał się...

Pani Anna wymknęła mu się.

— Mój mąż bredzi czasami—szepnęła we drzwiach, jak gdyby chcąc przeprosić Pawła.

— Mówił mi już to samo przedtem i cieszy się. Pani obudziła w mężu zachwyty i uwielbienie bezgraniczne.

— Widzi pan—przerywając szybko zaczęła pani Anna — oto jest wypożyczalnia i biblioteka. Nie uznaję ksiązek nieruchomości i kapitałów nieruchomości. I jedne i drugie winny iść między ludzi. Są tutaj cenne, rzadkie dzieła tak zwane białe kruki, ale pożyczam, kto tylko się zgłosi. W tym pokoju książki mądre, w tantym — łatwe, tanie, cienkie — w tym więcej kurzu, bo mniej abonentów.

— Pani musi być ogromnie szczęśliwą przez to poczucie użyteczności, przez tę siejbę dobra... pani osiągnęła wszystko, zdołała wszystkie cele... — z zajęciem, trochę przebiegle mówił Paweł.

— Przedewszystkiem, panie, to nie ja, ale pan Stefan — zmrużyła oczy — tak, panie, to wszystko pan Stefan — powtórzyła z naciskiem... jabym nie umiała... — kreśliła coś paznogciem na zakurzonej, dębowym stole — zresztą, gdyby nawet... za każdym wlecze się jakiś cień...

— Hilary Kamieniecki dowodził, że pani nie odrzuca cieniu...

— Tem gorzej. Zna pan powiastkę o człowieku, który szukał swego cieniu — odparła bez wesołości.

— Co pani rysowała na stole?

— Nie wiem... — pochyliła się nad stołem — Napisałam: „cień.“

— Zdaje mi się, iż każdy szuka cieniu... — zauważył Paweł.

— A widzi pan...

Była roztargnioną i nie prosiła nawet o wyjaśnienie tej mglistej myśli. Nastąpiło milczenie. Pani Anna znowu coś pisała.

Duży, ustawiony, dębowymi szafami, pełny zakurzonych ksiąg, pokój przypominał Pawłowi biblioteki uniwersytetów i muzeów, w których spędził tyle lat. Był tu ten sam, odrębny, jedyny na świecie zapach, było to samo powietrze, trochę chłodne i zatęchłe, to samo oświetlenie. Czy dochodzą tu kiedy niekiedy promienie słońca?... Paweł odsunął wspomnienia, które szły same.

— Czy samodzielność daje szczęście kobiecie? — zapytał — zwykle bywa tak, że kobieta żyje cudzem szczęściem, szczęściem męża, dzieci..

Uśmiechnęła się..

— Więc kobiety, zdaniem pana, są jak planety?..

— Ale cywilizacya zbliża te dwa odrębne typy, upodabiając kobiety mężczyznom i odwrotnie. Kobiety męznieją, mężczyźni niewieścieją...

— Niestety.

— Czy i w jednym i drugim wypadku — Niestety?

— Tak w obu.

— Zdawało mi się, że pani...

Nie słuchała go. Wodziła ręką po książce, ogarnięta zamysleniem, dawała odpowiedzi bezbarwne i wymijające. Paweł zaś, rad, iż po tylu tygodniach samotności może mówić, że obcuje z tą piękną i mądrą i sławną kobietą, stawiał pytanie po pytaniu i chciałby zapuścić w jej duszę ciekawe a chytre spojrzenie.

Nie jemu jednemu, jest źle i ciężko... oto ona, zdawałoby się na szczycie szczęścia — i kryje jakieś smutki, i ma blade gorzkie uśmiechy, zmarszczki cierpienia na czole... Nie on jeden... Może odczuwa pustkę w życiu, ponieważ jest bezdzietna... może... a jaka piękna! — myślał, przyglądając się jej w jakiejś chwili milczenia, — z temi włosami, w tej sukni obcisłej... posąg... tylko nieuprzejma...

— Panu jest dobrze w tej atmosferze książek — odezwała się naraz pani Anna — nieprawdaż? panu przypominają się lata minione... urok wspomnień... Może siądziemy u okna i pan — opowie mi coś...

— Wiem trochę o panu — zawahała się — od pana Stefana... Pan przechodził niepospolite koleje... Niech pan opowiada! Będę słuchała... życie ludzkie to najciekawsza z książek... mówiła z czarownym uśmiechem, pochylając się do gościa i zaglądając mu w oczy, przeistoczona nagle z zimnej i znudzonej gospodyni domu w przyjaciółkę serdeczną i zaufaną.

Znużona natarczywym egzaminem Pawła, chciała, żeby on się rozgadał, żeby prawil o czemś długo i jednym ciągiem, pozwalając jej milczeć, nie zabawiać i odbiegać myślą tam, kędy od niejakegoś czasu szły wszystkie jej myśli, żeby wydobył dla niej ze swojej przeszłości jedno imię i jedną postać i opowiadał i wta jemniczał ją... Tego pragnęła najbardziej...

— Życie ludzkie to najciekawsza z książek... Tylko że nie my sami ją piszemy a ktoś inny... Kto panie? Pan Bóg? Kto, panie pisze tę książkę naszą za nas? — pytała — traf czy opatrność? tę dziwną książkę, która kończy się zawsze tak samo — śmiercią, w której tyle jest złudzeń na początku, a taki smutny uśmiech pobłażliwości przed kresem... I nikt nie korzysta z cudzych doświadczeń...

Paweł wyprostował się, sztywniał, milczał. Pani Anna dotykała miejsc obolałych, które on sam rozszarpał w ostatnich tygodniach, otwierała drzwi potajemne, za które w posępnych zasiekach piętrzyły się stosy gorzkiego ziarna, pchała go w ciemny kurytarz, z którego rad był wydostać się choć na krótko. Chrząkał.

— Pan posmutniał — mówiła znowu — pan nie lubi tego tematu, przepraszam... chciałam pójść z panem w aleje przeszłości, po-

znać pana... możebym znalazła jakie rady i środki, możebym uzdrowiła jakim drogocennem zielem... Niech się pan nie smuci... Pan taki młody! Pan odwrócił za ledwie kilka kart... Jeszcze dobre czekają pana, jeszcze najlepsze karty... — uśmiechała się wciąż swoim przesłicznym uśmiechem do gościa, przesycała słowa swoje miodem serdeczności.

Łzy zakręciły się w oczach Pawła. Skorupa skrytości roztajała na sercu jego, ogarniała go słodka radość... Ma do kogo mówić, znalazł istotę bliską i dobrą...

— Pani chce wiedzieć, jaką jest treść tej mojej książki! Dobrze... opowiem pani... powiem szczerze...

I począł opowiadać dzieje życia swego, dzieciństwo i młodość, tak jak myślał o nich w samotnych pokojach Naborowskich, ze zwątpieniem i goryczą; wynurzał tęsknoty swoje, wyrwał z serca smutek długich lat, wyliczał krzywdy, nagromadzone przez zimne lata tułactwa, wszystkim żal... słowa jędrne i dosadne, których brakło mu zwykle, znachodziły się same...

Pani Anna przełożyła nogę, splótła białe ręce z pierścionkami na kolanie, pochyliła ku Pawłowi swoje cudne przedzielone przez środek włosy. Pierwej roztargniona, w miarę jak mówił, stawała się coraz uważniejszą. Od czasu do czasu tylko poglądała ku białemu popiersiu jakiegoś greczyzna, które stało na jednej z szaf.

— Oto wszystko — kończył Paweł — przyjechałem tu z zamiarami, z planem, z programem... postanowiłem wyteńczyć usiłowania na pożytek społeczeństwa, ratować wieś od upadku, powstrzymać rozwój proletariatu rolnego... Ale to są rzeczy zewnętrzne, treść wewnętrzną, zawartość duszy pozostały bez zmiany... to samo...

Zapanowało milczenie. Pani Anna dumiała nad czemś.

— Był pan bardzo biedny — rzekła potem i znowu popadła w zamyślenie. Patrzała w ziemię, marszcząc czoło.

— Chłód i pustka — cicho powiedział Paweł — dzieciństwo rozumne, jak paragraf gramatyki, młodość — niby ptak bez piór...

— Zato praca, panie, szlachetne dążenia — bezbarwnie pocieszała pani Anna.

— Praca...

Nastąpiła cisza. Ucisk nie do zniesienia kładł się na sercu Pawła. Żałował spowiedzi...

Splatał i rozplatał swoje suche, gorące ręce, rad byłby uciec stąd, od zapachu biblioteki, od sztywnych chłodnych szaf, od nudy nieskończonych szeregów grubych, starożytnych tomów... Czy dochodzi tu kiedy niekiedy promień słońca...



Żałował spowiedzi. Piękna i rozumna słuchaczka nie przeniknęła słów jego do głębi, nie odczuła, nie chciała odczuć... Z tą cichą, nieśmiałą, bladą Hanką Skibowską było mu lepiej, lżej, serdeczniej... Byłaby mu siostrą... Wciąż trwało milczenie.

— Rozumiem pana — zaczęła wreszcie pani Anna — rozumiem życie pana i typ pana — jej mądre, szare oczy spoczęły na Pawle — Pan ma ogromną wolę i wielką moc myśli. Pan nie może stać na miejscu. Pan dąży, pan musi koniecznie dążyć... ambicya... I prowadzić siebie pan nie da, prawda?

— Nie wiem, pani.

— Tak. Jest pan także naturą bardzo jednolitą — badała pani Anna, a chłód wiał od niej na Pawła. I ideolog z pana. Pan szuka celu, a utworzywszy go sobie pracą myśli, pan idzie... pan ustawicznie pracuje wewnątrz, kształtuje się, rośnie — przemiany... — urwała pograżając się w zadumę.

Teraz Paweł patrzył ku białej, z gipsu, powleczonej pyłem, zwłaszcza w zmarszczkach, pod powiekami i na brodzie głowie greczyzna o martwym spojrzeniu. Nie takich słów, rozumnych, przenikliwych, jak te, które słyszał, było mu potrzeba, nie takich...

— A nie świecił też panu płomień, żaden płomień uczucia? — trochę niepewnym głosem spytała pani Anna.

Paweł nie odpowiedział.

— Jeśli nie, to niedobrze — dodała po chwili — rozumiem serce pana. Gdyby dziecka nie nauczono mówić w pierwszych latach życia, miałyby wielkie trudności w późniejszych... Ale pan się wyuczy. Jeszcze czas! Tylko trzeba, żeby pan się starał, żeby pan szukał nauczyciela, dobrego nauczyciela! — uśmiechnęła się.

Paweł ciągle milczał.

— I to nie jest takie trudne — mówiła jeszcze — to musi przyjść... czyjeś oczy uśmiechną się do pana... niech pan szuka! Trochę dobrej woli, trochę radości życia, trochę zapomnienia o sobie. Niech pan mi wierzy, że dobrej woli potrzeba przedewszystkiem. W tych rzeczach nie można być ideologiem i szukać podług obmyślonego wzoru. Pobłażliwość, panie... czyjeś oczy uśmiechną się do pana — i niech pan bierze... Wówczas zaświecą oczy życia pana — wskazała palcem popiersie — pan patrzył i ja patrzyłam w tę głowę... głowa bez oczu a raczej o martwym wejrzaniu... te oczy zapalały się blaskiem... pan mnie rozumie?

— Niektórzy bez trudu i bez szukania, bez pobłażliwości — głuchym głosem wtrącił Paweł — znajdują, posiadają, cieszą się...

— Tak. Ale to ci, którzy nauczyli się mówić w dzieciństwie, a my z panem, a pan — poprawiła się szybko — pozbawiony tej

łaski... I trzeba się śpieszyć, panie, bo przyjdzie chwila pustki, chwila znużenia i wyczerpania, gdy żadne wawrzyny, żadne zaszczyty i zdobycze nie ukoją... Takie chwile przychodzą...

Urwała, twarz jej zaszała niespodzianie cieniem, zwiesiła głowę. Patrzała w podłogę ze zmarszczką na czole. Ręce z pierścionkiem, splecione na kolanie, rozplotły się i opadły. Zdawało się, iż zapomniiała o obecności gościa. Jakiś ukryty, tajony czujnie przed obcyimi smutek, brał ją w swój wir...

Potem drgnęła i, opanowawszy siebie, zaczęła już zgoła innym tonem, lekko, żartobliwie, po światowemu.

— Ożenię pana, obiecuję panu, a gdy kobieta weźmie się do czego! pan przekona się... przyjedzie pan do nas na moje imienny... ja urządzę... upatrzyłam już kogoś... chce pan? — nalegała ożywiona i rozbawiona tą myślą—nie „baklowałam“ jeszcze nigdy małżeństw. Ale z panem spróbuję...

Paweł prostował się coraz sztywniej na swoim krześle.

— Pani jest bardzo dobra—odparł zimno i sucho.

— Dobra? Chciałabym tylko dopomóc panu—nie więcej. Zawarliśmy z panem dziś przymierze, prawda? To będzie pierwszy mój czyn przyjaźni—i wyciągnęła do Pawła rękę.

Paweł uklonił się.

— Rozumiem pana, odczuwam pana wybornie, domyślam się i zgaduję to, czego pan nie dopowiedział... bo może... może...—dodała naraz poważnie—jesteśmy do siebie podobni... może...

— Ale idźmy już na herbatę — przerwała sobie samej z pośpiechem—idźmy na herbatę...—uśmiechała się znowu swoim zwykłym a prześlicznym światowym uśmiechem. I szeleszcząc jedwabiem poszła ku drzwiom. Paweł ruszył za nią, pełen goryczy, zawodu i wstydu... poco otwierał serce tej zimnej, światowej kobiecie, poco wprowadzał ją w ciemne, zawile przybytki swojej duszy?.. Chylił się ku niej jak umęczony brat do siostry... Chłód wiał od niej... pocieszała go projektem ożenienia i będzie knuła intrygę „baklowania,“ do której, jak wszystkie kobiety, ma zapewne zamiłowanie... Upatrzyła już kogoś!..

Naraz pani Anna zatrzymała się, odwróciła się do Pawła i rzekła:

— Widzi pan ten pachnący biały kwiat na wysokiej lodydze? Kwitnie w pięknym salonie w kosztownym, najkosztowniejszym wazonie. Musi być szczęśliwy w tem otoczeniu i przez to, że rozlewa wokoło swoją rozkoszną woń! Jak panu się zdaje? Ten kwiat jest szczęśliwy?..—i uważnie patrzyła Pawłowi w oczy.

Paweł machinalnie powąchał kwiat. Poszli dalej.

Przy herbacie pani Anna znowu prowadziła lekką salonową rozmowę. Raz po raz tylko przerywała, zapadała w zamyślenie, marszczyła swoje śliczne, niskie, białe czoło.

Paweł mylił się. Słowa jego wraziły się głęboko, wyrwały się głęboko w pamięci pani Anny, tknęły ją przerażeniem. I oto bała się, że ona może... może jest nieco do niego podobna.

## XX.

Pani Anna bała się tego podobieństwa — i nawet po odjeździe Pawła — na werandzie przy boku męża, który bełkotał nudne i dawne historye o Naborowskich, wciąż dumiała jeszcze nad charakterem Pawłowym, nad jego opowieścią, nad losem, który czekał takiego, jak on człowieka. Nie domyślała się w Kamieńcach, na majówce, gdzie Paweł uczynił na niej wrażenie nudnego pedanta, nieśmiałego samotnika, brzydkiego starego kawalera i ciasnej, upartej głowy, że zadzierżgnie się między nim a nią, świetną, piękną, uwielbianą, szczęśliwą (nadmierzaj szczęśliwą!) panią Anną Opolską, węzeł tajemnego pokrewieństwa... Wyzwała go sama na spowiedź, ale on obdarzył ją zaraz na pierwszej wizycie szczególną sympatją... Czyżby poczuwał się do braterstwa z nią? Byłoby to co najmniej dziwnem... Wielu ludzi zwierzało jej tajemnice serca (miała dar wywoływania wyznań) — słuchała wszystkich z zajęciem, z chytrą ciekawością, pobłażliwie, z miłym przeświadczeniem o wyższości i nieskazitelności własnej — dziś lekarz, badając chorego, dostrzegł w sobie zarasków tej samej niemocy. Przeraziła się. Lubiła przebywać z sobą i wpatrywać się w siebie, miała w charakterze dużo spokojnej i jasnej rozważki, ale w obcowaniu z sobą samą nie dochodziła nigdy do zbyt wielkiej poufałości, nie szperała głęboko, ani docierała zbyt daleko. Umiała zastanawiać się i rozbierać, zachowywała jednak w analizie, jak we wszystkim zresztą, potrzebną, zbawienną, zdrową i roztropną równowagę. Dziś Paweł wziął ją za rękę i poprowadził przez próg. Usiłowała cofnąć się...

„Nie kochałaś nic i nikogo prócz siebie, nie miałaś żadnych celów prócz celów ambicyi i próżności, rosłaś jak sztuczna, spaczona roślina cieplarniana dla ozdoby wazonu, której nigdy wiatr nie kołysał, która nigdy nie wiodła w słońcu upalnym...“ Był to głos, zbudzony zwierzaniem Pawła, głos własnych, najbardziej

ukrytych, najmniej znanych, najbardziej nieobłudnych myśli... Tłumiła je.

— Warunki życia podobne tu i tam, u Pawła i u niej, i stąd pozór pokrewieństwa, a przecież tylko warunki życia—powtarzała sobie, wpatrując się w słońce, czerwone, okrągłe, brzydkie, które staczało się szybko za wzgórze. — Miała samotną i może nieco chłodną młodość... zato teraz nie może się uskarżać na brak przyjaciół, na chłód ludzi... sami przyjaciele naokoło, same pochwały, uznanie... a uznanie ogółu jest poniekąd miarą wartości i zasług... Tak. Tylko, że w oczach człowieka, o którego dbała, jęła spozstrzegać zimne światło szyderstwa, tylko że jeden z przyjaciół odwrócił się od niej...

„Ból z powodu utraty jednego starego przyjaciela jest stokroć większy aniżeli radość, płynąca z pozyskania dziesięciu nowych.“ — Przypomniało się jej stare, pospolite wyczytane gdzieś zdanie... — Tak...

Zapuşciła spojrzenie w obszarach parku i wędrowała oczami od drzewa do drzewa, od alei do alei, po klombach, gazonach, białych posągach. Na pierwszej terasie, złanej bursztynowym rozblaskiem, krzyżowały się cienie, jak ostre dzidy, jak grube maczugi, jak cienkie lance i włócznie; wysoka postać Dioniziosa wystawiała głowę pod krwawy pocałunek ostatnich promieni; niektóre wierzchołki drzew płonęły; na najniższej terasie daleka woda, ciemna, bezdennie głęboka w otoczeniu jasnych pozłoconych brzegów była niby olbrzymi, czarny, posepny grób, już przygotowany, już otwarty...

Ten park kunsztowny, kosztowny, zawiły należał najniepodzielniej do dzieł pani Anny. Założyła go i wypracowała na przekór woli męża, pomimo opozycji Stefana, który żałował ogromnych wydatków i dowodził, że sztuczne wdzięki nie dorównają nigdy naturalnym, pierwszego lepszego zakątka przyrody. Spierali się o to nieraz tu, na tej samej werandzie.

— Sztuczne parki—mówił raz a bywał brutalnie szczerym—są zimnem dziełem rozumu, modą wieku osiemnastego, kłannego, obłudnego, suchego, dowodzą braku rzetelnej miłości natury, stanowią ulubiony szczegół toaletowy strojnych dam... eleganckie panie ubierają się w park, tak jak ubierają się w koronki, używają parku za tło do własnej osoby, strzygą drzewa tak, jak fryzują włosy, układają klomby tak, jak przypinają kokardy do staników... to zawsze tylko zajęcie własną osobą, to brak ideałów, brak polotu...“ Bywał brutalnie szczerym, był wrogiem estetyki drobiazgowej.. Spierali się nieraz tu, na tej samej werandzie. Tu na tej

samej werandzie, zaszła w nim przed kilku tygodniami ta dziwna zmiana... w jednej chwili i bez jakiegokolwiek widocznej przyczyny przyszło między nimi coś (co? przyjaźń, zażyłość, serdeczny stosunek, uznanie jego?) z czego nie zdawała sobie sprawy, dopóki było, czego brak odczuwa dziś, gdy rozwiało się. Od tamtego dnia spostrzegła pustkę dokoła siebie, nudę za sobą, przed sobą i w sobie — i mimo wysiłków rozumu i woli poddała się, szydząc z siebie, dziwiąc się i nie pojmując siebie samej, temu niespodzianemu nastrojowi... Bo to był tylko niezwykły, niezrozumiały nastroj... Mijały dnie, ołowiane, jak gdyby jesienne i dżdżyste, jak gdyby chore — i nie umiała znaleźć lekarstwa. Spełniała te same czynności: dobrej pani i dobrej żony, zasłużonej obywatelki — ziemianki i t. p., rozdawała te same uśmiechy, wkładała te same suknie, była wciąż piękną, rozumną, pełną cnót, świetną — ale jak gdyby naraz zabrakło jej celu, do którego dążyła, dla którego ubierała się, czesała się, uśmiechała się, czytała, pisała, zwiedzała chaty, ochronki, szpitale... Nie mogła tego objąć... Im bardziej oddalał się ten skromny przecież i nic nieznaczący człowiek, tem więcej zapełniał wszystkie jej myśli, tem wyżej rósł, tem ważniejszym stawał się w jej oczach. I to było dziwne!

Przedtem lubiła go, lubiła jego zapał, jego piękną twarz, jego gorącą wymowę, ale zapominała o jego istnieniu na całe tygodnie, odjeżdżała z domu z lekkim sercem, traktowała go czasami może trochę z góry, gdy mówił jej swoim zwyczajem prawdę prosto z mostu, miała własne zdania i poglądy (przecież stworzyła park), i nie imponował jej rozumem, sławą uczonego i pisarza, wyższością charakteru, słowa jego szły często mimo jej uszu... Teraz...

Pracowali jeszcze jak dawniej, jeździli, naradzali się, wydawało się jej tylko, iż każde jego zimne spojrzenie szydziło z niej, nazywało ją pogardliwym imieniem, bez ceremonji coś wytykało. Był pełny należnych względów i szacunku, grzeczny i uprzejmy, po nad wszelki wyraz correct, ale zarazem sztywny i chłodny. Ani razu i ani na chwilę nie wyszedł po za granicę zajęcia, obowiązku, urzędowych sprawozdań, jak gdyby na przekór i na złość, gdy teraz ona chciwie zaczepiała go z każdej strony, natarczywie wypatrywała duszy jego, łapała siebie na gorącym uczynku (na gorącej śmieszności!) obcowania z nim nieobecnym przez długie godziny, dumiała nad typem jego, nad przeszłością, z szacunkiem rozważała każde jego słowo, ze czcią odczytała wszystkie jego dzieła, które jej niegdyś ofiarował, korzystała z każdego nieraz zmyślonego powodu, ażeby przywołać go do pałacu, zapy-

tać o jakiś folwark, nie słuchać odpowiedzi, dokładnej, zwięźlej, uprzejmej, i obrzucać go niecierpliwem, nagłaczem o coś spojrzeniem...

Radość pozyskania dziesięciu nowych przyjaciół nie dorównywa bólowi nad utratą jednego starego... To był stary, wierny, oddany przyjaciel... Nie umiała go cenić, gdy czuła iż kornie kłęczy u jej stóp... Teraz zapóźno!... Chwilami zdawało się jej — w nocnych godzinach — iż za ścianą pałacu szeleszczą kroki nieznanego przybysza — cierpienia. Odpędzała go bronią najskuteczniejszą — drwiącym śmiechem. On skradał się... I teraz tamta, daleka, ciemna, posępna woda na ostatniej terasie parku, patrzyła ku niej niby grób niedoli, niby czarna głęboka czara smutku... wzdrygnęła się... Opolski gadał ciągle o Alfredzie Naborowskim jakobinie i Marcelim Naborowskim, który strzelił sobie w łeb a miał tę samą chorobę, co i on Opolski, i wyleczył się podobno na kilka miesięcy przed zgonem w Genewie, i śliską, zimną dłonią gładził żonę po ręce. Pani Anna zbudziła się z zadumy, zadzwoniła na służbę i kazała poprosić pana rządę; potem, jakby nie słysząc pieśzcotliwych nalegań męża, żeby nie odchodziła na długo, wstała i wyszła. W jednym z salonów rzuciła okiem na białą, pachnący kwiat na wysokiej łodydze, przed którym zatrzymała Pawła.

„Sztuczna, spaczona roślina wypielegnowana ku ozdobie wazonu... ani razu słońce upalne, ani razu wiatr, wielki, huczny, szumiący wiatr...“ — pomyślała.

— Ale Pawłowi nie należało tego mówić. Każde niebaczne słowo mści się — karciała siebie — niedobrze jest, gdy z przepętnionego kielicha przelewają się kiedy-niekiedy krople szczerości... niedobrze... co zaś napętnia kielich?

W gabinecie, na pół męskim, na pół kobiecym, wystanym dywanem na cały obszar pokoju, z obrazami na ścianach, z ciężkiem i dużem biurkiem, na którym obok kalendarza terminowego, obok grubego tomu encyklopedyi i spodków z nasionami, wdzięczyły się prześliczne, codziennie świeże bukiety — pani Anna zasiadła do ksiąg rolniczych. Przyjazd Pawła przerwał im coniedzielne rachunki. Przyglądając się kwiatom, dziwnym georginiom chryzantemowym, myślała znowu o nienawiści, z którą Stefan napadał na estetykę drobiazgów, na zamiłowanie niezwykłych kwiatów i roślin, na stylowe meble i sztukę zdobniczą, i nadczekiwała.

Nie przychodzi... Może wyjechał do jakiego folwarku, przypuszczając, że gość zostanie dłużej? Pracuje teraz ze zdwojoną gorliwością... Nie przyjdzie!... Długi, nudny wieczór... Idzie... Może usunąć bukiety?...

Ale nie zdążyła tego uczynić.

— Pani na mnie czekała?... przepraszam... siadałem już na konia...

— I pan się przebierał! A tyle razy prosiłam pana przychodzić do mnie bez ceremonii—wynawiała mu z naciskiem. Lubiała go w długich butach. W tem ubraniu odświętnem i niekoniecznie modnem, wyglądał banalnie.

— W obec dam... w butach... — tłumaczył się.

— Nie jestem damą, lecz kolegą pana, kolegą-rolnikiem...

Uśmiechnęła się, ale jego twarz została bez zmiany, więc dokończyła sztywniej:

— Niech pan siada. Mamy jeszcze dużo do roboty.

Na otwartych księgach leżał ołówek w tem właśnie miejscu, gdzie zatrzymali się, gdy nadjeżdżał Paweł — ociągała się jednak. Ciągle patrzyła mu w twarz. Stefan przesypywał nasiona jakiegoś zboża na spodku.

— Nie miał pan listu od brata?—zapytała, żeby coś powiedzieć. Ożywił się nieco, gdy odpowiadał;

— Otrzymałem dziś, przed chwilą.

— I cóż?

— Piszę, że kuje, że już jest gotów do egzaminów...

— Byleby nie mordował się zanadto—zauważyła serdecznie—takie upały! w mieście... Niech pan poradzi, żeby pił dużo mleka... Możeby przyjechał do Peplowa...

— Dziękuję pani... wspomina, że wychudł jak chart, ale ma dobre mieszkanie, w ogrodzie, nad rzeką...

Była chwila ciszy. Badała go przenikającym, odrobinę gniewnem spojrzeniem, gniewna o jego lakonizm.

— Pan ogromnie kocha brata. Pan rozpromienił się, gdy zapytałam.

Znowu odparł krótko:

— Dwu nas jest na świecie. Nie mam nikogo bliskiego. Starczy mi za rodzinę, za cel...

I wyjął z kieszeni jakieś papiery, zapewne dla zaznaczenia, że pora już zabrać się do roboty.

— Starczy panu za cel — powtórzyła — chyba w braku innych, panie... Dlaczego pan wyrzeka się, skazuje siebie...—urwała, Stefan przeglądał swoje notatki i nie rzekł nic. Pani Anna zamilkła także. Jedno pytanie tkwiło jej na wargach. Drżącymi palcami kreśliła ołówkiem kółka na rachunkach.

— Paweł Naborowski — zaczęła — opowiadał mi o panu, o sukcesach pana, o zaręczynach — ołówek złamał się.

Stefan poruszył się na krześle.

— Niech pani pozwoli, zatemperuję.

— Pan zagaduje!

— Nie boję się żadnego tematu...

— Rolniczego?

— Nawet tamtego, zaręczynowego — wesołość skruszyła twardość jego głosu.

Zrozumiała, iż to nie było prawdą. Podniosła na niego oczy. Spojrzenia ich zetknęły się.

Stefan ujął teraz ołówek, ustawił go na biurku i, nachyliwszy swoją kędzierzawą czuprynę, wprawnie wodził ostrzem scyzoryka.

Jej wzrok powoli szedł po nim, zatrzymywał się na dużej opalonej ręce w oprawie białego mankieta, zawisł na wargach, dziwacznie ściśniętych od wysiłku przy temperowaniu, muskał miękkie, jedwabne, kędzierzawe włosy, ślizgał się po czole z ryśkunkiem wypukłych żył... Nigdy go jeszcze tak nie rozglądała..

Pan jest zawzięty? — odezwała się.

— Nie wiem, pani.

— Mam dowody, przekonałam się, mam dowody — powtórzyła cicho.

Milczał. Tylko oczy jego, korzystając z jej zadumy, biegły ku niej niepohamowane, głąskały ją lekliwą pieśczętą, tuliły się, korzyły się... Jak mur, płukany przez fale, kruszało żelazne, uparte postanowienie.

W pokoju czyniło się już trochę ciemno.

— Niech mi pan powie — zaczęła wyężdżając rozumne spojrzenie — gdyby dziecka nie nauczono mówić w dzieciństwie... ale nie o to chciałam zapytać — przez chwilę szukała słów, któreby dokładnie wyłoniły jej myśl.

— Nieraz trudno jest znaleźć określenie — mówiła dalej — brakuje wyrazu... czy jest jakieś prawo życia, jednakie dla wszystkich, które, będąc przekroczonym, mści się... Nie można żyć, panie, jednostronnie, dla samej tylko idei... Ambicya świeci, ale nie grzeje, ambicya rzuca blaski na drogę — wewnątrz zostaje ciemnem...

— Tak, pani — potwierdził, myśląc o czem innym.

— Pan Naborowski opowiadał mi dzisiaj zupełnie szczerze dzieje swego życia... Pan zna to życie, zimne, ambitne, pracowite... To człowiek nieszczęśliwy obecnie i zastanawiałam się... — przerwała na chwilę, potem mówiła cicho.

...I zastanawiałam się, że największy smutek w życiu, to brak przyjaznych serc i że największą krzywdą z tych, które



człowiek może zadać człowiekowi, jest cofnięcie komuś przyjaźni bez dostatecznych powodów — drżał jej głos — Myślałam o tem przed godziną na werandzie, patrzałam w wodę, która była czarna i posepna... Takim bywa życie bez serdeczności ludzkiej... ciemna i głęboka czara smutku, z której trzeba pić...

Pani Anna Opolska nie przemawiała tak nigdy.

— Ale nie pani, nie dola pani — wstawił miękko.

Żałował jej i słabł z każdą chwilą i czuł, że ulegnie. Trzymał siebie na mocnej wodzy, ale chciało mu się powiedzieć jej coś serdecznego, pocieszyć ją dobrem słowem.

— Każdy ma chwilę — rzekł — w której zażąda szczęścia, w której przechodzi obok swego szczęścia, w której patrzy oko w oko w swoje szczęście. Wyciąga rękę... Nieraz idzie dalej z próżnemi rękami i wówczas może stać się użytecznym działaczem, szlachetnym myślicielem, lecz wszystko, cokolwiek uczyni, będzie miało jeden cel: oto zasłonięcie próżni...

— A jeżeli nawet nie wyciągnie ręki po swoje szczęście?

— Często niewolno i chcieć szczęścia...

Zapadło milczenie. Mrok wieczoru letniego cichą falą zapływał świat. W ciemności białą ich zadumane, odwrócone od siebie twarze.

— I człowiekowi wydaje się — odezwał się jeszcze — że będzie zawsze takim, jakim jest w danej chwili, w chwili, gdy wykreśla sobie przyszłość, a to jest duży błąd. Nie można robić zapasu sukien na całe życie... to samo z duszą... człowiek rośnie, może maleje, odbywają się przemiany...

— Przemiany... — powtórzył.

— Panięta pan nasze spory?

— Jaśnie pan prosi jaśnie panią — niespodzianie zabrzmiał głos lokaja.

Drgnęli oboje zmieszani.

— Proszę powiedzieć, że zaraz przyjdę.

— Mój Boże! jeszcze tyle pracy! — szybko zwróciła się do Stefana — więc pan znajduje, że aż 20 sztuk trzeba wybrakować we Florentynowskiej oborze. Dlaczego?

Podał jej jedną z notatek i począł zwięźle tłumaczyć sprawy rolnicze.

— Dziękuję panu. Na dzisiaj dość... już późno i ciemno... — Wstali oboje.

— A pan się myli — dodała prędko, wyciągając do niego rękę.

I wyszła, śpiesząc do męża.

— Znowu tak długo! — narzekał Opolski — i twarz masz w ogniu... Zameczasz się...

— Za to tobie z każdym dniem lepiej... puls doskonały, chodzisz coraz pewniej... doskonały puls — trzymała rękę na tętnie — jak u dziecka, mocny, równy...

— Koteczek!... uszczypnął ją zinnemi, śliskimi palcami za policzek koteczek!

— Może i bez kuracyi się obejdzicie... Trzeba tylko, żebyś wysiadywał na słońcu. Mamy upalne lato...

Plotła prędko nerwowo, podniecona, trapiąca nieokreślonym poczuciem winy.

— Czego Naborowski przyjeżdża? — zapytał mąż.

— Z wizytą.

— Już ja wiem. Już mnie... Kocha się w tobie... Widać... Wszyscy... I Modrzec także... Wszyscy... A koteczek tylko mnie. Prawda?

— Prawda.

— Cóżecie rachowali tak długo — coraz senniej bełkotał Opolski — i pogo te rachunki? Gdzie dochody? Niema dochodów!.. Gdzie dochody?...

I kiwał głową w takt do tych codziennych zrzędzeń. Wkrótce, prowadzony przez lokaja, udał się na spoczynek. Pani Anna nie poszła za nim dnia tego, jak było we zwyczaju, żeby wynieść mu lekarstwo, przykryć nogi pledem, poprawić poduszki, i przeżegnać na sen. Była pełna niepokoju, wrzawy wewnętrznej, beładnych myśli, nieśmiałył oczekiwaił...

Wydawało się jej, iż coś się spełniło, to znowu, że coś ma się spełnić, że jakieś szczęście woła na nią z głębin ogrodu, że ona coś przedsięweźmie. Smutek ciemny, jak nurt nocy w gąszczach drzew, chwytaił ją na chwilę, szept przerażenia napełniał jej uszy, rozpacz czyhała na nią w jaskiniach czasu... To znowu ogrom radości wybuchał w sercu. .

Spoglądała w ciemnie parku... Potem szybko zbiegła po białych kamiennych schodach werandy... Wieczorem chodziła zawsze jedną i tą samą aleją, niską, z młodych, strzyżonych, kulistych lip, która, okalając drugą terasę parku, dotykała folwarku. Z granatowych niebios odzywały się ku niej złocistem, nieśmiałym migotaniem nieliczne gwiazdy, z dołu, od klombów wzbijały się wonie kwiatów, odorzające w tę upalną noc; płynęły: serdeczny juk mocne braterskie uściśnienie zapach lewkonji, koronkowa perfuma wiatu tkliwej werbeny, pomieszana ze słodkim tchnieniem cichych goździków, namiętne westchnienie jaśminów, zawrotny nektar nikociany,

białymi gwiazdami patrzącej w mrok—i zrzadka niby echo pieśni polnej i smętnej, tęskne szemranie, więdnącej skoszzonej trawy. Na horyzoncie wyrastała powoli ciężka i groźna chmura.

Pani Anna z rękami splecionymi na głowie—było to jej nawyknięcie niedawne—szła wolno, (niecierpliwili ją szelest jedwabnej sukni), słysząc jak niespokojnie tętni serce, jak dziwnie chrzęszczą na żwirze jej stopy. Chwilami zdawało się, jej, że ktoś idzie za nią—przyśpieszała kroku—brały ją radość i lęk...

Nikogo niema!.. Chodzi już długo, oddawna, oddawna... Nic się nie spełniło i nic się nie spełni... W ogrodzie jest cisza upalna, wonna. Kilka złotych gwiazd wśród niebios... Chmura rośnie...

Nic niema. Cisza i mrok... Naprawdę...

Wsparła umęczoną głowę o konar lipy... Z serca podnosił się płacz...

Kamień na polu, kamień wśród pustego pola—powtarzała wyrazy, które niby akord muzyczny tłómaczyły daleką myśl—kamień na polu...

Ona—taka szczęśliwa i słynna i świetna, taka szczęśliwa... Z serca podnosił się płacz...

Osunęła się na suchą trawę. Zalały ją wonie kwiatów, niby głęboki nurt.

Zgubiła myśli, utraciła władzę myślenia—i marzenie, można jak żądza, błogosławione, jak szczęście, okrutne, jak zbrodnia, otuliło ją w swój płaszcz gorejący.

Z klombu kwiatowego wybuchał chór woni.

Płynęła pieśń i brzmiał w niej jeden ton, jeden wyraz, ciągle ten sam, namiętny, natarczywy, odurzający. Niby słodki, nieskończony pocałunek pieści ją jaśmin...

Błyska...

Zerwała się i szybko ruszyła w stronę folwarku. Zastukała w okno jeszcze oświetlone.

— Kto tam? — zawołał Stefan.

— To ja...—odpowiedziała tak cicho, że musiał niedostyszeć. Wyszedł na ganek.

— Kto tam?... To pani... przepraszam... Nie poznałem... — i jął zapinać marynarkę na wszystkie guziki.

Chodziłam po ogrodzie—mówiła, chwytając oddech—chmura... żyto znoknie, jeśli nie zwiezione... Chciałam zapytać...

Zbiegł ze stopni i stanął koło niej.

— Żyto w folwarkach sprzątnięte, tylko w samym Peplowie jeszcze na polu—tłómaczył urzędowym tonem—ale to nic! Jeden deszcz nie zaszkodzi. Na słotę się nie zanosí. Z pani troskliwa gospodyni!..—ironia zabrzmiała w głosie jego.

Należało już odejść.

— Boję się!—szepnęła pomimowoli.

— Pani boi się burzy? Może panią odprowadzić?

— Dobrze... Nie, dziękuję... pójdę sama...

Ale nie odeszła znowu.

— Taka dziwna noc! Kwiaty pachną... głowa boli...

— Może pani spocznie. Na ganku jest ławka...

Z trudem weszła na schody i usiadła. On stał, oparty o słup, sztywny i zamknięty.

— Pan pracował?

— Tak. Pisałem artykuł do pisma rolniczego.

Było milczenie.

— Rolnictwo zapełnia panu życie...

— Jak każde zajęcie, które się lubi.

Pani Anna zaśmiała się dziwnie.

— Dobranoc panu... przepraszam, że przerwałam — rzekła po chwili—już pójdę.

— Może panią odprowadzić?

— Wolę sama.

Obojętnie skinąwszy głową, już pewnym krokiem zeszła na ścieżkę i zniknęła wśród drzew.

— Dobrze, dobrze—szepnęła—dobrze...

Szła prędko, knując zamiary, ciesząc się na rozkosz zemsty... Ale z serca podnosił się płacz...

Zagrzmiało...

Stefan zszedł z ganku. Chciało mu się uklęknąć i całować piasek, proch jej stóp.

Słyszał, jak stuknęły daleko drzwi na werandzie pałacu. Teraz była cisza, pustka i mrok...

Patrzył w ciemność i zdało się mu, iż spoglądają ku niemu z krzewów jakieś świecące, złośliwe, urągliwe ślepie... Sam szatan...

# NOWA TEORYA

## zadań społecznych macierzyństwa.

Mania rodzicielstwa jest zupełnie nowym objawem w życiu współczesnem i posiada, o ile dziś już sądzić można, wszystkie zadatki przyszłej potęgi społecznej. Ojcem jej jest ewolucjonizm, a matką emancypacja kobiety.

Zaratustra, wielki prorok ewolucjonizmu, mówiąc o krainie przyszłości, której tam gdzieś, za morzami żagle naszej tęsknoty szukać mają, o krainie nadczłowieka, nie przypuszczał zapewne, że słowa te zabłysną płomiennymi zgłoskami ponad wiodącymi w „stulecie dziecka“ białemi wrotami, wzniesionemi rękoma słabej kobiety, dla której pieśni jego miały najczęściej słowa pogardy. Świat nadczłowieka był mu ziemią obiecana, o której marząc, zapominał trawiącą tęsknotę za wielkiem i heroicznym życiem, ową pogardę arystokraty dla naszej terażniejszości mieszczańskiej i tragiczną zagadkę własnego życia. Dlatego to wzrok jego tułaczy szukał z wyteżeniem na wielkim oceanie życia nikomu dotychczas nieznanym wybrzeży, których obraz czarodziejski nawiedzał sny jego o człowieku przyszłości. Dlatego, będąc zdeklarowanym indywidualistą i wielbicielem bezwzględnych instynktów, był zarazem altruistą na korzyść nadczłowieka. Sny o nadczłowieczeństwie były mu zarówno z jego teoryami o „wiecznym powrocie wszechrzeczy“, o „moralności panów i moralności niewolników“ niczem innym, tylko jednym środkiem więcej do spotęgowania indywidualnej odrębności nowoczesnego człowieka.

Przypomnijmy sobie słowa Zaratustry:

„Ty“ starsze jest od „Ja.“ Ty — jest uświęcone, lecz Ja — nie jeszcze: tak więc człowiek tłoczy się do bliźniego. Czy doradzam

wam miłość bliźniego? Doradzam wam raczej ucieczkę przed bliźnim i miłość najdalszego. Wyżej niż miłość bliźniego stoi miłość ku najdalszemu i przyszłemu.“

Czyż z powyższego nie wynika, że myślą przewodnią Nietzschego było podniesienie indywidualizmu do potęgi ideału przez miłość ku przyszłemu pokoleniu, ...ku — nadczłowiekowi?

Najwyższym ideałem ludzkim była niegdyś miłość dla przeszłości. Kult przodków i ponury autorytet odwiecznych obyczajów był znamienną cechą owych czasów, podczas których przeszłość nadawała teraźniejszości prawa obywatelstwa. Chrześcijaństwo wzamian za to postawiło miłość bliźniego na ołtarzu adoracji. Nie potrzeba chyba specjalnie zaznaczać o ile ta nowa miłość przyczyniła się do rozszerzenia widnokręgów duchowych; nawet wrogowie altruizmu zgodzić się na to musieli, że jemu to zawdzięcza ludzkość ową zadziwiającą wielostronność, jaką się odznacza nowożytna indywidualność, której rozkwit już w utworach Danta i Petrarcki podziwiać można. Ponad miłość bliźniego, którą Nietzsche nazwał „złą miłością własną,“ wzniesiono obecnie miłość ku przyszłym pokoleniom, ku nadczłowiekowi, a jednym z najnowszych objawów tej nowej miłości jest idea znakomitej szwedzkiej feministki, Ellen Key o „Stuleciu dziecka.“ W ten sposób dokonywa się na polu emancypacji kobiecej, powstałej na gruncie altruizmu, powrót w myśl ideałów Nietzschego.

Słynne i wszechstronnie podziwiane dzieło Ellen Key „Stulecie dziecka“ ma wszelkie dane po temu, ażeby się stać podstawowem dziełem nowoczesnego systemu wychowawczego, a wpływ jego na rozwój przyszłych pokoleń będzie niezawodnie głęboki i pomyślny. Dlatego też należy je z radością powitać, jako przedświt nowej ery, obietnicę spotęgowania władzy ludzkiej, bogactwa duchowego, piękności i rozkoszy życia, gdyż usunięcie wad kardynalnych wychowania dotychczasowego — jest to mówiąc nawiasem głównym celem powyższego dzieła — wad, które przyczyniały się do tego, że dom rodzicielski i szkoła były częstokroć więzieniem duchowem, w którym siły i polot młodych pokoleń karłowaciały, jest bez wątpienia ważnym krokiem naprzód na drodze postępu. W „Stuleciu dziecka“ nadała Ellen Key nadziejom nowożytnym rzeczywiste kształty. Lecz o ile każdy człowiek nowożytny z podziwem i radością towarzyszył jej na tej drodze, o tyle idee wypowiedziane w jej ostatnim dziele „O miłości i małżeństwie“ w niejednym wywołać mogły pewne wątpliwości. Dzieło to przedstawia nam słynną autorkę z zupełnie innej strony, a jednostronność, jaką nacechowane jest jej rozumowanie, może stać się w swem

zastosowaniu do życia społecznego przyczyną nowych zbroczeń. — Jednolitość życia duchowego jest świadectwem siły i harmonii, jednostronność jednakże zewnętrzna oznaką naruszonej wewnętrznej równowagi i harmonii. Rzecznikiem tej dysharmonii staje się Ellen Key w swem dziele „O miłości i małżeństwie,“ opierając teorye małżeństwa i miłość jedynie na podstawie miłości rodzicielskiej.

Geneza tych poglądów jest następująca. Doświadczenie nabyte na polu walki o prawa kobiety oraz doskonała znajomość stosunków współczesnych dają Ellen Key możność, widzieć poza trofeami tej walki także pewne usterki, które są jej bezpośrednim wynikiem, których jednakże większa część walczących kobiet dotychczas jeszcze nie widzi. Ellen Key uznaje uszlachetniający wpływ, jaki ruch kobiecy, oraz wyzwolenie kobiety wywarły na nowożytnie społeczeństwo, ale zalety te nie są w stanie zrównoważyć w jej oczach usterek, które z tegoż źródła powstały. A usterki te są: brak zrozumienia przez kobietę nowożytną odrębności męskiej, oraz dążność do oswobodzenia się od obowiązku macierzyństwa.

Nowoczesna kobieta szuka tęsknym wzrokiem mężczyzny, któryby odpowiadał jej ideałom, z drugiej strony znów nowoczesny mężczyzna oddawna już wyrzekł się krótkiego szczęścia przy boku „niewinnej“ gąski i marzy o kobiecie-człowieku, o towarzysze życia, któraaby nie tylko potrafiła dzielić jego uczucia, myśli, nadzieje, sny, ale i zarazem samodzielnie umiała myśleć, działać i żądać. „Ale jeżeli taki mężczyzna, pisze Ellen Key, znajdzie swój ideał, „to najczęstszem następstwem zjednoczenia tych dwóch nowożytnych istot na drodze życia jest, że dwa rozwinięte systemy „mózgowe wspólnie analizują miłość i dwa przepracowane, wy-czerpane aparaty nerwowe prowadzą pomiędzy sobą bezskuteczną „walkę.“ Odmówić pewnej słuszności Ellen Key i pod tym względem niepodobna. Nowe pojęcia o miłości, spotęgowany indywidualizm jednostki, utrudniły bezwątpienia warunki szczęśliwej miłości pomiędzy nowoczesnym mężczyzną a nowoczesną kobietą, odsłaniając przepaście i sprzeczności, które dotychczas starano się w pożyciu małżeńskim o ile możności ukrywać lub ignorować, jak np. podwójną moralność małżeńską, upoważniającą mężczyznę do czynów, które kobiecie są surowo zakazane. Nic dziwnego, że przez to i łatwość zawierania małżeństw pomiędzy nowożytnymi ludźmi oraz sposobność ich składania ofiar na ołtarzu przyszłych pokoleń, została ogromnie ograniczona. Ta okoliczność właśnie napędza Ellen Key trwogą ewolucjonistki, która w swem pragnieniu wychowania nadezłowieka stoi przed zagadką sfinksa, czy

każde udoskonalenie nie jest zarazem wierzchołkiem i końcem, czy z wyżyn osiągniętych przez rozwój indywidualny można znaleźć drogę prowadzącą bezpośrednio ku nowym, jeszcze wyższym wierzchołkom. Genialność samodzielnej jednostki tak niezmiernie jest oddalona od powierzchni przeciętnej inteligencji, że, patrząc na tę przestrzeń, mimowoli przychodzi chęć uznania paradoksalnej prawdy Nietzschego, że cały rozwój ludzkości jest jedynie rozwojem spowodowanym przez genialne jednostki, za aksyomat.

Ale powracając od wyjątków do reguły t. j. do przeciętnych jednostek społecznych, których rozwój, przy pomyślnych warunkach i przy szczęśliwym doborze, jest bezwątpienia gościńcem postępu ludzkości, widzimy, że postęp ten, zależny w zupełności od indywidualnego współdziałania, posuwa się nader wolnym tempem naprzód. Ellen Key, robiąc na tem polu spostrzeżenia, przychodzi do wniosku, że feminizm był dotychczas strasznym wrogiem wzrostu ludności, a przez to i zdrowego rozwoju ludzkości. Świat kobiecy północno-amerykańskich Stanów Zjednoczonych, gdzie ruch kobiecy powstał najwcześniej i najwyższą fazę rozwoju osiągnął, budzi w niej bardzo poważne obawy co do dążności nowożytnej kobiety oswobodzenia się od obowiązku macierzyństwa. Specyalny rozdział w jej dziele traktuje wyczerpująco o tej kwestyi. Akceptując możność ewolucyi instynktów macierzyńskich, uważa ona przepowiednie myślicieli-pesymistów o dobrowolnem wymarciu rodu ludzkiego za rzecz możliwą i szuka środków, mogących zapobiedz temu zanikowi rodu człowieczego. Dzieło jej „O miłości i małżeństwie“ należy rozpatrywać jako wynik tego odwrotnego Maltuzyanizmu.

Głównym celem Ellen Key jest wzmoczenie w kobiecie nowożytnej uczucia macierzyńskiego do potęgi kulturalnej, która w macierzyństwie społecznym (patrz odpowiednio zatytułowany rozdział we wspomnianem dziele) znaleźć ma swe najwyższe urzeczywistnienie. Jednostki zdrowe, starające się obniżyć normalną liczbę potomstwa, potrzebną dla stałego wzrostu i rozwoju ludności, postępują, jeżeli rozpatrywać prąd ten z punktu widzenia Ellen Key, niespołecznie, a zatem nieetycznie, dlatego nowe prawa małżeńskie winny, zdaniem jej, tym instynktom szkodliwym postawić bezwzględne veto.

Wolna miłość i swoboda rozwodów w najszerszem i najlepszem tego słowa znaczeniu, którym Ellen Key poświęca dwa specyalne rozdziały w swoim dziele, są fundamentami projektowanego przez nią prawodawstwa małżeńskiego, którego zadaniem ma być zażegnanie grożącego niebezpieczeństwa stopniowego za-



niku rodu ludzkiego. W ten sposób toruje Ellen Key drogę w krainę przyszłości, którą nazwała „Stuleciem dziecka.“

Znamienną cechą tych teoryj, które przez swoją jednostronność upoważniają nas do nazwania ich manią rodzicielstwa, jest dążenie skoncentrowania wszystkich nadziei i całej miłości wyłącznie na pokolenie przyszłe. Miłość, której celem ostatecznym nie jest dziecko, jest zdaniem Ellen Key nienaturalnym i szkodliwym objawem.

Niegdyś człowiek w ucieczce przed zagadką własnego „ja“ szukał ratunku w miłości bliźniego; dzisiaj miłość ku przyszłym pokoleniom ma być oswobodzicielką z chaosu bezwyznaniowej terażniejszości. „Wasza przesadna miłość przyszłych pokoleń jest złą miłością własną,“ możnaby parafrazując Nietzschego powiedzieć. Chora terażniejszość szuka mostów zbawczych, wiodących w obiecaną krainę przyszłości, gdzie wszystkie dolegliwości dni dzisiejszych zamienić się mają na lepsze. Temi mostami mają być wszystkie fazy szczęśliwego doboru płciowego, i w obawie, że wysubtelniony indywidualizm może nadziejom tym stanąć na przeszkodzie, utrudniając warunki intelektualnego doboru, bezwzględni czciciele ewolucjonizmu powitają z radością pojawienie się manii rodzicielstwa.

Dzisiaj już dają się słyszeć głosy domagające się bezwzględnego uprawnienia macierzyństwa każdej normalnej kobiety, nie tylko poza obrębem związku małżeńskiego, ale nawet, w razie ostatecznym, poza obrębem miłości, ponieważ dziecko jest samo w sobie celem, mężczyzna zaś tylko środkiem do tego celu. Literatura, propagująca te poglądy, wzrosła w ciągu ostatnich lat do bardzo pokaźnych rozmiarów i świadczy o coraz większym rozprzestrzenieniu się. Bardzo ciekawe są pod tym względem dzieła: „Prawo macierzyństwa“ przez Ruth Brée, „Wołanie o dziecko“ Inge Marya, poetyczne utwory niemieckiej poetki Małgorzaty Bentler, „Kobieta i świat“ Ryszarda Delmela i wiele innych.

Na korzyść Ellen Key przyznać trzeba, że nie jest ślepa wielbicieleką tych prądów; ale pomimo tego wywarły one na nią wpływ znamieny, który uwydatnia się szczególnie w jej poglądach na poligamię i monogamię. Poligamia wydaje jej się pod pewnym względem nader pożytecznym urządzeniem społecznym, dającym silnym i zdrowym jednostkom możliwość przekazania możliwie wielkiej ilości nowych jednostek swych zalet. Społeczeństwo, w którym mężczyzna kochając swoją żonę, stara się równocześnie z drugą kobietą, która bardziej się do tego nadaje, mieć potomstwo, lub odwrotnie kobieta szuka poza małżeństwem mężczyzny, który posiada większe zalety jako „ojciec,“ jest według jej przekonania

nie tylko naturalną, ale jak na teraz bardzo pożądaną fazą rozwoju ludzkiego. System ten przypomina teorię masztalni, pomimo że autorka stara się poprzeć swoje wywody cytataми ze Spinozy i Goethego, pomimo że przeprowadza niezmiernie interesujące badania historyczne nad ewolucją monogamii. Wywody swoje kończy jednakże następnymi znamionnymi słowami: „Monogamia ten „klejnot, uważany dziś za najdrogocenniejszy skarb cywilizacji, „dopiero po wielu spiralnych zwrotach będzie mógł być objęty „tym pierścieniem jedności. Co będzie mogło jednakże dopiero „wtedy mieć miejsce, gdy każdy mężczyzna i każda kobieta nada- „wać się będą do zabezpieczenia ciągłości gatunku.“

Dzieło Ellen Key „O miłości i małżeństwie“ znajduje się w swych głównych zarysach pod wpływem tej wiary w nieomylność doboru płciowego. Pod tym względem nie różni się ono w niczem od innych utworów ewolucjonizmu, które w rozkrzewianiu rodzaju ludzkiego widzą najlepszy środek spotęgowania jego rozwoju. Że droga ta jest rzeczywiście drogą rozwoju dowiódł oddawna już darwinizm: nie jest ona jednakże równoznaczną z drogą nowożytnego indywidualizmu, który w każdej pojedynczej jednostce szuka swych najwyższych zadań. Wysoko przed płaskowzgórzeniem doboru płciowego wznoszą się szczyty indywidualnej doskonałości, czego najwidoczniejszym dowodem są geniusze i talenty. — Jak drzewo, które jesienią porą upuszcza ku ziemi owoc i dalej ku słońcu wyciąga swe sękate ramiona, tak każdy pojedynczy człowiek jest nie tylko rodzicielem, ale i budowniczym swego własnego „ja.“ Prawo owocu nie jest równoznaczne z prawem rozwoju. Posiadają one wiele wspólnych cech, wiele podobieństwa, pomimo tego jednakże są to dwie zupełnie niezależne potęgi. Każdy kształt bytu jest celem sam w sobie: w każdym drzewie przecucie doskonałości, będącej harmonią wszystkich elementów, wchodzących w skład jego jestestwa, każda jednostka powinna przedewszystkiem szukać w sobie samej udoskonalenia. Skąd weźmiemy siłę stwarzania bogów, jeżeli sami do potęgi boskiej wznieść się nie potrafimy? O tem zapominają ci, których unysłem owładnęła mania rodzicielstwa. Po przyszłości spodziewają się wszystkiego, a chora terazniejszością tęsknota ich szuka zlawienia tam, gdzie ono dla jednostki nie da się nigdy osiągnąć. Na doborze płciowym opierają swe najśmielsze marzenia, pomimo że teoria ta jest księgą pełną tajemnic. Nikt jeszcze nie znalazł recepty na stworzenie geniusza, a tablica genealogiczna większej części wybitnych jednostek jest dotychczas gmatwaniną najsprzeczniejszych hipotez. Dla każdego, kto zna dokładnie dzieła i życie wielkiego poety-filozofa

Nietzschego nie jest dziś tajemnicą, że idea o nadczłowieku była wynikiem jego pogardy dla terażniejszości, a pieśni Zaratustry natchnionym aktem twórczym, dokonany na własnej duszy, heroicznym optymizmem *quand même*. Tak jak on, wielu innych, niezadowolonych terażniejszością, wyciąga dziś ramiona ku nadziejom przyszłości.

Niegdyś miłość przeszłości była najwyższym ideałem ludzkim, miłość bliźniego zajęła jej miejsce, a dziś święci ludzkość narodziny kultu przyszłości. — Zawsze zapominano dotychczas o najlepszym, o wielkiej miłości własnej, która w sercu własnym szuka i znajduje rozwiązanie zagadki, drogę doskonałości, rozkosz bytu i niebiańską harmonię.

Epikurejczycy i Buddyści mogliby nam pod tym względem dać niejedną pożyteczną wskazówkę.

Miłość, o której tutaj mowa, w harmonii „Ja - Ty,“ w stopniu w jedną całość dualizmu: „mężczyzna - kobieta“ święci swe najwyższe tryumfy. Nie poza nami, obok nas lub przed nami, ale w nas samych, w głębi naszego serca leży tajemnica bytu, dostępna dla nas. Szukać jej gdzieindziej jest chimera, niekiedy może bardzo pięknem, ale zawsze zwodniczym złudzeniem.

Bądź co bądź przyznać musimy, że ludzkość nowoczesna znajduje się na drodze do nowej fazy rozwoju. „Stulecie dziecka“ wstępuje w swoje prawa. Nie będzie ono nigdy w stanie zadowolnić naszych najgłębszych pragnień, ale pomimo tego może przynieść ludzkości duże korzyści, dając młodym pokoleniom dogodniejsze warunki harmonijnego rozwoju indywidualnej odrębności.

Wiara w życie, które dotychczas zawsze potrafiło odnieść zwycięstwo przed złudzeniem i ślepotą ludzkich doktryn, daje nam możliwość widzenia po przez mgły manii rodzicielstwa nowej piękniejszej przyszłości, która już dzisiaj w każdej pojedynczej jednostce może stać się rzeczywistością i którą nam nasze własne życie duchowe gwarantuje.

Przyszłością tą, której śnieżne szczyty lśnią ponad wzgórzami dzisiejszych pragnień, jest wiek najwyższego indywidualnego rozwoju dualizmu: „mężczyzna - kobieta“ i zwycięskiego zjednoczenia się tych dwóch odrębności płciowych w monizmie duchowym „Ja - Ty.“ Wiek ten możnaby w porównaniu do „stulecia dziecka“ nazwać „stuleciem duszy.“

# NIEDOKONANY UTWÓR

Leonarda da Vinci.

## I.

Jest we florenckich Uffizi, w pobliżu portretu Rafaela, cudnego jak nadziemskie widziadło, inny portret, przedstawiający człowieka w wieku dojrzałym, w takiej pełni męskiej piękności i powagi, że raz weń wpatrzywszy się, trudno potem oko i myśl od płótna oderwać. Z pod podobnej, jak u Rafaela czarnej aksamitnej czapki florenckiej, dobrze znanej z obrazów Quattrocento, spływają na ramiona miękkie, jedwabiste sploty włosów i długa broda okrywa całą pierś lekko kręcącemi się kędziorami. Z ust wystających trochę, bardzo pięknie zarysowanych, przenawia silna wola i energia czynu: oczy głęboko osadzone, aksamitne, promienne, świecą z pod brwi nasuniętych, jak gwiazdy. W całej twarzy, o rysach bardzo regularnych i szlachetnych, jest jakiś dziwny majestat i istnie pańska wspaniałość, jest także i wprost przygniatająca widza, niby piorunem, siła myśli, ślad pasowania się, walk i prac twórczego geniuszu. Może to być bardzo wielki pan, władca życia i śmierci milionów, mądrością i zręcznością własną wspinający się po szczeblach fortuny, ruszający ramionami na etykę, sumienie i Boga, rozumowi tylko i pięknu stawiający ołtarze — jakiś Este, Sforza Malatesta czy Borgia lub inny Principe z czasów odrodzenia, wedle serca Machiawela; może być także Faust w pełni męskiego piękna, mądrości i siły, Faust geniuszem swym ujarzmiający naturę, sięgający do głębi wszystkich zagadnień świata. Nie tak urocza, jak Rafael, nie tak harmonijna i pogodna, ale nieskończenie bardziej potężna i męska; nie tak

tytaniczna, jak Michał Anioł, ale mniej wymęczona i niespokojna, bardziej skupiona i świadoma swych celów postać ta, jak w zwierciadle odbija ducha po nad ludzką miarę. Na zmienną falę życia zdaje się ona patrzeć z bezgranicznem lekceważeniem tego wszystkiego, przed czem ogół zwykł cofać się bezsilnie, zdaje się świat cały wyzywać do walki, aby zgnieść go bez trudu i z królewską pogardą stopę na nim postawić po łatwym zwycięstwie.

Wśród rysunków medyolańskiej Ambroziany spotykamy profil tej samej twarzy, o lat dwadzieścia starszej i bardzo odmiennej. Robi wrażenie przygasłej i skamieniałej. Została w niej klasyczna szlachetność rysów i powaga wyrazu, znikła świeżość życia, ufającego sobie i przyszłości. Wypaliły ją snąc ognie namiętności, może burze walk i przeciwieństw, może nadmierny trud zgłębiającej wszystko myśli — i stała się twarz ta, jakby marmurową maską, stężała pod przeorującym wszystko pługiem życia.

I znówu ta sama twarz, kilkoma rysami sangwiny rzucona na kartę, uderza nas w zbiorach król. Pinakoteki w Turynie, twarz zgrzybiałego niemal starca, z obnażonem czołem, z siecią fałdów i zmarszczków, ze śnieżną zasłoną włosów, okrywającą piersi i ramiona. „Całe życie zawodów i rozczarowań, niespełnionych nadziei i pragnień z niej przegląda.“ Ale pełna majestatu starości, pod której łagodzącą dłonią wichry życia i wichry duszy ułożyły się i ucichły, twarz ta nie ma jeszcze grobowego spokoju, zwykłego ostatnim dniom starców. Z jam, zapadłych głęboko, wyglądają te same oczy, pełne nieprzycmionych blasków i niezmożonej potęgi, i jak na jaśniejącym świeżością i czarem portrecie florenckiej galeryi wiążą przy sobie wzrok i wyobraźnię widza. Tak wyglądałby musiał Prometeusz po wiekach męki, gdyby starzeć się mogły tytany.

W tych trzech portretach Leonarda da Vinci, z których ostatni tylko jest własnem jego dziełem, maluje się dobrze charakter mistrza i żywot. Charakter bardzo niezwykły, mający coś z Fausta i coś z Hamleta, żywot niezwykły także, a kryjący w sobie dziwną tragiczność. Ten wielki pan, arystokrata i urodzony dworzaniec ma płamę urodzenia, a dworakiem być nie umie. Wprawdzie rozluźnienie obyczajów, którego tak charakterystyczne próbki dają nam nowele Boccaccia i Bandella, a może tylko brak dzisiejszej hipokryzji towarzyskiej i większa, naiwna otwartość form życiowych, wywoływały we Włoszech XIV i XV wieku poglądy i zwyczaje w tej kwestyi dość od naszych odmienne. Dzięki temu też w rodzinnych swych stosunkach Leonard nie doznał

podrażnień i rozdzźwięków, jakie spotkałyby go zapewne dzisiaj: nie mogło mu ich jednak braknąć we Florencyi, przynajmniej wśród epigonów chrześcijańskiej reakcyi, wywołanej przez Savonarolę; tem mniej zaś na dworze Ludwika Mora i Franciszka I.

Gorzej było z niezależnością charakteru, który ani do koleżeńskich wymagań artystów, ani do zmiennych upodobań florenckiej signorii lub władców medyolańskiego i francuskiego dworu, nie umiał się nagiąć. Więc też ten ulubieniec i protegowany florenckiego gonfaloniera, niemniej jak Ludwika Sforzy i króla Franciszka, usuwa się wciąż z Florencyi zniechęcony, zostawiając za sobą niechętnych: w Medyolauię miesiącami nie widuje księcia opiekuna, on, aranżer wykwintnych fet dworskich w smaku odrodzenia, uosobienie dworskości i talentów towarzyskich; we Francyi pozostaje bez wpływu i znaczenia u dworu — umiera w osamotnieniu, przy dworze, ale przez dwoje zapomniany niemal.

Fatalizm dziwny, i bodaj że choć w znacznej części niezawiniony, ściga go przez całe życie. W pełni męskiego wieku, opuszcza on rodzinną Florencyę i prowadzi życie wykwintne zapewne i świetne, ale tułaczce, pełne rozczarowań i zawodów. Rzucają nim polityczne wypadki, jak liściem, miotanym przez burzę, aż w końcu rozstrzygającym czynnikiem jego losów staje się ta sama potęga, którą fatalizm jego życia zrobił bezmyślnem narzędziem zniszczenia dla dwóch jego dzieł największych i najbardziej ukochanych. Schronienie i królewską opiekę daje starcowi władca tych samych Francuzów, którzy za życia Leonarda zniszczyli model pomnika Francesca Sforzy, a trzy wieki później mieli zniszczyć *Wieczerzę*.

Ale tragiczność życia Leonarda niczem jest wobec tragicznych losów całej jego twórczości. Ci ludzie z czasów Odrodzenia, tak od dzisiejszej powszedniej miary krawca a nie Fidyasza dalecy, mają nieraz życie pełne rozdzźwięków i tytanicznych walk. Dość przypomnieć historycę Brunellescha i kopuły S. Maria dei fiori, albo gromowładnego twórcę Mojżesza, gotowego każdej chwili wybuchnąć, jak Zeus, olimpijskim gniewem. Ale w niespokojnej i różnobarwnej kolei swoich losów, mistrze ci miewali przynajmniej chwile królewskiej wielkości. Walczono z nimi, ale walczono i o nich, a sama walka była nieraz jednym więcej dowodem uznania dla ich geniuszu. Michał Anioł, nieznajdujący w całym chrześcijaństwie schronienia przed gniewem tego innego tytana, jakim był Juliusz II, i zmuszony już niemal do szukania opieki u Turków, ma przecie wśród swych przeciwnieństw tryumf

miłości własnej, gdy o niego dwie największe potęgi Włoch o mało nie wydają sobie wojny. Dante, pożerany goryczą prześladowań i wygnania, umierając zdala od Florencyi, swej „matki mała umiejącej kochać,“ może się przynajmniej krzepić myślą o nieśmiertelności swego dzieła. Dzieła Giotta w znacznej części zaginęły dla potomnych: prześladował je i niszczył wielokroć los zawistny; zostawił przecie dość dla chwały mistrza, zachowując nam kaplicę Scrovegnich w Padwie i Cnoty Św. Franciszka w Assyjskiej bazylice. Z całej plejady mistrzów Quattrocento, tak świetnej a nieraz tak genialnej, nie jeden zapewne w życiu zbyt krótkiem nie jest w stanie wykonać wszystkich zamiarów i planów, nie jednemu sama olbrzymiość rozpoczętych kreacyj nie daje ich doprowadzić do końca — po każdym jednak zostaje w spuściznie większa połowa jego dzieł, przynajmniej część znaczna.

Z Leonardem inaczej. W talentach swych i pracach jest on niewątpliwie najbardziej wszechstronnym ze wszystkich uniwersalnych geniuszów epoki, która tylu ich miała, równocześnie Mistrz jego Verrochio był zarazem dobrym malarzem i niepospolitym rzeźbiarzem, Rafael budowniczym i inżynierem, Michał Anioł tem wszystkim i jeszcze poetą, Alberti poetą, filozofem, matematykiem i budowniczym. Leonard był największym swego czasu malarzem, którego pędzlowi, chcąc nie chcąc, ustąpić musiał palmę nietylko Michał Anioł, ale „boski“ Rafael, i Tycyan, i Dürer. W rzeźbie chciał prześcignąć największych: Donatella, Verrochia, Michała Anioła, a gdyby mu danem było dokonać głównego jego dzieła, byłby im przynajmniej dorównał. Jak wszyscy rzeźbiarze tego czasu znał gruntownie złotnictwo, i jego dziełem była słynna srebrna lutnia nowego całkiem pomysłu i kształtu, bo przedstawiająca końską głowę, jaką przywiózł w podarku od Lorenza Medici, Ludwikowi Mor przy pierwszej swej podróży do Medyolanu. Nietylko zaś robił lutnie, ale ich używał, jako znakomity muzyk i śpiewak — obok tego zaś był poetą, a nawet improwizatorem, oraz bardzo czynnym literatem. Zamówiony w badaniu tajemnic przyrody, ten poprzednik Bakona i Galileusza przenikał je, jak nikt ze współczesnych. Wynalazca kamery obskury, twórca w całym słowa znaczeniu naukowej hydrauliki, doskonale znał on mnóstwo praw statyki i hydrostatyki, prawa ruchu fal, dźwięku, światła, o wiele lat zanim je światu, jako własne odkrycia obwieścili imi. Największy swego czasu fizyk, chemik, botanik, największy też anatom i pierwszy, który poznał i ułożył w naukowy system anatomie zwierząt i roślin i matematyk pierwszorzędnny, zalecający swym uczniom studia nauk ścisłych, jako niezbędny warunek poważnej,

artystycznej produkcji; — budowniczy, inżynier cywilny i wojskowy, wynalazca nowych środków prowadzenia wojny, wynalazca bomb eksplodujących i mnóstwa wojennych i innych maszyn, z których niektóre do dziś są w użyciu, jak piła do krajania marmuru; regulator koryta Arna i systemu wodnego Lombardyi, ten genialny mechanik, próbuje równocześnie, i nie bez powodzenia, odkraść przyrodzie tajemnicę lotu ptaków. Przytem geolog w czasach, gdy o tej nauce nikomu się nie śniło; geograf, śledzący pilnie drogi i zdobycze naukowe podróżników; astronom, a wedle ducha czasu i astrolog, wreszcie zaś, jak rysunki jego stwierdzają, niezaprzeczenie pierwszy wynalazca maszyny parowej, Leonard da Vinci mógł powiedzieć o sobie słuszniej niż ktokolwiek z ludzi, że nie ludzkiego nie było mu obcem. Przytem cudnie piękny, pełen zdrowia i siły, jak Dawid Michała Anioła, rozrosły i potężny, jak Dawid Donatella, uroczy i smukły, typ doskonałego dworzanina, o którym myśleć musiał Castiglione pisząc swoją księgę, hojny, wspaniały, wielkoduszny, otoczony tłumem służby, kochający się w wykwincie, w pięknych koniach, w rzadkich zwierzętach i sprzętach, a tak miękkiego serca, rzecz w tych czasach niezwykła, że największą sprawiał mu przyjemność kupować i całemi stadami z klatek wypuszczać na wolność więzione ptaki. W tych czasach, gdy artyści bywali przyjaciołmi królów i nieraz prawdziwymi panami świata, któż więcej do tego panowania rościć miał prawo od niego, kto równie słusznie jak on nazwać się mógł największym z ludzi? I oto z tego bezmiaru wiedzy, pracy, twórczości i geniuszu—co zostało? Jak samotna, zapomniana starość w Cloux pod Amboise, w porównaniu z przedwczesnym, ale iście królewskim końcem Rafaela, z pogodnym i wspaniałym zachodem Tycyana i Michała Anioła, tak i cała duchowa spuścizna Leonarda w porównaniu z tem co zostawili jego współcześni, robi wrażenie przejmujące bolem.

Ten inżynier genialny nie miał w swych robotach powodzenia; jego wojenne wynalazki nie zostały zużytkowane; wynalazki z dziedziny fizyki i chemii przywłaszczyli sobie inni; przedziwny zmysł wynalazczy w mechanice doprowadził jedynie do robienia szkiców i zabawek latających maszyn i zwierząt. W naukach ścisłych dziś dopiero odkrywają jego zasługę i geniusz, na którym współcześni nie umieli się poznać, ani go wyzyskać. Poezycę zaginęły lub przypisywane mu są fałszywie. Z rzeźby nie zostało nic, nic z dzieł architektury i inżynierji. A w malarstwie? Wiemy, że malował nietyle, ile jego współcześni mniej uniwersalni i rozproszeni w swem działaniu, ale przecież malował wiele, nie usta-



jąc aż do końca swego długiego żywota. Ambroziana i wiedeńska Albertyna, Louvre, Windsor, Uffizi i prywatne zbiory przepełnione są rysunkami i szkicami, w znacznej części odnoszącymi się do zamierzonych lub wykonanych obrazów. Niektóre z kartonów były przez długie lata wzorem i szkołą dla całych pokoleń artystów. Sam Rafael podług słynnego kartonu do S. Anny tworzył swą Madonnę z barankiem, znajdującą się obecnie w madryckim Prado, podobnie jak na *Bitwie pod Anghiari* wzorował *Bitwę pod Ostią*. Inni, mniejsi, tak przejmowali się genialną indywidualnością Leonarda, typem i nastrojem jego figur, jego charakterystycznym kolorytem, właściwościami kompozycji i układu, że poprostu tworzyli kopie Madonn i Janów Chrzcicieli, Led i Bachusów, Monny Lizy i La belle Ferronniere. Niepewność i chaotyczność w ocenie autentyczności dzieł przypisywanych Leonardowi, pochodzi stąd właśnie, że niejednokrotnie za autentyki, o których wspominają biografowie mistrza: Vasari, Lomazzo i Bandelli, brane są te kopie, albo też, że w innych utworach naśladowców maniera Leonarda pochwycona jest nieraz do złudzenia. Wykonał on niewątpliwie mniejszą część tylko utworów, które rozpoczął i przygotowywał: dokonać je przeszkadzała mu charakterystyczna skłonność do syntezy, do idealnego wykończenia, niemniej jak nadto rozwinięty zmysł krytyczny, jak zbyt sumiennosci, przygotowawczych studyów i dłubania się w drobiazgach. Wiemy jednak o kilkudziesięciu skończonych przezeń dziełach. Z tych wiele doszło do nas? W Luwrze, w petersburskim Ermitażu, w Uffizi cały szereg płócien nosi imię Leonarda, po jednym lub po dwa w galerii Borghese, w galerii Lichtensteinów w Wiedniu, w narodowej galerii w Londynie, w monachijskiej Pinakotece. Kilka wyjąwszy, najnowsza krytyka obchodzi się z nimi nielitościwie. Najgrunтовiejszy znawca Leonarda, Müller Balde, najbardziej inteligentny jego krytyk, Morelli, niemniej, jak najuowszy kompilator popularnego podręcznika, Rosenberg, są bardzo stanowczymi, ilekroć chodzi o zaprzeczenie autentyczności jakiegoś dzieła, pełni skrupułów i zastrzeżeń, gdy mają autentyczność tę przyznać. W ten sposób słynny fresk w rzymskim klasztorze S. Onofrio ma być dziełem Beltrafia, Zbawiciel świata w galerii Borghese—Marka d'Oggione, Zwiastowanie w Uffizi—Ghirlandaja, Madonna z ważkami w Luwrze—Cezara da Sesto, jeden z portretów w Ambrozianie—Ambrosia de Predis, inne mają być kopiami zaginionych oryginałów lub naśladowaniem kartonów Leonarda. W rezultacie oprócz rysunków, szkiców, karykatur, tak charakterystycznie malujących niespokojną a wrażliwą naturę Leonarda, obok owego anioła na

obrazie Verochia we florenckiej Akademii i młodzieńczego zwiastowania w Luwrze — z dzieł twórcy Wieczerzy przechowały się napewno, oprócz tej ostatniej, znany portret Monny Lizy w Luwrze, najcudniejsze z dzieł Leonarda, choć poczęści nieszczęśliwą restauracją popsute, drugi portret, równie dobrze znany pod nazwą La belle Ferronière, i Jan Chrzciciel tamże, jedna z dwóch Vierge aux rochers, Adoracya magów w Uffizi i — już wszystko. Reszta należy do zakresu krytycznych sporów i polemiki. Strasznie mało zaprawdę — tyle tylko, aby mieć pojęcie o geniuszu Leonarda, nie dosyć, aby geniuszem tym w rozwoju jego twórczości się cieszyć.

## II.

Wśród kompozycyj rozpoczętych przez Leonarda da Vinci dwie największe, te, do których najwyższą przykładął wagę, nie zostały przezeń dokonane. Obok *Bitwy pod Anghiari*, malowanej w Palazzo Vecchio we Florencyi, jest to konny posąg Francesca Sforzy w Medyolanie.

Leonard miał lat trzydzieści w chwili, gdy opuścił Florencyę, udając się do Medyolanu. Było to w r. 1482, a więc w cztery lata po spisku Pazzich i zamordowaniu Juliana Medici. We Florencyi panował bezspornie popularny, hojny, rozmiłowany w pięknie, a pojmujący je na sposób Greków, Lorenzo Magnifico, otoczony dworem artystów, literatów i uczonych. Za wielkiego Kozmy jeszcze powstała Platońska Akademia, łączyła takich ludzi, jak Marsicio Ficino, jak Policyan, jak wydawca Horacego i Wirgiliusza Landini, jak historyk Giorgio Cavalcanti, słynny Pico della Mirandola i inni. W Akademii sztuk pięknych mieli punkt oparcia artyści, dla których ogród Ś. Marka, zapełniony przez Medyceuszów arcydziełami sztuki starożytnej, dawał odpowiednie pole do klasycznych studyów. Zaczynał je tam właśnie pod opieką Lorenza a kierunkiem starego ucznia Donatella, Bertolda, młody Buonarroti. Wykwintnych, karnawałowych zabaw, maskarad i festynów, było mniej niż za życia Juliana, ale szeroką, barwną falą płynęło życie, opromienione wszystkimi czarami estetyki, z więzów etycznych zato wyzwalające się coraz to zupełniej. Dlaczego z tego ogniska wieku umysłowego i artystycznego usunął się taki artysta jak Leonard, dla czego pośpieszył do Medyolanu nie w charakterze artysty lub uczonego, znęcony świetnymi propozycjami, nadzieją hołdów i powodzeń, ale li tylko jako śpiewak i wytwor-

ny dworzanin? Dla czego wypuścił go Lorenzo Medici, on, który ścigał tak pilnie wszystko co świeciło talentem po nad ogół? Być może arystokratyczna natura Leonarda nie mogła się nagiąć do demokratycznego ustroju republiki, w której Medyceusze zawsze jeszcze byli tylko pierwszymi obywatelami. Być może jego uniwersalny geniusz nie zdał się praktycznemu Medyceuszowi dość produktywnym, a bardzo niezależny charakter artysty zraził do niego. Lorenzo był zawsze pełen taktu i umiarkowania: świadkiem jego stosunek do Savonaroli, ale wielcy panowie gotowi są często schlebiać tłumowi i chwilowo oczy zamykać na zniewagi potężnych przeciwników, nie przestając jednak wymagać giętkiego karku od *swoich* ludzi, za jakich uważał oczywiście Lorenzo otaczające go grono artystów.

Jakkolwiek bądź, Leonard da Vinci znalazł się w Medyola- nie i pozostał tam przez lat siedemnaście, aż do upadku Ludwika Mora.

Ciekawy, bardzo ciekawy i charakterystyczny, bardzo renesansowy i włoski typ, ten książęcy uzurpator, wcielenie doskonałe szatańskiego ideału politycznego Machiawela, kwintesencya zbrodniczego a wytwornego geniuszu Viscontich i Sforzów. Pełen sprzeczności, jak wszyscy ludzie tej epoki, z duszą czarną jak jego przydomek i ciałem tak pięknem, jak tylko wtedy i w Grecyi Fidyasa można było spotkać, z umysłem bezgranicznie przewrotnym i zakamieniałym na wszystkie szlachetne, a choćby ludzkie tylko uczucia, a zarazem bezgranicznie wytwornym i odczuwającym jak nikt inny, najsubtelniejsze wrażenia piękna. Intrygant niezrównany, polityk nieszczęśliwy dla tego bodaj, że zanadto politykę identyfikował z intrygą, Ludwik Czarny, świeżo właśnie przywłaszczył był sobie regencyę księstwa i opiekę nad swym synowcem, cichym, nieszczęśliwym, Gian Galeazzo. Ożeniwszy go, przez jedną z charakterystycznych niekonsekwencyj zbyt subtelnej polityki, z Izabellą Aragońską, córką księcia Kalabryi, późniejszego króla Neapolu, ścieśniał z dniem każdym bardziej swobodę książęcej pary, naprzód na Medyolańskim zamku, potem w Pawijskiej Certozie, będącej dla nich złotem, ale ciężkiem i upokarzającym więzieniem.

Wyniosła i piękna Madonna Beatrix d'Este, córka księcia Herkulesa z Ferrary, miała w dziesięć lat po przybyciu Leonarda stać się małżonką księcia Bari, jak się tytułował regent medyolański. Jej przybycie, przyjście na świat bliźniąt, następców upragnionego tronu, kollizye o pierwszeństwo dwóch niewiast, jednako dumnych i energicznych, księżnej z prawa i imienia, i żony istotnego władcy kraju, wywołały coraz ostrzejsze kroki przeciw

zatonionemu w księgach Galeazzowi, a w końcu zdecydowały Ludwika na pozbycie się go trucizną. Tymczasem jednak zbliżyło się inne rozwiązanie tragicznego konfliktu. Ludwik, inwestowany na księcia Medyolanu przez cesarza Maksymiliana, za którego wydał siostrzenicę, po chybionej wyprawie do Włoch swego sprzymierzeńca, Karola VIII, znalazł się w zatargu z jego następcą Ludwikiem XII. Chwiejny zawsze, odrzuciwszy z lekkomyślnem zuchwalstwem proponowane sobie korzystne warunki, za chwilę stehórzył haniebnie i zostawił kraj na pastwę wrogowi, w którego mocy, jako więzień, kilka lat później życie zakończył.

Wszystkie te wypadki jednak dalekie jeszcze były w chwili przybycia Leonarda do Medyolanu. Tymczasem zaś świeżo dobiwszy się władzy, Ludwik Mor starał się ją utrwalić i uprawnić, i w obec ludzi, i w obec sąsiednich dworów i całych władz. Starał się zaś o to, jak wszyscy uzurpatorowie i parweniusze tego czasu i kraju, który miał ich tylu i tak niepospolitych, stwarzając na podstawie nieprawego *fait accompli* stan rzeczy lepszy i świetniejszy od tego, jaki był przedtem, lub jakiego można było oczekiwać od słabego Gian Galeazza. W tym celu dążył gorączkowo a wytrwale do zrobienia z Medyolanu, pod względem cywilizacyjnym i estetycznym, stolicy godnej swego królestwa, Insubrii i Ligurii, o którym marzył. Sciągał więc zewsząd ludzi talentu, obdarzał ich hojnie i zasypywał wspaniałemi zamówieniami, a jako doskonały znawca i ludzi i sztuki, pierwszych wybierał dobrze, drugiej umiał nadać wysoki i szlachetny kierunek. W przeciwieństwie do klasztornego dworu, prawego władcy, dwór księcia Baru był po dworze Medyceuszów, najwyższym we Włoszech wyrazem tej towarzyskiej kultury i tej wspaniałej wytworności form życiowych, których włoskie Odrodzenie daje nam tak czarowny obraz.

Było to zresztą w owym czasie regułą pauujących. Na dworze Estów w Ferrarze znajdował schronienie i przyjazną opiekę Ariost, a ściany pałacu Herkulesa I i kościoły jego stolicy świadczą dziś jeszcze o wykwintnym smaku i królewskiej hojności tego wielkiego mecenasa literatury i sztuki. Na dworze Fryderyka z Montefeltro, w Urbino było skromniejsze, ale bardzo żywe ognisko umysłowego i estetycznego ruchu, żywsze jeszcze za syna jego Guidobalda, pod potężną protekcją Juliusza drugiego, szwagra jego siostry, Joanny della Rovere. Dwie niepospolite kobiety, Joanna, protektorka Rafaela i heroiczna, piękna i mądra Elżbieta Gonzaga, żona Guidobalda, nadają temu dworowi, brakującą tak często gdzieindziej, etyczną wartość obok uroku prawdziwej kobiecości. Tak samo świeci dwór Gonzagów w Mantui, a nawet

pod skrzydłami takich kondotierów, jak Cezar Borgia i Zygmunt Malatesta, lub tak zbrodniczych dynastyj, jak aragońska w Neapolu, literatura i sztuka dochodzi do najwyższego rozkwitu: świadkiem Rimini i klasyczna Akademia Pontiniana w Neapolu. Niestety! Mądrość i estetyka w literaturze i sztuce nie miały nic wspólnego z moralnością, zbyt często zaś celem ich właśnie było brak jej zastępować.

W Medyolanie działo się podobnie, tylko świetniej jeszcze. Życie dworskie było jedną uroczystą tkanką śpiewu, muzyki, improwizacji, komedyi, tańców, turniejów, a obok księżnej Beatrice i jej siostry, jednej z najrozumniejszych i najbardziej uroczych kobiet swego czasu, Izabelli Mantuańskiej, wybitne miejsce w areopagu dworskich piękności zajmowały dwie z kolei piękne przyjaciółki księcia regenta, Lukrecya Crivelli i Cecylia Gallerani, wszystkie ścisłemi artystycznemi stosunkami połączone z Leonardem, wielbicielki jego geniuszu i albo uwiecznione jego ołówkiem i pędzlem, albo przynajmniej szczyjące się posiadaniem jego utworów. Grono książęce uzupełniał słynny z intryg, ale i z politycznego rozumu oraz hojności dla artystów, brat Mora, kardynał Ascanio, który podług planów Bramanta budował pawijską katedrę, a zapewnioną ma nieśmiertelność przez cudny grobowiec Sansovina w rzymskiej S. M. del Popola. Krótco przed upadkiem Mora przybył też arcybiskup medyolański, brat jego żony, niemniej od innych członków rodziny zamięłowany w rzeczach pięknych, kardynał Hipolit Este, na którego cześć Ariost ułożył swego *Orlando furioso*.

Dokoła panującej rodziny, otoczonej magnackimi rodami Bormeów, Belgiojosów, Pallavicinich, Sanseverinich i Melzich, z których jeden stał się ukochanym uczniem, towarzyszem podróży, wygnania oraz uniwersalnym spadkobiercą Leonarda — skupiali się liczni literaci, poeci i artyści. Niewielu ich pochodziło z Medyolanu, gdyż w ogóle przed Ludwikiem Morem Medyolan zajmował bardzo skromne miejsce w rozwoju cywilizacyjnym półwyspu. Brakło mu dwuwiekowego przygotowania i stopniowego wyrabiania się duchowego Florencyi. Literatura i poezya były i pozostały ubogie, język — ciężki i twardy. Sztuka miejscowa reprezentowana była przez artystów poważnych i sumiennych, ale bardzo średnich, jak Vincenzo Foppa i Bernardo Zenale, obaj uczniowie znakomitego padewsko-mantuańskiego realisty, Andrea Mantegua. Wybitniejszym talentem jest jeden tylko bardzo nieraz szlachetny i wytworny w pojedynczych swych typach, Borgoguone. Ale ani on, ani jego towarzysze, współcześni Leonardowi, świadkowie jego działalności w Medyolanie, nie umieli tego genialnego sąsiedztwa

wyzyskać, przejąć się nowym duchem mistrza i oczy otworzyć ku jego szerokim widnokręgom. Pozostali też ze swym anherizmem i miernością bez następców, a szkoła medyolańska odżyła w uczniach i naśladowcach Leonarda, zwłaszcza w Cezarze da Sesto, w Ferrarim, w Sodomie, a nadewszystko w Licinim.

Jeżeli jednak miejscowy żywioł nie miał na dworze Ludwika Mora wybitnych reprezentantów, obcy artyści, poeci i uczeni nadawali dworowi temu świetność. Takimi byli muzyk Gaiori, poeci Bellincione z Florencyi i Visconti, słynny hellenista Filelfus, greccy humaniści Chalkondylas i Konstanty Laskarys, włoscy Barbaro, dwaj Simoneowie i matematyk Pacioli, historycy Calco i Corio. Ze sławnych architektów, zamiłowany w budowach Ludwik sprowadził ze Sienny Martiniego, z Mantuy nadwornego artystę Gonzagów Fancellego, z Florencyi założyciela całej dynastyi architektów, Juliana di Sangallo. Jednym z nadwornych rzeźbiarzy był Gian Crisfotoro Romano, równie świetny dworak jak artysta; złotnikiem wytworny Caradosso. Wreście perłą po Leonardzie w całej tej koronie artystów najcenniejszą, był Bramante.

### III.

Takiem jest tło, na którym widzimy twórcę *Wieczery* podczas pobytu w Medyolanie.

Dziwna ironia losów! Ten największy z żyjących podówczas malarzy przybywa na dwór Ludwika w charakterze lutnisty, a ofiarowuje swe usługi księciu, jako wojenny inżynier i mechanik. Trzyma się od dworu cokolwiek na uboczu, mieszka w mieście razem z kilkoma uczniami. Urządza jednak i dekoruje dworskie festyny, towarzyszy dworowi w ucztach i zabawach, w polowaniach, w świetnych wycieczkach do Pawii, Vigevano, Sforzesca — a modą i zaszczytem staje się u osób, wysoko stojących, posiadać jego dzieła, portrety, a choćby szkice.

W akademii sztuk pięknych, założonej przez Ludwika Mora pod imieniem Leonarda da Vinci, skupiają się do koła mistrza wszyscy młodzi adepci sztuki, wielbiciele jego i naśladowcy i podczas, gdy we Florencyi malarstwo doszedłszy do najwyższego rozkwitu zaczyna powoli obniżyć się i wpadać w manierę Botticellego i Filippina Lippi, tutaj pod ożywczem technieniem i wzorami Leonarda dochodzi do największej doskonałości studjum natury. Dogmatem staje się tu zasada, że piękno w sztuce opierać się musi na

poznaniu i wiernem odtwarzaniu ciała ludzkiego, zarazem zaś na przeniknięciu i pochwyceniu jego duszy. I w przeciwieństwie do tak w tych czasach zwykłych we Florencyi madonn i aniołów z wydłużonemi i przekrzywionemi szyjami, bardzo słodkich i uroczych, ale czasem wprost szablonowych — tu drga w całej tej młodej szkole pełń życia, sił i prawdy. Dowodem najlepszym zaś, jak dalece cała szkoła Leonarda wzorowała się na naturze, jest fakt łatwo dający się stwierdzić, że charakterystyczne jej typy w okolicach jeziora Como można dziś jeszcze napotkać.

Z największym po nim artystą, którym się cieszył Medyolan, złączyło się imię Leonarda przy tym klasztorze i kościele, przy którym powstała Wieczerza Pańska, podczas gdy obok ospedale maggiore, babtysteryum Satiro i krąganków S. Ambrożego Branante podnosił ku niebu najwdzięczniejsze może cacko architektury, słynną kopułę S. Maria delle Grazie.

Czy równocześnie wraz ze sprowadzonymi przez Mora artystami niemieckimi ze Strasburga, Leonardo był budowniczym katedry, czy nie, to pewne, że wraz z Wieczerzą, nad której powolnem malowaniem tak ubolewał biedny przeor klasztoru, zajmował się mistrz, olbrzymiem dziełem, mającem przejść o wiele wszystkie inne podobne. Ludwik postanowił wznieść pomnik ojcu swemu księciu Franciszkowi i Maryi i powierzył tę pracę Leonardowi. Zajmowała go ona lat blisko siedemnaście t. j. tak długo jak był w Medyolanie i z wyjątkiem czasu poświęconego *Wieczerzy*, zajmowała przeważnie. Zawistni i ciaśni malarze medyolańscy starej szkoły oskarżali go wprawdzie przed regentem, że czas marnuje na urządzenie fet i dekorowanie salonów, zamiast go poświęcać zamówionemu dziełu. Było inaczej. Leonard oddał się jemu całą duszą; owszem, zanadto nawet, bo chciał je mieć zbyt pięknem i doskonałem, zbyt tytanicznem. Wspomniany już hyperkrytycyzm i dążność do tworzenia rzeczy niedoścignionych rozmiarów i niedoścignionej doskonałości, stała się i tutaj, a raczej zwłaszcza tutaj, powodem, że geniusz i twórczość mistrza niewcielili się w życie.

Posąg miał być konny. Plan ten poddał księciu zapewne Leonardo, wielki miłośnik i znawca koni, który zawsze kilka, i więcej, bardzo pięknych i rasowych sam posiadał, które jeszcze we Florencyi lubił studyować. Mistrzem jego był Verrochio, lepszy rzeźbiarz niż malarz, a wsławiony przedewszystkiem konnym posągiem Colleonego. Wiemy też z Vasarego, że już w pracowni Verrochia Leonard odznaczał się znajomością anatomii i modelunku konia i że towarzyszom swym udzielał pod tym względem wskazówek i pomocy. Dla tej natury rycerskiej, ener-

gicznej a wytwornej, najszlachetniejsze ze zwierząt musiało być wdzięcznym i pożądanym tematem. Sam jeździec doskonały, ten reżyser turniejów i fet przy zaślubinach dworskich i innych uroczystych okazjach, chętnie zapewne odtwarzał konia, będącego niezbędną ozdobą takich malowniczych uroczystości.

Dwa konne posągi, słynne na całe Włochy, przedstawiały mu się z jednej strony, jako wzór, z drugiej, jako dotychczasowa meta, którą należało prześcignąć: posąg Gattamelaty Donatella w Padwie i Colleonego w Wenecyi. Z Donatellem spowinowacony był Leonard przez swego mistrza Verrochia, który był jego uczniem. Przedziwny geniusz twórcy Ś. Jerzego we florenckiem Or-San-Michele musiał go nieraz pobudzać do podziwu i współzawodnictwa. Ale bardziej jeszcze pobudzał go do tego Colleone Verrochia.

Jak przedwcześnie zgasły Massaccio w malarstwie, tak w rzeźbie Donatello jest punktem wyjścia nowej epoki, a zarazem dzięki wyjątkowo potężnej duchowej organizacyi — punktem kulminacyjnym dla całej epoki następnej, próżno silącej się mistrzowi swemu dorównać. Raczej nawet trzeba by go pod tym względem zestawić z Giottem, bo jak u tego ostatniego rola jego w sztuce jest wprost stworzeniem jej z niczego, gdy u Masaccia jest ona tylko wprowadzeniem malarstwa w nowe, wyższe stadyum doskonałości, duchowej i technicznej swobody. Ale niedościgniony w ś. Jerzym, w brązowym Dawidzie, w Dzieciach grających, może w ś. Mar-ku, którym tak zachwycał się Michał Anioł, Donatello w konnym posągu prześcignięty został przez Verrochia... Nie żeby nie był pięknym i wspaniałym jego koń i jego jeździec. Owszem: na wysokiej, pustej, o wdzięcznych liniach podstawie, stoi posąg konnego rycerza imponujący, pełen prawdy i powagi — bodaj nawet mający tej powagi i tego spokoju za wiele. Kiedy się widzi fidaszowe konie z brązu rwące się z rąk trzymającym je młodzieńcom, ma się przez mgnienie oka wrażenie: co będzie, jeśli się wyrwą? Tu niema obawy. Michał Anioł tego sennego jeźdźca nie spytałby pewno, czemu nie przemawia i czemu w bój nie rusza.

O kondottierze Verrochia stojącym do dziś na małym placu ku przed kościołem Jana i Pawła w Wenecyi, powiedzieć musi każdy, że jedzie świat podbijać. Trudno doprawdy o większą potęgę w koncepcyi jeźdźca i konia, o doskonalsze ich zjednoczenie i wyższą szlachetność. Koń się nie zrywa, nie wspina, nie parska. Ściągnięty potężną, ale spokojną dłonią jeźdźca, schyla lekko głowę wyniosłą i bardzo szlachetną i ruchem pełnym świadomej siebie siły i wdzięku, uderza o ziemię przednią lewą nogą. Ruch



ten nader szczęśliwie pochwycony, nadaje mu życie, brakujące posagowi Gattamelaty, podobnie jak podniesienie zwróconej w bok głowy jeźdźca z zuchwałym i wyzywającym wyrazem twarzy, oraz ruch ręki, zdającej się miecz z pochwy wyciągać, nadają tej postaci tyle charakterystyki i dramatycznego interesu, ile ich ma bardzo niewiele dzieł sztuki na świecie.

Studyując nieustannie konia przez kilkanaście lat swego pobytu w Medyolanie, mając u przyjaciela całą stajnię najpyszniejszych rumaków, których godzinami zmuszali masztalerze w oczach jego wspinać się i rzucać, Leonard miał kolejno cały szereg pomysłów, co do postawy konia, do której oczywiście stosowałyby się postawa jeźdźca. Mnóstwo rysunków i szkiców, rozproszonych po galeryach i prywatnych zbiorach, odnosi się do zajmującego myśl Leonarda modelu. Rozpatrując się w nich bliżej, możemy je podzielić na trzy grupy. Jedna, najmniejsza, obejmuje szkice konia, stojącego nieruchomo, i widocznie powstała pod wpływem posagu Donatella; druga bardzo wybitnie odbija działanie Verrocchia i pokrewieństwo duchowe z posagiem Colleonego; trzecia wreszcie przedstawia konia w pełnym wieku, wspinającego się do góry lub podnoszącego w galopie przednie kopyta.

Jakim był model? Nie wiem, czy jest zawilsza kwestya wśród tych, o które polemizują współcześni krytycy sztuki. Z jednej strony parę małych modeli, zachowanych dotąd, zwłaszcza model posagu, znajdujący się u pani André w Paryżu, przemawiają za tem, że był pokrewny posagowi Colleonego. Z drugiej świadectwo Giovia i parę starych sztychów przedstawia nam ten model wedle trzeciego typu. Skoro jednak wiemy z wielostronnych świadectw, że Leonard pracował nad modelem przez całych lat 16, t. j. do r. 1499; dalej zaś wiemy z równie pewnego źródła, że już w r. 1493, podczas zaślubin siostrzenicy Mora, Bianki Sforza, z cesarzem Maksymilianem, model ten (t. j. koń, bo do roboty jeźdźca Leonard nie przyszedł nigdy) był już skończony i stanowił główną ozdobę wystawionego z powodu uroczystości tryumfalnego łuku—możnaby przypuścić, że Leonard zrobił z kolei dwa modele, nie będąc zadowolony z pierwszego. Przypuszczenie to tem jest prawdopodobniejsze, że opiera się na charakterze Leonarda, na jego zamiłowaniu oryginalności, oraz na zmyśle krytycznym, niedającym się łatwo zaspokoić.

Jeśli tak było, pierwszy model wyglądał zapewne tak, jak go przedstawia paryska statuetka pani André, ze złoczonego bronzu. Oryginalny całkiem model ten, pozostaje przecie w związku z arcydziełem Verrocchia. Odrębny od konia Colleonego i temperamentu

tem, i ogólnym zarysem linii, zbliża się do niego koń Leonarda postawą. Koń Verrocchia przedstawia od szczytu wysoko podniesionej głowy jedną niemal pochyłą linię, bardzo wdzięczną dla oka. Cały zresztą jest w konturach swych prosty, a zgięcia nóg i głowy tworzą u niego ścięte kąty. Jest w nim zapal i ogień, ale niema kaprysu i ruchliwego temperamentu. Przeciwnie, koń Leonarda jest cały tym temperamentem, ogniem, życiem. Linie jego zaokrąglone, zaokrąglone zgięcia nóg i schylenie głowy. Ale ruch podniesionej nogi zupełnie taki, jak u Verrocchia i jak u Verrocchia dziwna w pojęciu konia prostota i szlachetność, dziwna umiejętność wywołania niepospolitego efektu bez użycia żadnych niezwykłych, żadnych nawet w ogóle pomocniczych środków.

Drugi model wyglądałby zapewne tak, jak go przedstawia sztych monachijski, od poprzedniego zupełnie inaczej. Pierwszy był smukły, lekki, ognisty: ten jest bojowym rumakiem o niezmiernie rozrosłych, ociążałych członkach. Ciężki m także jest ruch, jakim w galopie podnosi przednie kopyta, tratując leżącego pod nim rycerza. Jeździec, którego na żadnym modelu Leonarda nie było, znajduje się na sztychu i mógłby stać się poważnym argumentem przeciw wyrażonemu przeze mnie przypuszczeniu. Jest on równie jak koń potężny i smuklejszego rumaka przygniótłby pewnie swym ciężarem. Ruch jego ręki z wyciągniętym mieczem przypomina znowu podobny ruch Gattamelaty; twarz o klasycznym profilu, ale nalana i martwa, zbyt wiernie odtwarzająca zapewne ówczesne portrety Francesca Maryi, nie wytrzymuje porównania z przepyszną twarzą Colleonego, tkwiącą w pamięci każdego, kto ją raz zobaczył.

Przypuszczając istnienie dwóch modeli, niema się żadnych danych co do losu, jaki spotkał pierwszy z nich. Czy go sam artysta zniszczył, jak Verrocchio, gdy połamał nogi swego konia, czy zniszczenie było dziełem przypadku? Niewiadomo. Natomiast wiemy dobrze, co stało się z modelem, który w r. 1499 Leonard musiał za sobą zostawić opuszczając Medyolan po ucieczce Mora. Łucznicy gaskońscy wzięli go za cel dla swoich strzałów i obeszlą się z nim, jak w trzy wieki później grenadyerowie jedynej i niepodzielnej republiki z *Wieczerzą*. Model został zniszczony. Chciał go później nabyć czy dla odrestaurowania, czy tylko na pamiątkę książę Ferrary; podobny zamiar objawił i późniejszy opiekun Leonarda Ludwik XII. Widocznie jednak model nadto był zrujnowany, aby można go było przewieźć i w jakikolwiek sposób zużytkować.

Praca Leonarda pozostała więc daremną, dźwiękiem bez echa, ziarnem, któremu nie było sądzono wyrosnąć w kłos bujny i obfi-

ty? Nie. Nawet o utworach, których nie dokonał, nie można tego powiedzieć. Nic w naturze nie ginie, nic też nie jest daremne z działania człowieka. I nie tylko w dziedzinie pojęć moralnych, każdy, choćby niedokonany, zamiar człowieka jest czynem i to czynem nieśmiertelnym, dającym się naprawić, zagładzić i zmasać co do winy lub zasługi, ale niedającym się zmasać co do istnienia. To samo jest i odnośnie do realnego życia. Mniejsza o to, czy zejdzie plon z ziarna, które rzucił siewca: zasługa jest niezmienna, jeżeli ze swej strony niczego nie szczędził, aby plon otrzymać. Jeżeli zaś gdzie, to u nas, w narodzie, w którego najnowszych zwłaszcza dziejach karty najczystsze i najpiękniejsze są najmniej szczęśliwe, nie godzi się wartości człowieka lub jego dzieła mierzyć powodzeniem.

Powodzenia Leonard da Vinci nie miał, a z czterech największych dzieł jego życia, żadne nie ostało się losom przeciwnym. Ideał niewieściego piękna, najwyższy w całym malarstwie odrodzenia, bo najgłębiej pojęty i najdoskonalej odzwierciedlający duszę, Monna Liza, przemalowaniem zniszczona, daje nam raczej domyślać się, niż czuć czem być musiała Wieczera, zatarta niemal doszczętnie: znamy ją bodaj już ze sztychu Rafaela Morghena, jaką była, podczas gdy na przeciwnej ścianie tego samego refektarza jaśniej bezczelną świeżością barw i linii zupełnie mierne, tuzinkowe Ukrzyżowanie Giovanniego Donata Montorfano. Bitwa pod Anghiari na ścianie wielkiej sali radnej Palazzo Vecchio we Florencji zniszczona bez śladu i tylko parę zatartych szkiców i sztych Marcantonio della Torre dają o niej trochę wyobrażenia. Bez śladu zniszczony i model posagu Sforzy.

Bez śladu, ale nie bez pożytku. A nie sam to tylko idealny pożytek, jaki przynosi promienna wizja geniusza pełnego harmonii i duchowej głębi, ale pożytek realny. Taka jak jest Gioconda, będzie do końca swego istnienia sama jedna całą szkołą dla artystów. Rafaellofskie madonny będą ich zachwycać i uczyć piękna, ona zaś będzie się uczyć patrzeć w duszę. *Wieczera* otworzyła świat nowy dla artystycznej kompozycji. Gdyby jej nie stworzył Leonardo nie byłoby Veroneza i całej jednej, najwspanialszej części weneckiego zwłaszcza malarstwa z drugiej połowy odrodzenia. Podobną szkołą dla współczesnych batalistów była bitwa pod Anghiari, była nią wiemy już i dla Rafaela. A jeżeli o konnym posagu Sforzy nie możemy tego samego powiedzieć na podstawie autentycznych źródeł, czyż nie każe nam tego powtórzyć logika faktów, wpływ iście magnetyczny, jaki Leonard wywierał na swe otoczenie zawsze, a tem bardziej na uczniów *Academiae*

Vincianae jak długo wśród nich przebywał. Leonard nie byłby tym półbogiem, za jakiego go uważały Włochy XVI w., gdyby jego koń nie odbił się swym wpływem obok koni Verrocchia i Donatella na całym pokoleniu rzeźbiarzy, podobnie jak na malarzach — konie z Bitwy pod Anghiari.

Ostatecznie nie mamy prawa zwracać przeciw Leonardowi ostrza znanego twierdzenia, że „nur das Schaffen macht gross, nicht das Wollen,“ bo nigdy u niego siła nie była mniejszą od woli i zamiaru. W ogóle im bardziej z kolosalnej a tajemniczej postaci mistrza coraz to ściślejsze badania uchylają zakrywającą ją dotąd zasłonę, tem ona w oczach naszych rośnie, tem potężniej działa na nas wpływ jego geniuszu — i w przyszłości niewątpliwie im bliżej Leonarda znać będzie ludzkość, tem niżej schyli przed nim czoło. Ale w społeczeństwie, na którym sprawdzała się już tak często grecka bajka o Ikarze, godzi się z historyi Leonarda i jego niedokonanych utworów, wyciągnąć dwie nauki. Jedną, że hasło „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił“ jest nietylko szlachetnem, ale i uprawnionem, i praktycznem, jeżeli je wypowiada Mickiewicz lub Leonard da Vinci, że jednak powtarzać je za nimi i do siebie stosować temu tylko wolno, kto im jest równy i jak oni — geniuszem; drugą, że i dla tych, którym je wymówić wolno, hasło to przecież stać się może niebezpieczne, boć nietylko o własną bezsilność rozbić się może praca twórcza człowieka, ale i o zewnętrzne okoliczności i warunki. Do tego, kto jak Leonardo był nawet kosztem swej chwały i nawet w dziełach dla chwały tej straconych, światłem, dźwignią i chwałą całej jeduej epoki w dziejach ludzkości i to epoki takiej jak odrodzenie, godzi się zastosować słowa poety:

„I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,  
Jeżeli poległem ciałem  
Dał innym szczebel do sławy grodu.“

JAN ŁADA.

# Młodość Słowackiego<sup>1)</sup>

1809—1836.

## IV.

### Wzmaganie się pesymizmu. Wyjazd z Warszawy.

Nowy świat go otoczył, atmosfera drażniąca w stopniu wysokim objęła w około, oddech stolicy, skupiającej całą umysłowość polską, gasnącą już w Wilnie, pobudzał do gorączkowej roboty. Było to już po wyjściu *Konrada Wallenroda* i petersburskiej przedmowy Mickiewicza, która spadła jak kij w mrowisko klasycyzmu i wywoływała zatargi nieustanne. Byron, Walter Scott, Goethe, Schiller, Wiktor Hugo i burza romantyczna szalejąca nad Sekwaną, byli przedmiotem rozpraw młodych; coraz namiętniejsze krytyki, ukazujące się w pismach codziennych, wskazywały na napięcie polemiki, krańcowe zawichrzenie pojęć, wybujałość indywidualizmu, nad którymi bolał nie bez słuszności czasem Brodziński. Dzięki Odyńcowi, znanemu sobie z Wilna, wszedł młodziutki adept poezji w koła literatów i zaczął rozpalać się myślą o tworzeniu mającym zadowolnić jego dumę, żadną sławy. Egotysta, zamknięty w sobie, subtelny marzyciel, musiał niejednokrotnie zrażać się polemiczną atmosferą polityczną i literacką tu panującą; rozwijał w sobie teraz te zarodki charakteru, które wy dobyliśmy poprzednio i „coraz smutniejszy,“ bo coraz bardziej byronizujący, czuł potrzebę samotności, która mu dokuczała w Krzemieńcu. Gorączkował czasem i pisał w tym stanie *Mni-cha*, tęsknił za czasami wileńskimi, słuchał opowiadań starego sługi i nastrojał się niekiedy bohatercko, opowiadaniem Grzegorza i teraz, jak sam mówi w pamiętniku, „łatwo pojąć, jak

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.

takie nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacyi. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonei fizycznemi siłami. W imaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem, i raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch tomach poezye w przeciągu półtora roku, to znaczy do połowy roku 1830 lub co najwyżej do jesieni.“

By zgłuszyć tedy trawiące go nudy, pisał nie domyślając się, jak jest podobny do Chateaubrianda, skarżącego się wiecznie na nudę i *manie d'être* na nieskończone sposoby. Zawód urzędniczy nie mało mu sprawiał przykrości; jedyną rozkoszną chwilą było tworzenie pospieszne, pełne gorączkowości, podmiotowe do krańcowości i cenne, głównie ze względu na psychologię poety. Prof. Zdziechowski w swym *Byronie i jego wieku* wybornie ocenił charakter tych twórców; do jego charakterystyki poety, tam zawartej, trudno dorzucić nowe uwagi. Czy taki nastrój i zamiłowanie zgadzały się jednak z nastrojem ówczesnej młodzieży? Chyba nie i, jak słusznie zaznaczył niedawno prof. Askenazy, młodzież ówczesna była prostsza, jednolitsza, zdrowsza i skłonniejsza do czynu niż do pesymizmu. Wynikało to z temperamentu poety, nawskroś egotycznego i chorobliwego; ten temperament pragnął tylko wrażeń artystycznych i wyznawał sceptycyzm polityczny w całej pełni. I tu źródło niesnasek między nim a społeczeństwem. A tymczasem w około wrzało od politycznych polemik, a atmosfera czyniła się zapalną i nastrojącą serca na rytm przyspieszony. Warszawa wyglądała, jako zbiorowisko tajnych kółek i kół, które poruszały nawet chłodnych, a wybuch groził nieuchronnie, zwłaszcza, że do przygotowanych lontów sposobily ogień: rewolucya lipcowa nad Sekwaną, zakończona upadkiem burbońskiej reakcyi, przykład oswobodzonej Grecyi i zrewolucjonizowanej Belgii.

Że poeta stronił od polityki i burzliwych starć rażących go swą brutalnością, wiemy; nie był przecież wprost obojętny na sprawy ogólne i jego pesymizm, znany już z czasów wileńskich, nie dozwalał mu tylko na oddanie się agitacyi i polityce czynu. Był na to za dumny, za pogrążony w sobie samym, za rozczarowany i znudzony. „Zajnował mnie świat poetyczny — mówi w pamiętniku — ale nie tak silnie, aby mi zastonił zupełnie *nudną i smutną rzeczywistość*.“ I gdy się zetknął z nią w domu panny Kickiej lub Węgrzeckich, nudził się. Nudził się, jak Chateaubriand, nudził się jak zblazowany arystokrata, tęsknił za przeszłością i wyczekiwał czegoś lepszego od przyszłości. Jego wzór był zadowolony, gdy siedział, grzejąc się na słońcu, a on zapadając w marzenie poetyczne. Przypuszczamy, że czytał wtedy

zbyt namiętnie *Natchez* swego duchowego przewodnika, które wyszły właśnie przed czterema laty i w których patriarchy francuskiego romantyzmu podkreślał jaskrawo to znużenie życiem, tę nudę, której nie rozpraszały sława ani geniusz, praca, ani wczas, pomyślność, ani nieszczęście. On opowiada o tej nudzie z szczerością i wdziękiem, które każą wierzyć jego wyznaniom. Jej źródłem była duma, jak u Chateaubrianda, duma tyrańska, nieposkromiona, gorzka, nieuleczalna, obojętna i wynaturzona. Ona to wiodła dwudziestoletniego młodzieńca do kroków niewłaściwych i zrażała do niego ogół. Odyniec w swym sądzie o nim jest jednostronny, ale to co mówi o jego wiecznie ironicznym sarkazmie w liście do Ignacego Chodźki, może mieć w sobie krztę prawdy. A on sam, choć w objaśnieniach do *Mindowego* usilnie krył się niby za osoby działające w powieściach, przecież pisząc *Mnicha* w największem rozgorączkowaniu, jak Chopin, komponujący niedługo później preludjum Nr. 2, mówił tylko o sobie. Między tymi dwoma genialnymi młodzieńcami zachodziło wielkie podobieństwo wyobraźni i uczuciowości. Jak tamten, nie mógł Słowacki, zwłaszcza wtedy, utrzymać miary, musiał być zawsze podmiotowym i tworzył niby w hallucynacyi. Mógł się chwilowo zapalić dla hasła ogólnych, ale gasł szybko i o sobie nie zapominał mając własną dumę, jako motyw kierujący tworzeniem. Do wewnętrznej harmonii było mu daleko, a do rozstroju tej nerwowej natury mogło się też przyczynić rozpamiętywanie o świeżym zawodzie miłośnym:

Marzyła dusza. Pełz razy w pieki,  
 Ściąłem w stepach zniknione obrazy;  
 Często myślałem, że już niedaleki,  
 Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy.  
 Płochę to było i marne złudzenie!

A więc życie go nudziło, jak Renégo, a może i kochać nie umiał, jak Eudove w *Martyrs* Chateaubrianda, znanych mu niewątpliwie już wtedy. Nuda go pożerała i był duszą niespokojną, pałającą żądzą wrażeń nieokreślonych, zbyt wyrafinowaną, by ją mogły zadowolnić zwykłe zabawy i małe przyjemności życia. Przed oczyma widział przepaść między marzeniami a rzeczywistością i żarła go rozpacz groźna, i gotowa zniechęcić ludzi i świat, gotowa wydać im walkę na zabój, gotowa zamknąć się w odosobnieniu pysznem i patrząca na wszystko, jak na widowisko ucieszne i bez interesu dla artysty.

A postać Śniadeckiej, która wzgardziła nim jak Mary Chaworth Byronem, stała mu, jak myślę, ciągle w pamięci. Więc chce być pesymistą i wchodzi w swą rolę doskonale, odsuwając od siebie lepsze pierwiastki swej natury. Smutnym jest naprawdę, jak René, rozczarowanym, kochającym sławę i lekceważącym ją, a jego pamiętnik jest pełen cierpienia istotnego. Cierpienie to mniej silne niż de Vigny'ego i Leopardiego, ale prawdziwe, skoro przywiodło go do takiego obłędu moralnego, jaki nie stał się nawet udziałem Byrona. A ten obłęd moralny zbliżał się szybko, obwieszczając się zrazu pragnieniem ucieczki od otoczenia. Rzecz dziwna, że *Hugo*, jako najpierw napisany, nie zawiera go wcale i odznacza się jedynie wedle słusznej uwagi jednego z krytyków, tajemniczością intrygi, właściwą Byronowi; wystąpi ono w *Mnichu*, a jeszcze bardziej w *Mindowem*, gdzie przekształci się w rodzaj nihilizmu moralnego, szpetnego i nieznanego Mickiewiczowi, pod którego wpływem, począł tworzyć poeta:

Tyś spokojna? ja nie chcę widzieć cię spokojną.  
 Szczęśliwa? nie chcę, żebyś ty była szczęśliwa.  
 Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,  
 Niech jej niszczy rdza cierpień, zgrzyzota rozrywa.

Może to echo uczuć poety dla Śniadeckiej; bądź co bądź psychologia tak *Mnicha*, jak *Mindowego*, ma wiele podobieństwa nie tylko z bohaterami takiego *The Giaour*, czytanego właśnie w oryginale z gorączkowym zapałem, ale i z ówczesnym usposobieniem twórcy. Spostrzeżono to już dawniej, a obecnie wykazano nawet szczegółowo reminiscencye byrońskie<sup>1)</sup>. Cechą zaś wspólną romantyków było, że ich charaktery były mniej więcej dokładnymi obrazami stanów ich osobowości. Byron natchnął poetę więcej niż Szekspir, pod którego natchnieniem może pierwszy polski dramaturg, wedle wzoru romantycznego, prawdy nie wynaturzył, choć był już blisko tej granicy, gdy przez usta Mindowego skarżył się gorzko:

Ach matko! ciężkie! ciężkie moje było życie,  
 Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko:  
 Nikt mnie nie kochał.

I rzecz szczególna, że pamięć chłopięcej miłości będzie się odbywać w pocie życie całe... W lecie 1830 r. odwiedził strony

<sup>1)</sup> Stanisław Zdziarski: *Szkice literackie*. Lwów-Warszawa 1903 str. 195—259.



rodzinne i, jak przypuszcza Hoesick, pisał tam *Jana Bieleckiego*. Prawdziwy romantyk nie mógł nigdy zapomnieć o sobie i dlatego w naturze bohatera, szczególnie po spełnionej zdradzie, przeważa gorycz, zresztą usprawiedliwiona i pełna dziwnej poetyczności:

Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,  
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy  
Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy  
Weselsze będą grobowe cyprysy.

Myśl o dramacie nie opuszczała go wtedy stale. Wszakże Byron napisał ich ośm i w nich wyraził najczęściej swe najtajniejsze myśli i bunt ducha; we Francyi i Niemczech była to ulubiona forma poetycka, a choć poeci lubili ją naginać do nastroju swej duszy, dbali o koloryt miejscowy, szukali punktów stycznych z ogółem, stwarzali jednym słowem jakąś atmosferę idealną, prawdopodobną i poetycką w stopniu wysokim.

Więc i uczucia poety przeglądać będą, jak Wiktora Hugo, w jego teatrze. *Maryja Stuart*, która nastąpiła teraz, wiąże się tedy z jego życiem uczuciowem, marzeniami i przejściami, krążącemi po dziele, jak krew w żyłach. On analizuje siebie samego, jak Musset, pod różnemi nazwami, i raz przedstawia się naiwnie, jak paź, raz namiętnie, jak Rizzio, raz ponuro, jak Botwel. Jak stany jego usposobienia są subtelne, tak subtelne są i figury dramatu, a kreślone ze zmysłem psychologicznym, jakiego nie posiadał żaden w tym stopniu z polskich dramaturgów dawniej, wtedy i później. A Maryja, luźnych zasad i wątpliej moralności kobieta, nie jest czasem podobna do jego ideału? Słowa pazia do astrologa przypominają wrażenia jaszuńskie:

Kocham ją jako matkę, siostrę, jak aniola.  
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana  
Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana  
Spadnie mi róża na półuwiedla z jej czoła;  
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,  
Twarz spłonioną...

On miał jednak wyobraźnię nadzwyczajną i coraz nowe pomysły wyrastały po sobie. Tej wyobraźni nie miał nikt z romantyków może i ona była dla niego klęską i szczęściem zarazem. A uczuciowość, która jest w poecie jednym z głównych źródeł sztuki, doszła teraz do drugiego stadyum natężenia w kierunku byrońskiego, a może więcej jeszcze Chateaubriandem natchnionego pesymizmu. Jego echem *Arab*, nakreślony jako ostatni w cią-

gu owego pamiętnego, półtora roku może bezpośrednio przed nocą listopadową i stanowiący coś wręcz przeciwnego od nastroju byronizującego Mickiewicza oraz całego ogółu polskiego. Byronizm tamtego był więcej dekoracyjnym od samego początku i później; Młaczewskiego trapiła rozpacz posepna, ale rezygnacyjna i chrześcijańska. Tu był pesymizm bezwzględny, złowrogo odzywający się już dawniej, a mogący iść w porównanie z pesymizmem tylko de Vigny'ego lub Leopardiego. W okresie rozpłomienionej atmosfery patryotycznej egzaltacji rewolucyjnej, spotęgowanie idei społecznych, ekscentryczna mizantropia tego rodzaju—była czemś odosobnionem. Byron mógłby podpisać, jak sądzę wbrew zdaniu prof. Zdziechowskiego, *Araba*, Shelley nigdy. Znadto wiew helleńskiego ducha przenikł go w młodości i do ostatnich konsekwencji nie doszedł nigdy w zawziętym egotyzmie. Pesymizm uniósł tu wrażliwego młodzieńca zbyt daleko i zamiast zwyciężyć go, stał się jego ofiarą. A i Vigny kładł za dogmat rozpacz spokojną, a nie zniszczenie wszystkiego. To już pesymizm absolutny, bez pół lub ćwierć nastrojowości, zbliżony do nihilizmu Leopardiego, choć mniej głęboki; poeta miał mniej powodów do niego, a smutek mu wrodzony rozgorzał tylko zbyt jaskrawo i ponuro. Był tedy, jak de Vigny, idealistą bez wiary, myślicielem bez dogmatów, mizantropem krańcowym, młodzieńcem bez młodości, niby cierpiącym dumnie, a czasem pałającym chęcią zemsty złowrogiej:

I lzy i rozpacz są skarbnicą moją,  
 I z tej skarbnicy lud podły odbarzam.  
 Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,  
 Wesółych cierpień widokiem prerażam;  
 Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,  
 Szczęśliwi bledną i śmiać się nie mogą.

Wśród kamiennych ludzi skamieniało jego serce, zabił w sobie nadzieję i zbuntował się przeciw Bogu i jego stworzeniu, które nienawidzi, jak de Vigny w *Maison du Berger*.

Wielka wyobraźnia dolewała jeszcze oliwy do ognia i tworzyła sytuacje, jeżeli nie nieznanne, jak utrzymuje mniej słusznie Małeckie, to jako objaw moralnej choroby, niebezpieczne. Mógł ten pesymizm zaciężyć bardzo nad twórczością, a nawet zaszkodzić poecie w opinii tem więcej, że był afektacją i poza w dużej części, nie miał przyczyn poważnych i kazał w lat dziewięć później odpowiedzieć poecie na zaczepkę złośliwego i jednostronnego krytyka z pewną pokorą, że „teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc wzrostu sobie przy-

imógł.“ A więc pesymizm obecny był tylko poza artysty dla ludzi, którzy bynajmniej o „artystostwie“ nie myśleli? W tem wyznaniu poety było przecież nieco dumy, ukorzenia się nieco wyniosłego, pogardy tłumu pozbawionego, miłości sztuki, jak u parnasistów francuskich. A ten tłum, to przecież nie mieszczaństwo paryskie, syte i zadowolnione, ale naród nieszczęśliwy i żądny wolności. Samo wyznanie poety, że zbłądził, dowodziło niezbiecie, że w zarzutach jego przeciwników była szczypta prawdy, i że obojętnie dla sprawy ogólnej nastrojony był wtedy istotnie. Więc *Arab* był tylko dalszym ciągiem jego autobiografii. Rozpoznać w nim można poetę *Godziny myśli*, zdradza się on w nim z swą goryczą, mizantropią, nudą, odosobnieniem, dumą, zamiłowaniem samotności, pragnieniem szczęścia nieokreślonego i melancholią niepokieszoną i krańcową:

Nie! nie chcę rajy — lecz proszę proroka,  
Niech mojej duszy da stępy bez końca,  
Dzkie i puste, bezbrzeżne dla oka,  
I wiecznie wrące promieniami słońca...

Zostawiają te wylewy wrażenie głębokie; nihilistyczna mizantropia poddyktowała poecie zapewne najpiękniejsze wiersze, jakie dotąd napisał. Nienawiść świata, przepelniająca poemat, przytłacza nas, jak głaz, razi jak bluźnierstwo, przejmując grozą swym spokojem i brakiem ludzkiego uczucia i cieszymy się, że to ostatnie stadyum uczuciowości jego, którą rozwinął w nim zwłaszcza Rousseau i Chateaubriand z dodatkiem Byrona, że nie zatrzyma się on, jak de Vigny w stoicyzmie, ale zwróci zwolna, i z trudem z obranej drogi i wydobędzie z siebie skłonności lepsze.

I wtedy zaszedł wypadek równie tajemniczy i zagadkowy, jak pierwsza pieśń poematu, a nierównie smutniejszy i komentowany przeróżnie, a zawsze, jak sądzę, z niewłaściwym w takiej kwestyi liryzmem. Nie myślę stawiać nowej hipotezy o przyczynie wyjazdu poety z Warszawy; wywód Małeckiego, jak się zdaje, może dotyczyć tylko zewnętrznej pobudki, która ten wyjazd wywołała. „Wyjechałem w podróż — pisał nasz zbieg do matki 17 marca 1831 r. — 8-go tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas dosyć brzydki, wyjechałem w nocy, smutno mi było, zdawało mi się, że uciekam i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mam moja kochana, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić.“ Słuszne przeczucie, a podobne do tego, które żywił Chopin, opuszczający Warszawę. Wielec poeci

nie zawsze byli wielkimi charakterami, a nieugiętość przekonania tyle imponująca u nader słabego artysty Goszczyńskiego, obcą była Słowackiemu. Jego usposobienie obecne uniemożliwiało wiarę stałszą w cokolwiek; czuć w tym kroku, jak myślę, tylko egotystę, sceptyka, pesymistę, z arystokratycznym uśmiechem spoglądającego na sprawy tłumu. Byron nie mógł zapomnieć o swem lordostwie, jego wielbiciel o swym pesymizmie, rozstroju, mizantropii. Nie tłumaczyć więc tego wyjazdu zewnętrzną pobudką, ale sięgnąć do jego ówczesnej psychologii trzeba i należy; w niej znajdzie się klucz zagadki. Uczuciowość i wyobraźnia, oto z czego składa się on cały. Drugiej ma więcej, niż pierwszej, a pierwsza ma charakter więcej osobisty i skierowany do siebie samego. Nie znaczy to, że nie umie kochać; ale jego przywiązanie ma niekiedy formę zbyt poetycką i odrębną.

Kocha swe marzenie, bawi się niem, cofa się i zamyka się w sobie, bo nie może oddać się z całą namiętnością. On, największy psycholog między naszymi dramaturgami, widoczny jest przecież wszędzie, jak Chateaubriand; urywek z niego jest w każdym jego dziele. A wszędzie jest dumny, melancholiczny, znużony często, analizujący siebie i krańcowy, jak René lub Eudove. On lubił jednak swą drażliwość, promieniował nią w całej poezji, wpajał ją czytelnikom. A rzeczy na świecie nie są podobne do marzeń; raziło go i razić mogło w powstaniu wiele, jego egotyzm i zamiłowanie samotności czuły się źle w atmosferze naprężonej, potrzeba było większej siły ducha, by to znieść i cofnął się. „Trzeba było iść do wojska — pisze 12 kwietnia t. r. — miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał.“ Ten los, to jego indywidualizm bez miary, lekceważenie czynu, nuda, mizantropia, rozczarowanie, gorycz, smutek. Zbyt ferment objął jego istotę, by zdobył się na energię, i postąpił wedle sumienia, które go gryzło. „Przez jakiś czas — pisał znów 23 maja t. r. — miałem zamiar do was powrócić; teraz już o tem nie myślę, wreszcie napiszcie mi, co ja mam robić, gdzie się obrócić, jaki jest stan waszych interesów.“ A więc najpierw ukartował plan wyjazdu, jeżeli zapewnił sobie weksel od matki w Dreźnie, a potem wahał się i walczył z sobą.

## V.

## Wrażenia podróżnika. Przesilenie pesymizmu.

Jechał więc Słowacki na Zachód, skąd przyszedł do nas romantyzm zwyciężający wtedy ostatecznie pseudoklasycyzm i obchodzący właśnie wraz z malarstwem tryumf zupełny. Reakcyja romantyczna ogarnęła wszystkie rodzaje literackie, a jako hasło podawała przede wszystkim koloryt i efektowność, w obec których ekspresya formalna ma tylko znaczenie drugorzędne. Indywidualizm nieograniczony niczem, miał być odtąd zasadniczym motywem twórczości, a życie, natura, wyobrażenia utożsamione z światem zewnętrznym, stanowią moment decydujący. Rozwiał się pojęcie miary, harmonii, określoności, bezosobistości, realizmu, plastyczności — zaczerpnięte z literatur klasycznych, a romantyzm zbliżał się do granic swej ewolucyi indywidualistycznej, której krańcowym wyrazem byli Novalis w Niemczech, Byron, Shelley, Keats, Poë na gruncie brytańskim, Hugo i Musset we Francyi, Słowacki u nas. Macaulay z ironią mówi o szerzącej się chorobie byronizmu nad Tamizą, która udawała bardziej dekoracyjną romantyczność Waltera Scotta i stawała się manierą; nad Sekwaną, dokąd dążył właściwie poeta, było podobnie. W ten sposób rozchodziły się drogi dwóch wielkich mistrzów polskiego romantyzmu, nim jeszcze znaleźli się w jednym umysłowym środowisku. Romantyzm Mickiewicza stał w związku z pojęciem poezyi Goethego, Schillera, Herdera, nie wykluczających wcale rozumu i nie dających wyobraźni i uczuciu wyłącznych przywilejów. Wszechstronnie wykształcony, prosty, zdrowy temperament litewski Mickiewicza oparł się na tem pojęciu zaczerpniętem po części od Grododka i Borowskiego, po części, jak tego dowiódł Chmielowski, od Schległów; wszakże w r. 1822 chwalił „grecką równowagę między imaginacją, uczuciem i rozsądkiem,“ nie radził zrywać z zasadniczymi prawidłami klasycznej sztuki, choć wyśmiewał pedantyzm pseudoklasyczny. Twórca *Grażyny* uniał być klasykiem w epoce największej brytanomanii i wykluczyć swą osobistość, co nie udawało się zbyt dla twórcy *Mindowego*, jak to widzieliśmy dopiero. Zbliżał się wtedy Mickiewicz do zenitu rozwoju i choć potępiał *Braut von Messina* Schillera i nie chciał neoklasycyzmu, pobyt w Rzymie, studia nad Winckelmannem, rozmowy z Krasińskim, dowodzą, że zaszedł w nim zwrot do realizmu bardziej przedmiotowego. A jak Improvizacya Konrada była chrześcijańską parafrazą tragicznych wyle-

wów ajschylosowego Prometeusza, i uznaniem słabości rozumu ludzkiego obcem Byronowi i jego naśladowcom, tak i niebawem mająca powstać epopeja więcej przypomina Homera, Wergiljusza, Tassa przedmiotowością rzadko tylko naruszaną, wypukłością, plastyką, wyrazistością i spokojem, niż Byrona. Mickiewicz wyprzedził zwrot do realizmu wśród romantyków europejskich i nim popadł w mistycyzm, dał najdoskonalszy pomnik tworzenia w duchu tradycyji helleńskich.

Natchnienie jego było jednak czysto romantyczne, jeżeli za romantyzm uważa się zwrot do przeszłości, przyrody, metafizyki religijnej lub mistycznej. Słowacki poszedł dalej już od dawna i nie zatrzymał się dotąd ani na chwilę. Wezbrana fala podmiotowości nie opadała w nim wcale, a choć pesymizm jego wzmożony lekturą Chateaubrianda i Byrona przesilił się niebawem, niemniej pojęcie sztuki nie zmieniło się prędko i jak ówczesni romantycy nadsekwańscy, dbał więcej o jaskrawy koloryt niż rysunek, efektowność niż prostotę i ekspresywność linii. On sądzi, że w naturze nie ma linii, że kontury mieszają się z sobą, że natura zawiera efekta niesłychanie świetlne i rozlewne, że nie kontur rozstrzyga, ale charakter, nastrój, ruch, namiętność, ton, drganie. I dlatego Słowacki jest Delacroix polskiej poezyi, rozwichrzonym, namiętym, unoszonym falą nastrojowości zmiennej, jak pogoda wiosenna, suggestywnym, błyskotliwym, wymownym ogromnie a rzadko chłodnym, zrównoważonym, skupionym, dokładnym, harmonijnym, imponującym kompozycją, rozkładem efektów i czystością rysunku, jak Ingres walczący współcześnie z Delacroix o palmę pierwszeństwa w sztuce malarskiej. A *Apothéose d'Homère* Ingres'a stworzona po powrocie z Rzymu, o dobrej kompozycyi, świetnym rysunku, kolorycie będącym, jak w Mickiewiczu, akcesoryum przynajmniej do pewnego stopnia, stoi w takiej sprzeczności z fantastyczną *Barque de Dante* Delacroix, jak poezya mickiewiczowska wtedy i później, z twórczością ówczesną i przyszłą Słowackiego. By to zauważyć, nie potrzeba uciekać się aż do Veronesa na wzór Klaczki albo Moreau lub Boecklina na wzór Matuszewskiego; sztuka plastyczna i poezya miały wtedy cechy podobne. Więc i Słowacki, jak Delacroix, umie być głębokim, umie roztoczyć obraz burz wewnętrznych, umie poruszyć do trzew, ma dar czarodziejski wywoływania wizyj strasznych, szarpiących, bolesnych i nie mieszczących się prawie w ramach utartych wyrażen i form. Delacroix potrzebował plafonów, i kopuł dla swych pomysłów, nie lubił też świata rzeczywistego i wołał „tęczową kopułę myśli,“ rozwiewność, nieokreśloność, nieskończoność fantastyczną i nud-

zwyczajną. On jest Delacroix naszej poezyi i Puvis de Chavannes; jak tanci rozpętany, nie cierpiący powszedniości, idealista i egotysta do ostatnich krańców; dlatego też realiści poetyccy i trzeźwe umysły—nie pojmą go nigdy... Na razie nasz pesymista wędrował przez Niemcy, tęskniąc do swoich i kątów rodzinnych. Gdy nad Wisłą toczyły się krwawe zapasy z coraz złowróbniejszym wynikiem i zbliżały się fatalne wypadki 15 sierpnia, on bawił się w Dreźnie, czytał w bibliotece, snując w wyobraźni wątek drugiej pieśni *Żmii*. Wszak mógł wrócić jeszcze, ale zamiast tego utyskiwał tylko bez wielkiego bólu, że „złe jest trochę, żem wyjechał za granicę, ale już się stało.“ Czuł, że nie ma siły do powrotu i choroba pesymizmu zbyt go opanowała, by teraz już szukał „sposobu zyskania szacunku w kraju.“ Tęsknota już go rwała jednak i kazał sobie opisywać „Krzemieniec tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze.“ Humorystyczny ton ówczesnej korespondencji każe mniemać, że nawet niespodziewanej podróży do Londynu, która miała wedle Małeckiego być rodzajem misyi dyplomatycznej, nie brał na serio; na wstępie do Francji w Metz uderzył go tylko obchód rocznicy rewolucyi francuskiej, będący objawem zwycięstwa idei demokratycznych francuskiego mieszczaństwa, które opanować miały właśnie sztukę, nadać jej charakter rewolucyjny, by przypomnieć choćby wystawioną wtedy *Barricade* Delacroix, polemiczną i jeszcze mniej spokojną i akademicką niż twory dotychczasowe...

Gdyby Słowacki był ślepym naśladowcą Byrona, wpadłby w rutynę; on tymczasem, wbrew płytkiemu twierdzeniu Zaleskiego, szedł naprzód wchłaniając wpływy najróżnorodniejsze. Już pierwsze jego poezye cechowała wedle głębokiej uwagi prof. Brücknera „nie byrońska cecha, smutek, tęsknota, godząca nas niemal z nimi, bo przejmująca nas głęboko.“ Teraz postęp będzie szybki i widoczny. Nim nastąpi jednak przemiana jego w entuzyastę, upłynie jeszcze sporo czasu. Czuł już niesmak do egotyzmu, skrupuły sumienia budziły się w nim żywo, tęsknota za krajem dokonywała reszty. Ale do sądu nad sobą nie doszedł jeszcze, trwał w własnym świecie i polskim René być nie przestał. Pesymizm wybuchu w nim ciągle i lubił, jak tamten, uchodzić za rozczarowanego, obojętnego, samotnego w tłumie choćby dla konwenansu:

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy,  
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.  
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy  
Grobowi gmachu nie dopuści cienia...

Przypomina się Chateaubriand, pesymista z instynktu i gardzący wyniośle wszystkim z wyjątkiem siebie; współczucie, ukochanie, altruizm społeczny, nie zagościł jeszcze w sercu poety, gdy upajał się wrażeniami londyńskimi i Szekspirem, widzianym raz pierwszy na scenie po angielsku. Paryż, rzecz dziwna, nie zachwyił go wcale i zamiast interesować się nim, jak Londynem w przytoczonym dopiero urywku z wstępu do *Jana Bieleckiego*, żył w odosobnieniu studiując w oryginale Cerwantesa, a marząc o Calderonie. Lubili go romantycy niemieccy jak Tieck, czerpali z niego, jak ze źródła poetyckiej fantastyczności, poeci francuscy, jak Hugo; więc i on, jak oni pokrewni mu bardzo, rozkoszuje się jaskrawym realizmem, ciętą ironią, pomysłowością i temperamentem południowca. Szukał w nim tej jaskrawości, która odpowiadała jego nastrojowi krańcowemu i gardzącemu pseudoklasycznym konwencyonalizmem. Nosił się nawet z myślą podróży do Hiszpanii, jeżeliby mu się „szczęśliwie z wydaniem poezyj powiodło.“ Ale żądza samotności i mizantropia nie opuszczały go również. „Potrzeba mi spokojności—pisał 20 października 1831 r.—nieraz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy i powiadam sobie nieraz z Chateaubriandem: *si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude.*“ A pisząc swój *Paryż*, streszczający wrażenia nadsekwańskie, wyglądał chmurnie i zionął nieustannie goryczą, jak dawniej:

Twarze z marmuru — serca marmurowe.  
 Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu  
 Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę.  
 Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

Wyjątek z korespondencji świadczący, że wpływ Chateaubrianda nie działał nań pośrednio przez Byrona, ale wprost dawniej i teraz, dowodzi, że poezye były zgodne ze zwierzeniami poufnymi. Twórca *Renégo* i Słowacki byli naturami bardzo pokrewnymi, a poczucie zupełnej nicości życia dzielali wspólnie. Obaj byli dumni do nadmiaru, obaj mieli wdzięk poetyczny, gdy mówili o swej dumie, obaj byli trawieni goryczą i lekceważeniem czynu, obaj nie umieli oddzielić siebie od swych utworów. W tej dumie leżał psychologiczny powód porzucenia Warszawy, w tej dumie często sofistycznej i lubiącej siebie samą, jak chwalebna ranę, tkwił powód obecnej nudy, rozczarowania, dekadencji moralnej. Ale ewolucya już zbliżała się niepostrzeżenie i pragnienie wiary w cokolwiek nurtowało poetę nie bez skutku; przeszedł już kilka faz pesymizmu,



a przecież zapalał się niekiedy dla sprawy ogólnej. Marzył o mieście bardziej malowniczym niż mieszczański Paryż; tymczasem zachwycał się obrazami Luvru i kształcąc swój smak estetyczny marzył o sławie, która była już udziałem romantyków jego kierunku, jak Lamartine lub Hugo. „Z poetami tutejszymi — pisał jednak 10 grudnia 1831 — nie myślę się poznawać, bo teraz nieznamy cierpiałbym, *nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca*.“ A szczególnie drugi zwracał jego uwagę, jako teoretyk i głowa romantyzmu; jego poezye i powieści, nie wyjmując głośnych dramatów o charakterach również byrońskich, oblały go wtedy blaskiem niezmiernym. Nie mogły też nie uderzyć Słowackiego natężenie obrazowości, potęga uczuciowości, technika formy i pomysłowości rytmiczne takich *Orientalles* nie dawno wydanych i pełnych niewypowiedzianego czaru w swym orientalizmie tak ulubionym przez romantyków. I on, jak Hugo, marzył więcej niż widział, a z fragmentów rzeczywistości przeistoczonych mistrzowsko składał nowe pomysły.

Więc i *Żmija*, którego kończył wtedy, raził manierą byrońską, która nie umiała wydobyć z siebie akcentów szerszych i chciała olśnić tylko bogactwem szczegółów malowniczych i tajemniczością zużytą już i nie stojąc w harmonii z ówczesnym usposobieniem poety. Zimno, nieszczerłość, sztuczność wieje z tego niby ukraińskiego poematu, który był tyle prawie ukraiński, co Wschód romantyka francuskiego. Ale Słowacki bywa czasem więcej interesujący niż jego dzieło. On nie miał jeszcze siły moralnej stanowiącej potęgę w rękach artysty, a jest nią oddanie się jakiejś idei, obchodzącej ogół lub pewną warstwę w narodzie: jeżeli nie umiał kochać, oddawał się swej twórczości i opowiadał o sobie bez rezerwy i poetycznie. Wszakże był duchowem dzieckiem Rousseau, Chateaubrianda, Byrona i każdy niemal moment jego życia odnajdzie się w dziele. Więc i *Żmija* przypomina swym sceptycyzmem, nienawiścią świata, myślą zemsty nad winnymi i niewinnymi psychologią poety, ale w sposób daleko mniej skoncentrowany, natężony, efektowny. Nie czuje się litości dla jego cierpienia, grozy z powodu jego nieszczęścia. To już pesymizm, szary i spopolitowany, jak długo noszona suknia. Nadał on jednak właściwy ustrój poematowi i pochodził z wyłącznego ciągle zajęcia się sobą począwszy od pierwszej młodości. Nie zniknie ono nigdy, ale wyszlachetnieje i oczyści się z egoizmu i mizantropii krańcowej do niedawna. Ale teraz znajdzie się Słowacki, jaki był lub chciał być, zawsze dumny, niespokojny, ścigany jakąś fatalnością i pełen zgrzytów ironicznych i przykrych. „Wszystko dobre mam od cie-

bie—pisał do matki 24 stycznia 1832 r.—wszystkiemu złemu sam jestem winien; *wszystko mnie znudziło*, musiałem wszystko porzucić i jak waryat gonię za jakąś tam urojoną nieśmiertelnością; nieszczęśliwe jest to skierowanie moich myśli w dzieciństwo.“ Takim był René, którego nuda wiecznie pożerała, jak sam wyznawał w *Natchez*, takim Słowacki. Ale on roił o sławie i nie był jak Chateaubriand obojętnym na jej powaby. Nie było w jego wyznawaniu nawet egzaltacji; spowiadał się z rzadką otwartością i szczerze. Ale często przesadza swe cierpienia, by się nimi cieszyć i tworzy poezye wszędzie, czego się tylko dotknie. A dowodem rosnącego w nim nieznacznie altruizmu i przemiany duchowej był *Lambro*... Począwszy od r. 1820 filhellenizm szerzył się w Europie a pieśni nowo greckie entuzjazmowały wprost Lamartine'a, Chateaubrianda, Quineta, Hugo, który w *Orientales* sławił dzielność powstańców i malował Grecyę krzycząco i konwencyonalnie. Cały repertuar nowych obrazów, iskrzący się w tej poezyi, miał zabłysnąć znów w poemacie Słowackiego, którego bohater znów wbrew prawdzie historycznej miał być jak jego poprzednicy tylko „obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań. Jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego podobne do życia wielu.“ Nie mamy powodu wątpić w prawdę zapewnienia poety, bo i bez przedmowy do poematu byliśmy tego pewni. Poeta żył ciągle życiem wewnętrznem, a jego wyobraźnia i uczuciowość promieniowały teraz świetniej niż kiedykolwiek. Dusza jego sceptyczna i zwątpiała wylała się cała w jego dziele, a koloryt nabrał natężenia i blasku niebywałego. Wszakże jak zaznaczył już Hoesick, przestudował wtedy romantyków francuskich, a szczególnie Hugo musiał go olśnić swą kolorystyką pełną jaskrawości i wirtuozyi. Nie powtarza się tedy i mając dar odnawiania swych barw i efektów, idzie za popędem swego wewnętrznego *ja*, stwarzając wizję artystyczną nieskończenie. Pesymizm odzywał się w nim jeszcze silnie i stanowił kierujący motyw natchnienia. Wstęp poematu był jednak jak widzieliśmy sądem na siebie, a miał siłę i poetyczność nastroju niepoślednią.

Egotyzm krańcowy nie dozwolił, by postać Lambra wypadła inaczej, jak w duchu psychologii twórcy; Lambro jest też z tej samej rodziny, ale z zadziwiającą odmianą. To człowiek wyższy od Żmii, bo mający jakiś cień miłości Grecyi, ale zbyt słaby, gorzki, ponury, by znosić ciężar obowiązków, jak Słowacki. Miłość dziecinna dla Śniadeckiej tętni tu żywo w rozmowie bohatera z Greczynką na cmentarzu, a mizantropia i niechęć nieco łagodniejsze niż dawniej:

O świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy  
 Dla tych, co płaczą, czy to krwią, czy łzami.  
 Chroń się ty świata — bo on nie był z nami  
 W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;  
*Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy*  
 I nie przebaczy tym, co toną w błędzie.

Wedle rozumowania poety, przemawiającego przez usta Lambra niesprawiedliwość panuje wszędzie, a odpowiedzią jak u de Vigny'ego w *Mont des Oliviers* może być tylko milczenie, zobojętnienie, pograżenie się w sobie samym. Ale pesymista może mieć też chwile litości dla cierpień drugich i dla tego Lambro jest mścicielem uciemnionych:

Wyście mnie wplekli w koło Ixyona,  
 Wyście się po mnie wiele spodziewali:  
 Lecz miałem skute cierpieniem ramiona.  
 I wiecznie w tłumie zanurzony fali,  
 Nie mogłem czoła wznieść nad tłumem...

Rzecz zadziwiająca, jak poeta w przeciwstawieniu do de Vigny'ego, pesymisty jak on, był nieustannie pomysłowym i obfitym w rozwijaniu jednego i tego samego typu, to jest siebie. Nic go nie wstrzymuje, wykonanie zadziwia łatwością, nie widać nigdzie wysiłku, pracy, potracania o przeszkody. Obrazy i myśli spieszą się jedne za drugimi: on ich nie szuka, lecz znajduje. Są miejsca nieco mniej poprawne, ciemne, poplątane, ale czasem dziwna delikatność, szlachetność, wielkość stylu. Słowacki otwierać się lubi cały, bez rezerwy i nie lubi dyskrecyi de Vigny'go. Nie zamyka swych wzruszeń w sobie i wyrzuca z siebie, co jest w nim mętne-go, bolesnego, szarpiącego serce i nerwy. Zapewne wtedy uspakaja się i cieszy się, że w jego poezyach poznaje go ona — Śniadecka. Spodziewam się — pisał do matki 9 grudnia 1832 r., — że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z mojami uczuciami; myślę tylko nad tem, że trudno go będzie przesłać.“ Nigdy dotąd, z wyjątkiem *Araba*, poeta nie odkrył swej duszy żartej pesymizmem, nie tylko nabytym, ale i wrodzonym. To też pesymizmu tego nie ugasi ani walka za Grecyę, ani opilstwo w duszy Lambra; dla niego, jak dla poety, wszystko jest okazją do cierpień, a w około wszystko jest głuchem i obojętnem, jak w znanym już poemacie de Vigny'ego. Wylewy liryczne Lambra, to krzyk samego poety, równie przenikający i buntowniczy, jak dawniej, i w równie, a może w piękniejszych wierszach, niż tam.

Czuć tu jego głos, dech jego istoty dręczącej nudą i cierpieniem. Wobec tych zgrzytów narzekania Gustawa wydadzą się sielanką i gdy de Vigny radzi stoicyzm i wytrwanie, gdyż

Gémir, pleurer, prier, est également lâche !  
Fais énergiquement ta longue et lourde tâche,  
Dans la voie où le sort a voulu t'appeler,  
Puis après, comme moi, souffre et meurs sans parler,

bohater Słowackiego kończy wallenrodcznie opilstwem. Że prototypem Lambra był René, może prawdopodobniej niż Manfred wskazywany przez Tretiaka—nie ma wątpliwości.

Obaj są zapaleni, niespokojni, wyniośli, szukają wielkiej sprawy, by jej służyć, a gdy znajdują, wpadają w rozczarowanie na myśl o marności i próżności wszystkiego, cierpią na przeczulenie uczuciowe i nie czują, że na świecie są rzeczy dobre obok złych, nie tracą pewnego czaru artystycznego, ale duszę mają pełną przesytu i nudy nieuleczalnej. Jeżeli jednak Lambro był nieuleczalnym, był nim Słowacki.

Mimo wrodzonego pesymizmu, podsycanego lekturą, jak sędzę, de Vigny'ego i jemu podobnych, budził się w nim człowiek inny niedość silny i poczyniła przemiana dostrzegalna już od wyjazdu z Warszawy. Czuł, że koło niego we Francji górują idee polityczne i społeczne w poezji romantycznej, że ogół emigracyjny patrzy na niego zainteresowany wydanymi pierwszymi tomami poezyj, i szukał formuły swej ewolucji. Dzięki temu ogólnemu nastrojowi, nie zmieniając się na pozór, był już innym człowiekiem. Wszakże był to czas, gdy Lamennais, zwany dzieckiem burzy, i również, jak nasz poeta romantyk, wychowany duchowo przez Rousseau i Chateaubrianda, zachował swą wiarę wśród ogólnego sceptycyzmu pozostałego po wieku ośmiastym i zwalczał w swym *Essai sur l'indifférence en matière de religion* wymownie, logicznie i z polotem deizm wolteryński i obojętność religijną. Uderzając na indywidualizm szukał prawdy w tak zwanej zgodzie ogólnej, w Kościele i papieżu i od r. 1830 wydawał z Montalembertem i Lacordaire'm *Avenir*, by podkopać materializm ówczesny. Słowacki nie mógł nie być wzruszony proroczym tonem uczuciowym, patetycznym i symbolicznym stylem publicysty i choć pisząc wnet swą przedmowę do trzeciego tomu poezyj wątpił, by „szkoła De la-Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku,“ stał w sprzeczności z sunieniem mówiącem mu, że nie tylko Byron może być obrazem wieku. Współczucie dla cierpień ogółu, którego Lamennais, a za

nim inni domagali się w poezyi, budziło się w nim, ale bez podniety dość silnej chwiało się i nie miało punktu oparcia. Były już w nim dążenia nieokreślone, ale brakło im spoistości, był poryw, ale brakło mu siły, był instykt, ale brakło mu przykładu. Lepsze jednak skłonności budziły się w nim, o czem świadczy choćby wiersz do *Michała Rola Skibickiego* dość harmonijny i potępiający zbytnie ironizowanie:

Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem  
Gorzko — mszczę się — skonam i nie powiem: żyłem.

Bo też był on jak prawdziwy romantyk pesymista nie z rozumowania filozoficznego; jego pesymizm nie był systemem, ale objawem jego uczuciowości często indywidualnym i jako taki musi być ze stanowiska psychologicznego podciągnięty pod nazwę moralnej skłonności osobistej, bliskiej niekiedy zboczeniu w kierunku antyspołecznym, jak w *Arabie*. Ale że skłonności społeczne, przeciwne osobistym, rozchodzą się od człowieka do człowieka, przeto wzbieranie ich w społeczeństwie francuskim i polskim, a zwłaszcza w poezyi polskiej, której najwyższą formę piękna przedstawiał Mickiewicz, nie mogło choćby przez instykt naśladowczy, wrodzony każdemu, nie oddziaływać na poetę. Tak wyłómaczyły tę poczynającą się w nim przemianę Ribot: tak wyobrażam sobie ją na podstawie współczesnego rozwoju idei i uczuć nad Sekwaną.

Ten zwrot, jak słusznie zaznaczył Brunetiére w swej charakterystyce talentu de Vigny'ego, uwolnił Słowackiego od wyłącznego i ciasnego analizowania siebie samego; maniera byrońska kończyła się i opiewanie samego siebie, uczuciowość poety obejmowała szersze koła i nie wpadając w rutynę wpuszczała do mrocznych głębin własnego *ja* nieco światła może bladego i błękitnego, jakie ma panować w otchłaniach morskich wedle niektórych hipotez, ale światła konieczne, światła, w którym musiała się roztopić wszelka retoryka grożąca już tej poezyi. Teraz dopiero rozpoznajemy w niej kontury nam nie znane dawniej, swojskie, bliskie i działające na naszą wrażliwość narodową, gdyż dotąd była ona rozczynek byronizmu, zindywidualizowanym i subtelnym, ale nie polskim, naszym, odświeżającym po szarej prozie życia. A praca nad francuskim dramatem *Beatrice Cenci*, na krótko przed wyjazdem z Paryża, dowodzi, że psychologiczna ewolucya poety postępowała jeszcze słabo i że idąc za gorączkową twórczością romantyków, jak Hugo, fantazyował na temat ponurej tragedyi rodzinnej włoskiej i mając genialny temperament dramatyczny, chciał laurów Dumasa i oklasków choćby francuskiego tłumu. Ale on, jak Dumas, miał nie tylko zmysł sceniczny, umiał olśnić kolorytem lokal-

nym; miał to, czego nie miał Hugo i Dumas, tworzący konwencyonalnie charaktery, dar wniknięcia w duszę. Jego dramaty nie ratował jedynie liryzm stylu albo wizjonerstwo archeologiczne, bo o to ostatnie nie dbał, jak Musset, dostrajając czas i miejsce niejako do swej fantazyi i akcyę do swego nastroju zmiennego, jak niebo polskie; ratował je on sam, wcielony w swe dramaty, jak Musset, widzialny tam w różnych chwilach i momentach psychicznych, często przebiegający się najrozmaiciej, zawsze nowy a stale znudzony, rozczarowany, zmęczony, namiętny i poetyczny, jak mussetowski Fortunio, Valentin, Perdican, Fantasio, Lorenzaccio. A kiedy miłość, ów wieczny temat poezyi, przynajmniej od czasów melików greckich, ma objąć swą rolę w dramacie, liryzm poety prześciga wszystko, co jest w poezyi polskiej subtelnem notowaniem stanów, rozkosznem fantazyowaniem erotycznym, dyalogiem pełnym finezyi, o wdzięku nie do naśladowania i jedynym u nas. Takimi były może też nieznanne dotąd fragmenty francuskiego dramatu. Usposobienie poety musiało być podobnem do tego, które towarzyszyło de Vigny'emu, piszącemu *Eloa*, a jego wnętrze duchowe roiło się pewnie od kolorystycznych fantasmagoryj w duchu sztuki dotąd wyznawanej, gdy padł na niego grom w postaci — trzeciej części *Dziadów*.

Poecie, który snuł podobno wtedy prócz dramatu jakieś historyzoficzne fantazyje, może pod wpływem suggestywnej lektury, poczynającego być już głośnym Micheleta, wypadek ów rozerwał brutalnie tkanę rojeń samotnych, a jego wrażliwość była poniekąd źródłem jego natchnień. Gorycz wezbrana niespodzianie wyłała się, jak myślę, w kończonym właśnie *Lambro*. Rzecz dziwna, że nie ma jej w korespondencyi, ale trawiła się ona w sobie pamięcią o doznanej krzywdzie, pierwszej w życiu prawdziwej, a przynajmniej znacznie przykrzejszej, niż mało znana broszura Lelewela, mająca wedle Małeckiego być powodem wyjazdu z kraju:

Paziu! daj mi czarę!

Za mało trucizn rozpalonych piłem,  
 Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...  
 Że nie zginąłem, życie mam za karę;  
 A to piekielna kara niebios — życie...  
 Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,  
 Co razi serca tonące w zachwycie!  
 Być jako wieko przysypanej trumny,  
 Co zrazu każdej garści zaponnienia  
 Posępnym, głuchym jękiem odpowiada:  
 A potem mileczy...

Rozpaczliwy nastrój zakończenia *Lambra*, tu ma pewnie swój powód. Pesymizm, łagodniejący zwolna, rozgorzał teraz na chwilę strasznie ponuro i zionął dymem zabójczym w splełanych wynurzeniach pijanego korsarza greckiego. Pogarda tłumu, gorycz dotkliwa, żądza samotności, wściekły żar nienawiści przeciwnika, wzbiły się, jak kurzawa, zakrywająca słońce i rzuciły cień posepny na cały poemat. A poeta spełnił teraz jedno ze swych życzeń. W końcu grudnia 1832 r. znalazł się sam ze sobą, jak Lambro ze śmiercią -- w Genewie.

## VI.

## Samotność genewska. Uspokajanie się wewnętrzne.

„Donoszę Ci, kochana Matko — pisał 6 czerwca 1833 r. — że od dni 20 wyszedł na świat tom III-ci moich poezyj... Przemowa krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo, ale nie wiem, jak o nim u nas sądzić będą ludzie; o ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze.“ Pięć miesięcy upłynionych od fatalnego wyjazdu z Paryża, nie przeszły więc bezczynnie. W ustronnem zaciszu genewskiego przedmieścia, na tle najczudniejszej przyrody, otoczony czułą opieką pań Patteg, był smutny i nie czuł się swojsko, ale gryząca go gorycz złagodniała i żył wedle własnego wyznania „dosyć przyjemnie i spokojnie.“ Po wielkiem wstrząśnieniu szła reakcja, znużenie, chęć odpoczynku i życie z dnia na dzień, płytkie pozornie, ale w głębi kryjące rój pomysłów. Wyraziły się one na razie w *Godzinie myśli* świadczącej, jak trafnie zauważył Hoesick, że poeta przebywał w tym czasie więcej w przeszłości, a nadto, że paryski epizod z Korą Pinard i nowa znajomość z Eglantyną nie mają właściwie znaczenia, w dziejach jego serca, w którym panowała niepodzielnie, jako mara wyobraźni raczej niż rzeczywistość — Śniadecka. List od niej „długi, ogromny“ jest dla niego teraz jeszcze wypadkiem „w nudnem, choć spokojnem życiu, a co więcej, że znajdował w nim wiele czucia i wiele pokarmu“ dla swej dumy. Wiemy, że smutek stanowił u niego tło stałe charakteru; dowodziły go dzieła i o szczerości tego smutku, jak u Chateaubrianda, wątpić trudno. Ale rozbierając istotę tej duszy, widzieliśmy, że duma stanowi też jej ważną

cechę i znów analogia z Chateaubriandem występowała wyraziście. Zajęcia literackie każą mu zapominać o tym smutku i dumie, które wyradzają gorycz, niechęć do świata, żądę odosobnienia. Jego pojęcia i sposób myślenia w Wilnie i Warszawie odpowiadały wyobrażeniom pokolenia, które odziedziczyło po poprzednim sceptycyzm wieku ośmnastego, rozpłomieniony lekturą Byrona bardziej jeszcze wpływowego niż Chateaubriand, choćby ze względu na swą formę poetycką; wchłonawszy te idee na wstępie swego życia umysłowego, zmieniał je i przerabiał stosownie do swego temperamentu i wpływów zewnętrznych. W Paryżu, jak myślę, rozpoczął się proces przetwarzania Słowackiego sceptyka, w Słowackiego wierzącego nie w dogmat jeszcze, ale pociągniętego ku chrześcijaństwu i metafizyce pod działaniem Lamennais'go, szukającego nowej formy piękna, w której pesymizm nie miałby już miejsca. Wszakże i w chrześcijaństwie tkwiła doza sceptycyzmu w odniesieniu do spraw świata: polot wyobraźni, potężniejszy w poecie, podobał sobie w tajemnicach religijnych, przesyt zwątpienia raził uczuciowość, tradycje dzieciństwa odzywały się i ten temperament burzliwy i ruchliwy dążył ku nowej drodze. Już w Warszawie przeklinał niedowiarstwo a teraz, choć chwalił jeszcze dawnych mistrzów i wręcz wypierał się katolicyzmu i naśladowców Lamennais'go, przecież dążąc do narodowej poezji, która jego dotąd nie była, protestuje przeciw żądaniu narodowego wątku w poezji, bo chyba ten wątek, te „wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata.“

A jednak czuł, że jego egzotyzm poetycki nie jest na miejscu, że wygląda nieco chudo w obec swojskości i narodowego charakteru poezji mickiewiczowskiej, że nawet owe mgławice, owi satelici, kołujący koło wielkich gwiazd poezji, są więcej narodowi niż on, rywal litewskiego wieszczą, Słowacki. Jego *Lambro* był aktualnym jak *Orientales*, ale nie łączył się tak ze stanem narodu, nie był tragedją duszy współczesnej, wyrazem pokolenia emigracyjnego. Myśl poety marzyła o tym wyrazie, a właśnie wulkan wypadków narodowych wyrzucił tyle wrzącej lawy, że materiał był gotowy i samotnik genewski żył jakby w hallucynacji, rojąc o dziele w duchu swych pojęć dalekich już od bezwzględnego pesymizmu, ale równie odległych od mickiewiczowskiego dogmatyzmu. „Wiesz Matko — pisał 15 lipca 1833 r. — że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa, że przyjdzie na mnie nędza, że mnie duma moja zabije, to prawdziwie, że mnie okropność takiego losu przera-



za.“ A więc potępiał swe dawne życie, zwątpienia i obojętności, mizantropie i nienawiści, modlił się i wstydział się dumy, będącej początkiem wszystkiego, co w życiu jego razić mogło natury prawe i szlachetne. A nie tylko w życiu, ale i w poezji egotycznej do nadmiaru, egzotycznej zbyt, pesymistycznej i ziejącej goryczą nieskończoną. Wiara ogółu, to wedle Lamennais'go siła, która gwarantuje indywidualnemu rozumowi zasady, na których się wspiera; nad rozumem indywidualnym jest powszechny, a on stwierdza istnienie Boga. Wszystko to wypowiedziane z niezwykłym polotem uczuciowo, a złączone z politycznym liberalizmem odsunęło Lamennais'go od ówczesnego ustroju i postawiło go w sprzeczności z polityką niedość rozważną Rzymu, z rządem sprzymierzonym z Rzymem i bojącym się ideału demokracji teokratycznej. Wszelcy mistycy, utopiści, republikanie szli pod chorągiew nowego apostoła wrogiego sceptycyzmowi i obojętności religijnej, a *Paroles d'un croyant* miały wnet wzburzyć do reszty zaniepokojoną opinię. Romantyzm egotyczny, nie uznający nic nad siebie, był zachwiany: zamiast syntezy dawał analizę, zamiast życia rozkład widoczny w *Lambro*. Świat zewnętrzny poczynął interesować więcej, sztuka zwana *juste milieu* zdobywała sobie zwolenników, oryentalizm blakł i wydawszy mnóstwo fałszywych klejnotów, nie bez blasku zewnętrznego jednak, wymagał odmiany palety. Zgoda malarstwa z literaturą była widoczna... Słowacki zajmuje się filozofią niemiecką, która tyle wpłynęła na ewolucje romantyzmu niemieckiego w kierunku spirytualistycznym; wspomina o tem wprawdzie zbyt lakonicznie, ale sama wzmianka pozwala przypuszczać, że idealizm Kanta, Fichtego, Schellinga i innych badaczy, otwarty sprzymierzeniec mistyków w rodzaju Wrońskiego zaczynał się podobać jego wyobraźni. Wszakże kantowska doktryna przeciwna sceptycyzmowi wieku ośmnastego otwierała wolne pole spekulacji mimo „czczych marzeń idealizmu,“ jak wyrażał się nasz sceptyk współcześnie, entuzjazmowała już Schillera, Jacobiego i innych, zwróciła Fichtego do filozofii bardziej religijnej, a romantyków Schlegla i Nowalisa do postawienia, zamiast czystej jaźni, genialnego indywidualium, do kultu genialności. W sztuce widział Fryderyk Schlegel wzniesienie nad pospolitość, szukał zadowolenia w katolicyzmie, a pokrewny im duchem Schelling przejął się już ideami platońskimi i mistyków dawniejszych i nowszych. A był to właśnie czas rozgłosu Schellinga, teozofa objawiającego prawdy raczej niż filozofa, którego *System des transscendentalen Idealismus*, ogłoszony jeszcze w r. 1800, poeta czyta teraz pewnie z zajęciem, skoro mówi o duszy świata

mającej odbijać się w jego dziele. Schelling właśnie odróżniając podmiotowy idealizm od realizmu przedmiotowego chciał zgody obu kierunków dotąd nieistniejącej w poezji Słowackiego. Jego filozofia transcendentálna uważała w naturze jedność zupełną; dostrzegała w niej jedynie stopniowanie, którego przyczyną jest dusza świata, organizujący pierwiastek i zapożyczony od Platona. Materya jest wygasłym duchem, każda jednostka, to część Boga czyli duszy świata. Nieskończoność wyobrażona skończenie, to sztuka, którą tworzą geniusze; łączy ona doskonale realizm z idealizmem i jest najbliższą filozofii.

Schelling, jak ogół idealistów w filozofii zwracał się jednak coraz wyraźniej do mistycyzmu Böhmego i Saint-Martina. Wedle niego człowiek tylko w Bogu zdolny jest do wolności, a człowiek jest centralną istotą świata. Słowacki mógł zaznajomić się z jego zmienionymi poglądami, choćby z *Fragments philosophiques* Cousina ogłoszonymi właśnie w r. 1832, gdzie głośny francuski idealista zaznajamiał ogół swego narodu z niemieckimi ideami; Schelling zwalczał wtedy hegelianizm, a poglądy jego podzielali głębocy myśliciele nietylko w Niemczech, jak mistyk Schubert, estetyk Solger, teozof Baader, teolog Schleiermacher, ale wielu interesujących się filozofią we Francyi. W tym kierunku szła cała filozofia francuska, a więc mistyk Ballanche, symbolizujący z zapamiętaniem eklektyk Cousin, Quinet, historyk Michelet uwielbiający otwarcie *chère Allemagne*, poeci jak Hugo i inni. Słowacki myśli też o czytaniu Kochanowskiego, tyle sprzecznego z jego nastrojem, bo czuje potrzebę lektury orzeźwiającej swym spokojem i prostotą. Sledzi ruch literacki w dziennikach i pisząc *Kordyana* zwierza się, że jeżeli „sława łechce trochę moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie lecz dla mojej kuzynki biednej pragnę.“ Tą kuzynką, to sprawa ogólna. Słowacki osądził już siebie, jest innym człowiekiem; współczucie szczere a żywe dla sprawy przybrało u niego odcień religijny, przekonania, idei głównej. Nie filozofuje nad tem, nie analizuje tej przemiany, nie szuka powodów tajnych ewolucyj: siebie i sztukę pojmuje inaczej od czasu przybycia do Paryża, odczytania trzeciej części *Dziadów*, lektury pism Lamennais'go i Schellinga. Znalazł cel i kroczył do niego z determinacją dawniej nieznaną, a o której rolę bohater tworzonej teraz tragedyi:

Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,  
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiedlych liści;  
Heleć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.  
Celem uczuć zwiędnięcie; głosem uczuć szumy

Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!  
 Niech w tłumie myśl jaka myśl wielką zapali...  
 Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,  
 Daj życiu duszę... i cel duszy wyprorokuj...  
 Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,  
 A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem.  
 Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,  
 Rozdzwonię wyrazami, i dokończę życiem.

Pesymista zamierał w Słowackim i z dna rozpaczy wlatywał w bezkresy entuzjazmu i miłości niby de Vigny w *Eloa*. Wskazuje to na rozległość i ruchliwość jego temperamentu a choć nigdy nie brak mu smutku poetycznego niezmiernie, jego psychologia rozszerzy się niejako i zyska na wielostronności, wola stężeje i wzrośnie, uczuciowość rozwinie się i zróżniczkuje, inteligencya wzmocniona studjami filozoficznymi i literackimi ogarnie horyzonty szersze niż dotąd. Życie wśród natury, oderwanie od gorączkowego środowiska paryskiego, dadzą pewien spokój poezyi, uwydatnią kontury, odmienią jej koloryt i przekształcą treść. Dawniejsze tragedye, pisane w Warszawie, zbliżały się swą techniką do tragedyi schillerowskiej; teraz wzorem jest pewnie teatr romantyczny francuski, poznany w Paryżu, teatr romantyczny *par excellence* i wprowadzający świat nadnaturalny i naturalny, jak u Szekspira, nieregularny w kompozycyi, mieszający lirykę do dramatu, wyobrażnię i uczucia twórcy do psychologii bohatera. Trzeba wstrząsać nerwami, więc na scenę wyprowadza się podziemia, dom obłąkanych, egzekucyę skazańca i w ogóle jak w dramacie takiego Hugo ducha rewolucyjnego, nastrój aktualny, efektu zmysłowe.

Zdarzało się to w melodramacie dotąd; wyróżni tragedye Słowackiego od poprzednich zbliżonych więcej do pseudoklasycznych swą względną przynajmniej przedmiotowością, a także teatru szekspirowskiego i schillerowskiego. Ale, pomijając kompozycyę wskazującą na zależność też od *Dziadów* drezdeńskich, rozbiór charakteru bohatera wykazał już dawno pokrewieństwo z duszą poety. To tylko fragmenty jego autobiografii, jak u Mickiewicza nie tylko w Dreźnie, ale i Kownie; samotnik genewski patrzy jeszcze w siebie i mało ma zrazu związku z światem zewnętrznym. Wszystko, co przeżył z Śniadecką, w Londynie, podczas i po powstaniu jako egotysta i Polak, jest materyałem, który przyjmuje tu kształty poetyczne. A ponieważ w jego duszy ferment trwa, więc i forma odpowiada treści. Widać to po budowie dzieła umyślnie nieregularnej i nastroju usiłującym wzbić się z dna zwąta-

pienia w wyżyny ideału; mistyk czytający Schellinga budzi się w nim znów choć na chwilę:

. . . ale jest świat drugi!  
 Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,  
 Mniejszy może niż człowiek, atom, środek kola  
 Rozprysniętych promieni; ale jasny cały,  
 I plam ludzkich nie będzie na sercu aniola.  
 Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,  
 Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,  
 Aż przestanie zaglądać w *ciemną wspomnień trumnę*...

Może to przecucie Anhelego? Słowacki, jako prawdziwy artysta, nie może się pogрузić w absolutnym pesymizmie, mającym główne swe źródło w pismach sceptyka Voltaire'a i Byrona. Metafizyka pociąga go, a mistycyzm, to tylko forma metafizyki, najpoetyczniejsza może. Ulegali mu realisci nawet, jak Balzac; więc i Słowacki, jak on i romantycy francuscy i niemieccy, skłania się niekiedy do doktryny, wedle której świat widzialny jest tylko transpozycją mistyczną, zaludnioną rojem duchów różnych stopni i kategorii. Z pod pesymisty wyłania się mistyk z pobudek nie tylko uczuciowych, ale i artystycznych. On wie, że sceptycyzm materialistyczny był złą podstawą sztuki, ograniczał poetę do obserwacji zjawisk zmysłowych i po pochyłości reakcyi w kierunku przeciwnym od zaprzeczenia nadzmysłowości zsuwał się jak dziś Huysmans i symbolisci w zawrotne głębie znanego poglądu. Artysta w każdym atomie swej jaźni, potrzebował poeta tego żywiołu; był mistycyzm dla niego jakby mgłą, bezdenią, nieokreślonością jego poezyi delikatnej i działającej na dusze wrażliwe. Odczuwał sam te aspiracje i żył w nich czasem, jak Balzac, w rodzaju *milieu moral*, eterycznem, wytwornem, zmiennem. Był wszakże, jak de Vigny, wyobraźnią samotną, a pomysłowość rozsądzała w nim formy konwencyonalne, wystarczające dotąd. Jednakże pesymista tak świeżej daty nie potrafił się zdobyć na czyn, gdyż gardził nim dotąd i analizował siebie wiecznie i bez przerwy; uczynił wysiłek, by go wykonać, ale byłby nie tylko sprzeczny z historią, lecz i z psychologią.

Uczuciowość delikatna i wyrafinowana towarzyszyła mu stale; gdy domieszał do niej nieco goryczy i zwątpienia, był jedynym w swoim rodzaju u nas, jak Musset we Francyi. On jest teraz szerszy niż dawniej i dlatego działa na nasze dusze, zgorzkniały i rozboleły, i dlatego bliski nam i drogi, rozstrojony i wątpiący, i dlatego potrzebny w pewnych stanach, odpowiadających jego

stanowi. Coraz mniej w nim retoryki byronicznej i dlatego *Kordyan* niekiedy porywa swą treścią, gdyż słyszymy w nim te same krzyki bólu, czujemy tę samą skrzydlatość marzeń, widzimy te same ikarowe wzloty, które cechują życie każdego z nas i które, by zrozumieć, trzeba zajrzeć w siebie i mieć duszę jak poeta i nie stosować siebie i twórczości do z góry przyjętej konwencji i szablonu moralnego czy poetyckiego. „Mamo! to dziwnie — pisał 27 października 1833 r. — że *imaginacja moja jest jedynem źródłem wszystkich moich nieszczęść* i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach ogrodowej alei.“ Z uczuciowością najsubtelniejszą z naszych poetów łączył wyobraźnię wybujałą do miary nieznaną, ogarniającą nieskończone widnokreśli, twórczą niesłychanie, jak u geniuszów. W kraj wyobraźni wchodził teraz w swych kreacjach dramatycznych, które pochłaniały wszystkich romantyków i skarżył się ujmująco, że w jego uczuciach „nie ma wielkiego.“ To smutne wyznanie było powodem próżni w sercu, podobnej do mussetowskiej; pesymista nie ugiął się jeszcze przed entuzjastą i rewolucjonistą i gdy tylko pierwszy otarł się o brutalną rzeczywistość, wnet zniknął drugi i wybuchał rozgłośnie pierwszy. Ledwo skończył jedną tragedję, zaczynał drugą o *Wallasie* z dziejów szkockich, równie smutną, jak poprzednia i wedle słów poety, „przynajmniej niepospolitą,“ a dla nas zaginioną może na zawsze. Rzecz szczególna, że on widział sam siebie doskonale, jak Musset; rozumiał i analizował przenikliwie a z wprawą. „Otóż widzisz, Mamo — pisał 24 marca 1834 r. — że ja zawsze taki sam. Ciągłe układam kamiki na własny grobowiec, a życie puszczam mimo siebie.“ Rana serca, odniesiona w chłopięctwie, broczyła jeszcze chyba, a wspomnienie Śniadeckiej i czasów wileńskich, oblegały go, jak rój mar drogich, i odsuwały od otoczenia. Groziła recydywa, powrót do dawnego zwątpienia; czas robił jednak swoje i marzenie napępniało pustkę. Więc tworzy gorączkowo i wkłada, jak Chateaubriand, swą duszę w bohaterów, a ciągle roznaicie. Już postać Kordyana, w którym ukazał nam jej dno, w sposób znacznie głębszy niż dawniej, zwiastowała spotęgowanie talentu; dążenie do wielkości było już, i poeta szukał bohatera odpowiedniego swemu nastrojowi. A poznana właśnie Wodzińska nastrajała go na ton miękki, daleki od zwątpień i nudy, rozwiniętych lekturą pesymistów. Ten ton podtrzymywały w nim też powieści pani Sand, zachwalane przed matką i stawiane nad temi, które wykarmiły jego lata wileńskie.

Od lat kilku już powtarzano nazwisko pisarki, będącej jak całe pokolenie romantyczne, naśladowczynią Rousseau i indywidualistką, jak Słowacki. Bujna wyobraźnia, namiętność uczucia, znajomość siebie samej, nie mogły nie zachwycić poety, który szczególnie jeden jej romans uważał za „dziwny i bardziej do poematu niż do romansu podobny.“

Tym romansem była *Lelia*, pokrewna pomysłem Chateaubrianda a także Lamartine'a, de Vigny'ego, Byrona. Krajobrazy szczególnie celowały i były istnym kultem przyrody. Kobiety tu były w ogóle energiczne a mężczyźni słabsi, a mimo to kochani do zapamiętania, a już najcudowniej wypadały figury młodych dziewcząt, pojęte mistrzowsko i z prawdziwym zrozumieniem kobiecej istoty. A poeta miał właśnie blisko siebie taki skarb i wyobraźnia jego roiła o szczęściu z taką a nie inną; uśmiechały mu się lipa czarnoleska, żona i dzieci, atmosiera błęgiego spokoju, tyle wielbionego w pieśniach starego poety. „Ja teraz zmierzam do spokojności—pisał 27 kwietnia 1834 r.—i wszystkie moje nauki i książki, zmierzają do tego, bym sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka.“ Czy nie byłby to nowy ślad studyów filozoficznych poety? Poeta, sceptyczny dawniej w rzeczach wiary, podoba sobie w metafizyce, bronionej przez Cousina argumentami Kanta; zwracały go do niej nie tylko tradycje dzieciństwa, może rady matki, wpływ Lamennais'go, rozumującego jak Schelling o jedności świata i twierdzącego, że celem filozofii nie jest dowieść, ale poznać Boga. Człowiek jest wolny wedle metafizyki niemieckiej, ale dwie rzeczy winny go przejmować podziwem i strachem: gwiaździste niebo i moralny obowiązek. Postulat nieśmiertelności płynie z praktycznej konieczności warunku zastosowania trwania w celu pełnego wykonania moralnego obowiązku; moralne prawo wymaga świętości, to jest pełnego dostosowania woli do moralnego prawa. Tak uczył Kant, znany poecie może za pośrednictwem wykładu Cousina, dla Fichtego był już świat uzmysłowionym materiałem obowiązku, Schelling, czerpiący swe zasady z Platona i mistyków w rodzaju Boehmego, Swedenborga, Saint-Martina i widzący w człowieku istotę wolną w Bogu, podsycił w nim skłonność do mistycyzmu i odwracał od popadnięcia w negację. A życie też płynęło mu mniej samotnie niż dotąd. Gdy przyszło lato, zebrało się gronko, w którym, żył pewnego ranka na brzegu lazurowych wód Lemanu i powędrowało statkiem przez jezioro w głąb gór, które wysławiali już Rousseau, Byron, pani Sand a teraz miał

zakląć w pieśń niesłychanej piękności ich duchowy brat, Słowacki, Jego byt układał się na chwilę w słoneczną sielankę; on sam był w niej z Wodzińską, niby postacią wyjątkową, romansową i wyrażającą wszystkie szaty i uniesienia duszy romantycznej. Jak Rousseau, którego pamięć towarzyszyła mu w Genewie wszędzie, tęsknił do cichej idylli wiejskiej, tyle sławionej w *Nouvelle Heloise* a teraz miał już i romans, jak Saint-Preux, i wielką naturę, w obec której i z której ta najdelikatniejsza u nas uczuciowość poetycka wydobyla najżywsze klejnoty poezyi. Rousseau odkrył Szwajcaryę, ale jako, dusza czuła i łagodna, nie powędrował zbyt daleko, w krainę lodowców i śniegów; uczynił to za Byronem Słowacki zrobiwszy z tej chwili życia, jak Rousseau romans, wizję jedną z najcudniejszych w poezyi świata, liryczną w pojęciu i wykonaniu, pełną wzruszeń raczej niż analiz, melancholiczną i pełną przeświadczenia o znikomości wszystkiego, traktowaną już w takim *Lac Lemartine'a*, ale nigdy tak subtelnie i z takim idealizowaniem uczucia. Rzeczywistość znikła w tej wielkiej elegii, jak mgła i wystąpiło tylko to co szlachetne, piękne, malownicze; miłość opromieniona została aureolą dziwnego blasku, postawiona nad konwenansami, określona, jako najwyższy wyraz idealizmu.

Miłość ta gwałtowna, trawiąca, wielbiona przez panią Sand, jako *droit de passion*, zesłała z góry z przeznaczenia niebios, nie rozumującą i będącą rodzajem religii:

Że z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;       :  
Tak jasna była od promieni słońca!

Żądza kochania wzbierająca w poecie była tem silniejszą, że poemat odtwarzający wycieczkę z Wodzińską miał powstać dopiero później, a teraz była rzeczywistość. Nuda i zniechęcenie opuściły poetę tak dalece, że jak sam mówił, uskarżanie się na los „byłoby ciężkiem bluźnierstwem,“ a poezya Kochanowskiego stała się „niewyczerpanem źródłem pociechy“ dla liryka, którego

Wszystkie uczucia gwałtownemi loty,  
Na serce spadły, jak gołębi chmura,  
Pięć lzy i białe w nim obmywać pióra,  
Aby się czyste rozlecieć po niebie...

Malczewski, Zaleski, Mickiewicz przed nim odczuwali przyrodę; ale on jako romantyk w duchu szkoły francuskiej pojmuje ją inaczej. Jego krajobrazy, które malował dawniej i widzi teraz,

by je odtworzyć później jak Chateaubriand, są bardziej uczuciowe, indywidualne, symboliczne. Oczyma i sercem, jak pani Sand, je pojmuje, wchłania i przerabia na wzruszenia duszy. Mają one coś nieokreślonego, jak u tej ostatniej, lśnią kolorami i śpiewają jakby dusza poety, są liryczne tak, jak nigdy dotąd i pogodne też, jak nigdy, mimo melancholii:

A jeśli z takiej nie wrócimy góry,  
Ludzie pomysłą, że nas wzięły duchy,  
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.

A gdy wrócił do Genewy, cieszył się z swych wrażeń, które stanowiły gotowy materiał do snucia poetyckiej przędzy. „Obrazy gór i lasów—pisał 28 września 1834 r.—zostały w mojej pamięci; imaginacja moja, jak salon pałacowy, ustrojona jest nowemi malowidłami... Staraj się Mamo dostać *Indianę* i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie.“ Nikogo z romantyków francuskich nie wielbił tak poeta, a psychologicznie tłumaczy się to rozbudzoną w nim skłonnością do harmonii, dobra, idealizmu, podniesienia ducha, piękna nieskończonego i boskiego, w myśl dążeń idealistycznych filozofii niemieckiej, a idealistką była też pani Sand. Potrzebował tylko pobudki, by stworzyć poemat elegijny, czuły, pieszczący zmysły, młodzieńczy w całej pełni, przepojony smutkiem, niepodobnym do dawnego i rezygnacyjnym. I tu nie brakło poczucia niezniernego odosobnienia, które towarzyszyło uczniowi Chateaubrianda wszędzie i wtedy, gdy po dniach sielanki wrócił do samotni genewskiej:

Gdzie tylko poszę przed sobą myśl biedną,  
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;  
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie!

To samo uczucie, choć bardziej monotonne, odzywa się w lamartinowskich *Isolement* i *Golfe de Baïa*, czytanych niedługo w Jaszunach z Śniadecką.

„Zmiłuj się, Mamo — pisał znów 7 listopada 1834 r. — staraj się czytać romans *Indiana* i drugi *Valentine*, a zobaczysz, co to za śliczne romanse. Zresztą mało teraz nowego w literaturze tu-tejszej, prawie cała literatura krwawa i mienaturalna.“ A przecież niejednokrotnie, prócz pani Sand, której wpływ był nieobliczalny, właśnie ona była dla niego wzorem. Zwłaszcza w powieści ekscentryczność świeciła wiek bohaterski; nawet Balzac nie był wtedy innym i dopiero nie dawno począł się wyzwaląć z pod wyłączne-



go panowania fantastyczności czczej, i bez głębi. I dramat szedł drogą podobną, choć imponował scenicznością, a zarazem efektami melodramatycznymi, jak trumny w *Lucrece Borgia*, drzwi tajemne, trucizny, by nie zapomnieć wreszcie o cudnym dyalogu miłosnym niby fragmentach własnej uczuciowości poety. Słowacki zna te wady i zalety i stosuje je, a jego wyobraźnia ma tam swój pokarm wyborny i żyje nim, gdyż dla niego „trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata, trzeba koniecznie włożyć na nos inne okulary niż te naszych oczu soczewki.“ Byron podobał sobie w awanturycznej postaci Mazepy; więc i poeta pisze o nim tragedję i to w stylu romantycznym francuskim. W duchu tego dramatu leżały kontrasty i oto całą brzydotę i degradacyę istoty ludzkiej streścił poeta w Wojewodzie, jak Hugo w Triboulecie; całą piękność cnoty i niepokalaność w Amelii. Hoesick widzi w niej reminiscencyę schillerowską, ale w istocie George Sand więcej tu dokonała, niż Schiller. Jak u powieściopisarki francuskiej, Amelia jest istotą wyjątkową podobnie, jak bohaterka cudnej elegii szwajcarskiej, a wyobraźnia twórcy otoczyła ją nimbem znanym w kreacyach wielkiej romantyczki; Amelia, to dusza romantyczna z jej zapałami i szalami. Wynałazł ją, nie obserwował w istocie; była ona wyrazem idealizmu, który w stosunku Amelii do Zbigniewa odniósł tryumf niepośledni. Świadomość moralna twardsza tu, niż wszystko: wszystko stanęło też przeciw Amelii, podejrzewania opadły ją jak mrowie, ale ona pozostała czysta do końca i cierpiąca straszliwie. Jeżeli uczucia Amelii i Zbigniewa przypominają nieco stosunki Walentytyny i Benedykta z *Valentine*, to Balzac, dobrze znany poecie, dał mu wzór takich kobiet przeznaczonych, by kochać i ginących bez szczęścia; tyle duszy, tyle cierpienia, tyle poezji nie miała może Amelia z pierwszej redakcyi *Mazepy*, a zyskała pewnie pod wrażeniem takich przepysznych figur, jak pani d'Aiglemont, pani de Mortsauf, pani Graslin. Dumę, szlachetność, milczenie ich ma Amelia w całej pełni i majestacie, choć Mazepa znów przemawia tak cudnie, jak rzadko u Balzaca. Chmielowski wywodzi pomysł zamurowania z tego ostatniego; większej wagi jest struna psychologiczna, której brakło w tej mierze niewątpliwie pierwszej redakcyi, a jej źródłem mogła być na przykład *Lys dans la vallée*. Najbardziej to anielska i nadziemska postać z kobiet balzacowskich; czystość jej uczuć, poświęcenie przez boleść, stałość przekonań, to cechy jej i Amelii. Tylko Balzac, jako genialny znawca serc kobiecych i jak Słowacki romantyk mimo realizmu, umiał otoczyć taką postać pozorami prawdopodobieństwa; poślubiona o wiele starszemu od siebie, przeżyła życie na odmawianiu sobie szczęścia i na oszu-

kiwaniu pragnień wewnętrznych. Amelia ma gest, głębokość, pewność swego wzoru uwielbianego wtedy w całej Europie, gdy mówi do króla, jak równie w swej miłości dla Zbigniewa. Ta miłość rośnie z postępem brutalności męża; ale ona zostaje czysta, a wyraz tych uczuć olśniewa prostotą, jak u pani de Mortsau. Chwila pożegnania ze Zbigniewem wznosi się do wyżyn poezji dotąd nieznannej u Słowackiego, poezji mającej w sobie coś mistycznego, idealistycznej do dna i głębokiej nieskończone. A Zbigniew niemniej przypomina Feliksa de Vandenesse, gdy daje uczuć Amelii swą zazdrość, a przemawia tak poprostu i rozdzierająco, jak tamten. Smutek wezbrany w tragedyi odpowiada nastrojowi poety, w którym łagodna melancholia górowała po przesileniu pesymizmu. Pochłaniała go zresztą praca wytężona i nie dająca wiele myśleć o sobie.

Więc nowa tragedia, choć balladowa i z silnemi reminiscencjami szekspirowskiemi, miała być przecież tak swojska, by wyrazić tęsknotę rosnącą w twórcy do kraju, i tak umyślnie nieprawdopodobna, by zbliżyć się do baśni ludowej, a ludzie tak wychowani, aby przecież „byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serce.“ Narodowy pierwiastek przeważał teraz i tworzył poeta tę tragedję, w ciszy pożądanej i upragnionej, w chwilach o których mówił, że Szekspir i Dante są teraz mojemi kochankami i już tak jest od dwóch lat.“ Rzecz ciekawa, co cenił w Dantem; sądzimy, że przeżyta uczuciowa część musiała go bardziej pociągać wtedy, niż oderwana mistyczna, a całość wpływała uspokajająco na to usposobienie, przedmiotowość dantejska oderwała go od kultu siebie, a miłość opromieniona przez genialnego allegorystę rodzajem gloryi wpływała na kształcenie się nowych pomysłów. Więcej tu działał jeszcze Szekspir, który wedle zdania Goethego daje nam poznać świat i jego cnoty i zbrodnie, małość i wielkość, przewrotność i prostotę. Szekspir usuwał z jego duszy wpływy byrońskie, dawał dojrzeć umysłowi; tkwił odtąd w tej głowie marzącej, jak goethowski duch świata, który *durchdringt die Welt wie jener, beiden ist nichts verborgen*. Sztuka bezosobista zajmowała go więcej i ten indywidualista krańcowy malował coraz genialniej dusze innych. Szekspir odgadywał dusze obce i on to czynił za nim, a choć i ukryć siebie nie umiał, jak Chateaubriand, potrafił to lepiej niż dawniej. Kochanowski zbyt często powracał mu na pamięć, by nie śnił o kątku, w którym jak stary poeta tworzyłyby spokojnie i w cieniu drzew krzemienieckich; tęsknota rozpaliała to pragnienie i dlatego Kirkor czuje, że jest

stworzony do ciszy wiejskiej  
 I prostoty. Niechby mi dościgał  
 Sad owocowy, niechbym małe chłopię,  
 Dzieciątko moje na rękach kołysał,  
 Oto się modłę!

I dlatego Filon fantazujący o Dyannie nie istniejącej na tym świecie i niepoprawny idealista bez odczucia rzeczywistości, wypada w *Balladynie* drwiąco i komicznie. On nie jest już echem Chateaubrianda lub Byrona; jest artystą wprawdzie więcej, niż człowiekiem, ale jako człowiek tęskniącym do właściwego słowiańskiej naturze ukojenia i wczasu. On jest artystą, a potem dopiero kochankiem, który nie oddaje się miłości cały nigdy i dlatego mówić o jego miłości, jak przy Mickiewiczu lub Krasińskim, nie uważam za właściwe. Tamci kochali po męsku, duszą i ciałem, idealnie i zmysłowo; gdy Mickiewicz był jednak po litewsku dyskretnym w korespondencji, Krasiński bez miary otwartym i wielomownym, Słowacki nigdy nie wpada w ekstazę, a o Wodzińskiej, z którą przestaje teraz bezpośrednio, mówi tak, jakby na dramat serca nie zanosilo się wcale. Bo też takiego dramatu nigdy nie było. On jest uczuciowy, ale jak Chateaubriand więcej w stosunku do siebie, wewnątrz tej duszy mieszkała na prawdę tylko mara, fikcja, urojenie, wizya kochanki lat młodości. Taką wizją nie żyliby dwaj inni poeci. Jego uczuciowość ma formę poetycką do stopnia, który jest najwyrafinowańszem marzeniem o miłości, ale nie miłością samą, ludzką, wżerającą się w każdy kątek duszy, drażniącą każdy nerw ciała, pochłaniającą duszę jak gorączka i mającą swe ujście w jej spełnieniu albo złamaniu duszy na długo lub na zawsze. Egotysta, mimo zwrotu do poezyi bezosobistej, wierzy w jakieś dość rozwiewne ideały, a choć niepokój ducha, dręczonego pesymizmem, pozostał na długo, znał swój stan i działał przeciw niemu. „Wina to mego odludnego życia — pisał 5 lutego 1835 r. — wina miejsca, w którym żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakimś cichym klasztorze; *dlaczego nie dał mi tej mistycznej pochodni*, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności.

Miała zabłysnąć niebawem i ona, bo pragnienie jej było w poecie wielkie. On lubi tylko swe marzenia i o sobie opowiada wymownie, ale nie o swej miłości dla innej istoty i wie o tem, gdy przez usta Filona skarży się jękliwie:

Miłość — to światło, to niebo, to życie!  
 A jam nie kochał, o biada mi! biada!

Filon jest formą jego uczuciowości i dlatego figuruje w baletowej tragedyi; jest w nim uczuciowość rozmarzona, egzaltowana, żyjąca w sobie, egoistyczna, wylewająca się poetycznie, nieokreślona. Tak samo czuł René, gdy rozkoszował się samotnością i odosobnieniem, a odmładzał w zetknięciu z Dantem i Szekspirem swe rojenia, wystarczające za rzeczywistość. Ale w ogóle górowały w poecie uspokojenie się stałe, czasem nieco goryczy wysychającej pesymisty, ironia łagodna i nie gorzka, nastrój żartobliwy i fantazyjny a widoczny w tworzonym właśnie dziele. A że krajobraz dawniej i teraz był u niego symbolem ducha, więc gorący, jaskrawy, ponury ton dawnego pejzażu przedzierzga się w wielki, ciepły, jasny, błyskotliwy. Widać go w przemowie Goplany do Grabca, w określeniach Skierki i indziej; w obec przyrody poeta jak Chateaubriand odczuwa tylko miłość dla niej. Gdzie tylko się ruszy w swej wędrówce po świecie, o nie mu chodzi szczególnie i niemi zapełnia swe twory, jak Rousseau i jego naśladowców. A właśnie ten ostatni przychodził mu wtedy często na myśl, gdyż w Genewie postawiono mu wtedy pomnik z wielką uroczystością, która wzruszyła poetę nadzwyczajnie. Był nastrojony więc sielankowo i w pokoju kazał zawiesić cztery wielkie szyćchy ilustrujące *Nouvelle Héloïse*. „Głównem zatrudnieniem mojem – pisał 7 marca 1835 r. — teraz są marzenia, ale marzenia te ograniczają się do bardzo małej rzeczy; oto do własnego byle gdzie domku. Chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów i drzew i zieloności. Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą, błękitną rzeczką, z ogrodem, słowem, ładna, mała pustelnia na pustyni.“ O tem nie marzyli pesymiści; z dawnego stanu ducha pozostały poecie tylko duma, zamiłowanie samotności i odosobnienia, pragnienie życia w marzeniu i mistyczne tendencye serca.

## VII.

### Echa dawnego stanu. Dążenia do nowej sztuki.

Słowacki jak ówczesni romantycy nadsekwańscy był romantykiem krańcowym i podmiotowość jego sprawiała, że wszystko widział przez pryzmat własnej osobowości. Ale ta właśnie cecha jego, jako człowieka, sprawiała, że życie mieszało się w nim z poe-

zyą. Wszędzie jest poetyzowanie i wszędzie nieco prawdy, bo przecież taki Filon i on to jedno, wszędzie on bytuje w poezji, bo przecież Kirkor to też on, a także bohater szwajcarskiej elegii miłosnej. W korespondencji można spotkać ustępy, które potem przejdą do poezji i odwrotnie. A i ten kącik realistyczny, jakim jest marzenie Kirkora o cichem szczęściu domowym, maluje poeta za swym duchowym ojcem Rousseau tęskniącym jak on za sieliskością, ogrodem, krowami, źródłem i *une petite maison blanche aux contrevents verts* odmalowanym idyllicznie i pamiętnym każdemu czytelnikowi. Rousseau, jako pierwszy prawdziwy malarz w literaturze europejskiej, zwracał go nieustannie ku niej, kazał wydobywać z niej najczystsze radości duszy, odwracał go od otoczenia do żywiołu zawsze spokojnego mimo żywości, cudnego z swymi wschodami i zachodami słońca, z pogodą niezamąconą nocy letnich, z miękkim tonem zielonych łąk, z tajemniczym cieniem borów i tą całą kalejdoskopowością, splecioną z barw, światła, podmuchów wiatru, szelestu strumieni, na którą składała się okolica Genewy. I dlatego poeta pogrążony w wizji tej natury roi o jeździe do „Clarens, gdzie była kiedyś Heloiza“ i jeżeli jego wyznania nie zgadzają się czasem z faktami, prawda uczuć tkwi w jego marzeniach i jak lirycy romantyczni należy do rodziny, która jak bogowie wedyjscy z Brahmy wyszła z myśli i uczuć wielkiego indywidualisty genewskiego. Brunetiére od niego wywodzi początki romantyzmu europejskiego, którego składnikami są: brak posiadania siebie, przeczulenie nerwowe, egzaltacja, mizantropia, pesymizm, ironia, rozstrój widoczny wszędzie, a nie przeczy tej opinii krytyka dzisiejsza. Te składniki widać szczególnie w Słowackim, który wzrósł w atmosferze przesiąkniętej nimi zwłaszcza pod działaniem naśladowców Rousseau. „Wszystko — co mnie spotyka — pisał 4 kwietnia 1835 r. — zdaje się podobne do jakiegoś czarodziejskiego zdarzenia... Dziwną taką mam naturę, że zawsze ogląda się w przeszłość i przyszłość, a terażniejszość lekko waży. Trudno się dokładniej opisywać i być bardziej romantycznym niż on; to tłómaczy nam też wszystko, co w *Balladynie* wedle słów Krasieńskiego jest fantastycznie niepodległe i co jest rewelacją jego kapryśnej indywidualności. Życie uczuciowe poety krążyło w niej i świadczyło o jego sztuce mimo wszystko egotycznej i odrębnej.

„Piszę teraz więcej — pisał 24 maja 1835 r. — niż kiedykolwiek, a co dziwniejsze, że piszę prozą... Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd więcej może będzie naturalności i bardziej rozwiane zarisy.“ Pisał tedy dla siebie i o sobie prawdopodobnie *Horsztyńskiego* i żył

cały w tem unikając frazeologii, hypnotyzując wprost, wlewając własną krew w żyły swego tworu. Wcielał się w swego bohatera tem łatwiej, że jak Musset malował siebie; czuje się tu prawdę, nieco upoetyzowaną w postaci melancholii bezgranicznej, nieuleczalnej, głębokiej, choć bez dawnej goryczy. Słowacki cierpiał często i leczył się pisaniem, jak jego wzory. Ta postać Szczęsnego, najtragiczniejsza może w jego teatrze, wzięła wszystko od niego tak jak René od Chateaubrianda: dumę, zwątpienie, szlachetność, drażliwość wylewające się jak lawa i przejmujące. Pisał prozą, bo czynił tak Hugo niekiedy i Musset wtedy właśnie, prozą liryczną nawskroś, prostą, naiwną, idącą z serca i naturalną. A nie był to ton impertynencki, wytworny, dowcipny tego ostatniego zwłaszcza. Ten ton miał zwłaszcza Chateaubriand równie melancholiczny, jak poeta; był to ton pesymisty szlachetnego przecież, a żyjącego w atmosferze upodlenia i szarpanego zgryzotą beznadziejną. Ale René cierpiał z powodu swej drażliwości, dumy, występnego uczucia dla Amelii, wrodzonej mizantropii; Szczęsny cierpi z innych powodów i w tem jego różnica i wyższość. Ale duchem bliski jest swego wzoru, a nie Hamleta, z którym dzieli tylko los podobny. Jak René głosi wobec gości Hetmana, że „duma jest duszą duszy jego i że дума jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów.“ Byłoby to śmiesznem, gdyby znalazło się jako kontrast z całością; na szczęście znalazło się w dziele będącem wprawdzie torsem, ale torsem genialnym. Słowacki ma ten gest dumy, zawsze nie bez czaru przecieź, i będący jego stałą skłonnością od dzieciństwa do śmierci, jak u Chateaubrianda. A stosunek Szczęsnego do Amelii nie jest wprawdzie tego rodzaju co u tamtego w *René*, ale dla obu siostra jest ideałem kobiety, obie znają duszę swych braci do dna, obie widzą w nich coś niedoścignionego, z powodu czego nie znają też pewnie innej miłości. Podobieństwo jest bijące i nie ostatni raz dowodzi duchowego pokrewieństwa obu pisarzy i wzajemnego wpływu pierwszego na drugiego. Patriotyczny powiew obudzony za granicą odezwał się i teraz w poecie; niemniej szukał on zawsze kontrastu między sobą a otoczeniem i w szatę dumy odziewał się z zadowoleniem. „Czyż też ja kiedy dojdę — pisał 30 czerwca 1835 r. — do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz mamó, te węże, które widzieliśmy kiedyś w moczarach pińskich, obwijające się w koło lili wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzecę żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinać się koło niego i zasnąć.“ A więc tęsknił do śmierci także, jak René pisząc swój dramat i była ona jak dla tamtego

*la dernière planche sur laquelle j'aurais espéré me sauver.* Wszystko stało mu się wstrętne, jak tamtemu, gdyż nie miał nawet siostry, która *tenait de la femme la timidité et l'amour, et de l'enge la pureté et la mélodie.* Zbliżał się tedy, ale na krótko, tylko do ostatniego kresu pesymistycznej myśli, do pragnienia unicestwienia, jako zamknięcia tragicznego dramatu duszy. Był teraz podobny do de Vigny'ego z tworzących współcześnie; z innych podobnie myślał tylko Leopardi. Ale u ostatnich była to już doktryna filozoficzna; głosiła, że wszystko jest złudzeniem i śmierć sama kończy godnie nieskończoną próżność życia. Polski pesymista był bliższy Chateaubrianda; gdy bowiem Renégo od myśli samobójstwa ratowała siostra przyoblekająca sama habit mniszki, jego, żądza odrodzenia duchowego, którego zazdrościł może Mickiewiczowi i innym. I Chateaubriand odpoczął w chrześcijaństwie napisawszy *René*; sceptycyzm religijny był już od niego daleko i pragnienie wiary nurtoowało potężnie. I można tu opowiadać teraz o miłościach poety na wzór Małeckiego lub Hoesicka? Miłość u naszego pesymisty stawała się wprost niepodobieństwem; mówił o niej chłodno i drwiąco w listach i bawił się jedynie swem położeniem kochanka uciekającego od jednej, a tęskniącego do drugiej.

Opuściwszy Genewę dla Veytoux, niby chroniąc się przed Eglantyną zazdrosną o Wodzińską, bierze z sobą Szekspira i Byrona i jedzie studyować krajobrazy. „Nie ma w tem za grosz prawdy — pisał 23 sierpnia 1835 r. — ponieważ z tobą najdroższa kuzynko, mówię otwarcie. Otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mnie *dosyć zajętego* panienką młodszą od niej i widząc tę dosyć mi sprzyjającą, zaczęła schnąć i zachorowała niebezpiecznie“... A więc był dosyć zajęty a my twierdzimy, że nie umiał na prawdę zająć się kim po ludzku, jak Chateaubriand. Pożyczył się na chwilę, ale nie oddawał. Wnet po ucieczce z Genewy zachwyca się nad okolicą, do której się schronił, marzy o Rousseau i Byronie, ma ton szczęśliwej swobody i — wraca ale nie pod przymusem serca, lecz z powodu mgieł i deszczów dość częstych w tej stronie jeziora. Jego miłość jest więc tylko jak u Chateaubrianda formą jego egotyizmu; kochać się, to pięknie, a co piękne nadaje się do poezji i dlatego w Veytoux snuje swe brylantowe liryki, najcudniejsze w liryce polskiej, zwłaszcza miłosnej. Kochać się, to rzecz modna, treścią życia i poezji jest miłość i ten wielbiciel dziecinnego ideału uosobionego w Śniadeckiej wyobrażał sobie, że się kocha w innej, że się kocha w ogóle, że odniósł ranę serdeczną, że powinien się pomścić na natrętnej, a promienić szczęśliwszą, bo młodszą rywalkę. Było coś mniej

szlachetnego w tym postępku względem tej, którą nazywał tylekroć siostrą; gorzka ironia, czułość, zapał, skłębily się w obłok pysznego blasku. Dawny pesymizm odzywał się i teraz po świeżem przejściu; została w nim dawna tęsknota za latami dzieciństwa, mniej samotnymi niż obecne, i wyraziła się cudnie w owych lirykach miłosnych w *Ostatniem wspomnieniu do Laury*. Niema wątpliwości, że chodzi tu o tę, którą kiedyś opiewał w petrarkowskich sonetach w Wilnie. Ton był teraz więcej męski, bolesny, głęboki i wyrażał cierpienia nie mniejsze może od Leopardiego w jego *Dialogo della Natura e di un Islandese*:

Więc niech mię prędko chmury czarnemi  
 Porywa wicher nicości,  
 Bo już przekląłem wszystko na ziemi,  
 Wszystko z *aniołem przeszłości*...  
 Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka  
 I falą powraca ciemną,  
 Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,  
 Nic za mną i nic przedemną.

Ale było to tylko jedno z ostatnich ech pesymistycznego nastroju. „Czuję potrzebę większej doskonałości — pisał 20 października 1835 r. — rozwinęło się bowiem we mnie jakieś *nowe piękności uczucie*. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale staram się, by ono napełniało moje karty, aby więcej też było w słowach. Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia, było wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonją, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego.“ Dusza artysty przebija się w tych słowach wyraźnie. Przyroda, jedna z najpiękniejszych w Europie, uspokaja go i on sam żąda spokoju, harmonii, wzniosłości, które tak rzadko gościły w jego poezyi. Jego instykt artysty pożądał jednak tych zalet dla innego też powodu; sceptycyzm filozoficzny przesycił go bowiem i nie dał nic prócz goryczy i nirwanicznego marzenia takiego de Vigny'ego lub Leopardiego.

Znanym jest pogląd Mickiewicza zwróconego po epoce sceptycyzmu do chrześcijaństwa i głoszącego już w r. 1833, że „ksiądz Lamennais, *Schelling*, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak chorągwie na wieżach pokazują, z kąd wiatr zaczyna wzmagać się.“ On marzy o powszechnej przemianie społeczeństw w duchu katolicyzmu oswobodzonego i ożywionego. A ideę tę wypowiedział w jego wieku najpiękniej właśnie Chateaubriand, a za nim poszli



romantycy. Słowacki był katolikiem z wielu względów, i jeżeli przestał nim być w latach rosnącego pesymizmu, potrzebował tylko ożywić, a nie rozbudzić swą wiarę. Wolteryanizm ośmieszał chrześcijaństwo, Chateaubriand łączył go z najwznioślejszymi rzeczami, wolnością, sztuką, literaturą. A Słowacki, jak Chateaubriand, czuł też więcej niż myślał i jego idee były odbłaskiem jego uczucia i wyobraźni. On chce teraz odtwarzać jedność wszystkiego w sztuce, a idea jedności stanowiącej właśnie duszę świata, była dogmatem filozofii Schellinga. Sztuka wedle niego jest uświadomieniem naśladowaniem nieświadomej jedności natury; sztuka i nauka mają ten sam cel, mogą ją tworzyć tylko geniusze, nieskończoność przedstawiona skończeniem, jest właśnie sztuką. I Schelling prowadził też niezawodnie poetę do studyów filozoficznych tak odpowiadających jego nastrojowi, w których przeważać mieli oczywiście ulubieni idealistom filozoficznym Plato i neoplatonicy, Böhm, Swedenborg, Saint-Martin i ówczesi mistycy w rodzaju Wrońskiego. Czuł się zresztą sam na szerokim świecie i umęczony pustką otaczającą, szukał odetchnienia po przebytych świeżo niepokojach serca i odjeździe Wodzińskiej, było mu przykro z powodu oziębienia stosunków z Eglantyną i rwał się w świat nastrojony więcej jednak elegijnie i melancholicznie. A znaleźć mógł ukojenie tam, gdzie szukał już Chateaubriand, Lamartine, Mickiewicz i inni, gdzie wielkie wspomnienia klasyczne odsuwały myśl od terażniejszości, gdzie jego dusza artysty mogła żywić się do nadmiaru ziemią, niebem, sztuką. We Włoszech nie było tych mgieł i burz szalejących gdzieindziej, a nawet rozpaczny ton Leopardiego miał w sobie dużo jasności i, skupienia, prostoty, przejrzystości klasycznej. A poeta był usposobiony właśnie jesienno, tego dnia rezygnacyjnie i skarżył się bez afekta-cyi i z przekonaniem, że za wiele poezyi poświęcał sobie i że zarzuty Mickiewicza miały nieco słuszności. „Ja mam także sumienie — pisał 29 listopada 1835 r., — a jeżeliin stetryczniał, to nie mało się do tego przyczyniła ta myśl, że *nieużyteczny byłem jak chwast*, a każdy smutek w mem życiu zdaje się być słuszną karą Bożą.“ Ścigał go teraz srogi wyrzut za niespełniony obowiązek narodowy, a choć odnosił się on w większej jeszszce mierze do jego antagonisty Mickiewicza, to przecież ten ostatni w poezyi dokonał więcej niż on mógłby dokonać nawet z bronią w ręku. Był na drodze do duchowego odrodzenia, ale się nie spieszył jak Durtal Hysmansa, a zbyt odczuwał rosnący w poezyi Europejskiej zwrot do metafizyki, mistyki, idei społecznych, by chciał zostać i teraz w tyle.

W tym kierunku dążył Mickiewicz zatapiający się w Saint Martinie, w tym Krasiński skłaniający się również do wyobrażeń

Schellinga o sztuce; Chateaubriand zwraca go do czytania Biblii jak ogół romantyków francuskich, a współcześnie Lamartine, poetyzujący coraz bardziej na ton filozoficzny, ogłasza *Voyage en Orient* i jest również w punkcie zwrotnym swego życia. Jego miękka i melancholiczna dusza ma te same wątpliwości, co Słowacki. I w polskim poecie wytwarza się pokrewny lamartinowskiemu panteizm w poglądzie na świat i wytwarza nastrój rezygnacyjny równocześnie z żądzą działania na ogół. Podróż do Rzymu morzem, kędy nie dawno dążył też Lamartine w podobnym celu, potrafiła go nawet nastroić wesoło, co zdarzało się dawniej rzadko, ale zbliżywszy się do celu podróży witał go nie bez wzruszenia. Żył teraz czas jakiś wspomnieniami młodości spotkawszy się z wujostwem Januszewskimi, tu go czekającymi, a nawet, poznany właśnie Krasiński przypominał mu żywo kochanego niegdyś Spitznagla. A i ruiny wiecznego miasta nasuwały mu myśl rzewną i poważną:

I nigdy w życiu takich lez nie lałem,  
Jak wtenczas, gdy mnie spotkało w pustyni  
Słońce, sztydzący Bóg, czy Rzym widziałem?..

Pogoda łzawa i tęskna nastawała w jego zmęczonej duszy. Negacya nadzmysłowości raziła go i na grobie Schelleya osądził, że lepiej mu będzie „na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni“ niż żyć ateistą jak twórca *Prometheus Unbound*. Czy może czytał go wtedy jak i Keatsa, którego grób odwiedzał w Rzymie równocześnie? Prawdopodobnie, zauważył niewątpliwie wtedy różnicę między pierwszym a Byronem opierającą się na mniejszej dozie podmiotowości, która umiała się wznieść nad własne bóle i męki. Mimo indywidualizmu nie rozdzierał Schelley swego serca, nie mówił nieustannie o sobie, ale dążył do spokoju, jedności, prostoty helleńskiej. A Keats pojęciem swej sztuki zbliżył się też do Schelleya i mógł wpływać kojąco na rozigrany egotyzm poety. Najwięcej jednak imponował mu Krasiński, wydający wtedy *Irydyona*. „Wiesz, droga, — pisał, 28 maja 1836 r. — że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacją ostygającą potrzeba czasem, aby obcy dostali jaką skrę, aby obronili człowieka od rozpaczy...“ A on doznał tego niezrozumienia od wielu, od swoich nawet, i teraz dopiero lał w jego duszę balsam poeta podmiotowy nawskroś, poeta genialny i pełen głębokiej sympatii dla pokrewnego sobie duchem samotnika genewskiego. Sojusz tych dwóch duchów stanowi świetlany moment naszej poezyi. Ale bar-

dziej świetlany w życiu poety, którego wdzięczność upamiętniła dedykacja *Balladyny*. Wyraził się w niej żal twórcy, którego poezya dotąd, „żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia“ wśród ziomeków nie wydarła; wyraziło się przekonanie, że źródło natchnień jego ma pochodzenie boskie w myśl idei Schellinga i ono to dopomogło mu, by z Polski dawnej tworzył fantastyczną legendę. Królewski to był dar ale i niepoślednim musiał być wpływ Krasińskiego na poetę.

Uspokajało się serce „pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś samotności, albo wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapieczowego życia.“ Połło milionem wrażeń ze zwiedzanych z Krasińskim galeryj i nic dziwnego, że w takim towarzystwie wujostwo Januszewscy stracili wiele, jako przedstawiciele średniości ducha. Faguet powiada, że Lamartine rzucał na wszystko, co tworzył, gazę purpurową; Słowacki miał też rodzaj gazy okrywającej wszystko co tworzył światłem mrocznym i chimerycznym. Nie umiał żyć się z ludźmi i chciał, by go rozumiano. To prawo artysty i człowieka, któremu brakło było, jak Mickiewiczowi i Krasińskiemu, koła przyjaciół i wielbicieli. On żył sam, znany mało, dumny ogromnie, drażliwy i zgorzkniały obojętnością ogółu, szukający z trudem środków na wydanie dzieł. Zbytek wrażeń niepokoił go nawet, bo odzwyczaił się od nich, jak pustelnik i żył zbyt gorączkowo. „Myśl moja — pisał 20 czerwca 1836 r. — która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym zatrudniam i męczę.“ Pisał to już z Neapolu okazując, że źródło jego twórczości tkwi, w nim samym, że dzięki tylko przedziwnemu odnawianiu się swej osobowości jest ciągle odmienny, że świat nużył go w przeciwieństwie do żyjących w nim chętnie Mickiewicza i Krasińskiego, że jest jak Chateaubriand duszą samotną z instynktu, wychowania i powołania. A dusza samotna nie potrafi wyrzec się siebie i pesymizmem tchnąca młodość poety przyzwyczaiała go do liczenia na swe własne uczucia. Więc nie unie oddawać się swemu otoczeniu, unika stosunków z światem zewnętrznym i wśród rozkosznych wrażeń neapolitańskich nie przestaje marzyć o przeszłości. Tą przeszłością były lata dzieciństwa, a nie wizye Wodziańskiej, jak przypuszcza bezpodstawnie Hoessick. On bawił się najlepiej sobą, swymi wspomnieniami i pisał — *Wacława* <sup>1)</sup>. Z Malczewskim

<sup>1)</sup> Argumenty p. Jareckiego, jakoby poemat powstał wcześniej, nie zdają mi się dość przekonujące.

sympatyzował już może w Wilnie, a pesymizm tamtego był równie rezygnacyjnym i łagodnym, jak jego obecnie. On się modli teraz na Wezuwiuszu, czego nie czynił dawniej, i jakiś mimowolny pociąg pcha go do przeniesienia się duchem w zwiedzane kiedyś strony w czasie wędrówki do Odessy. On sam przypominał niekiedy Wacława i z siebie czerpał cały rój uczuć przenikających serce nieszczęsnego. Może i w nim odezwała się znów dawna wina opuszczenia sprawy ogólnej, a wyobraźnia rozogniała tę winę do rozmiarów tragicznych. Był zawsze przecież krańcowy i dlatego jego poemat drży od wzruszeń osobistych poety. Obrazy, jak zwykle u genialnego fantasty, gromadziły się jedne na drugich i lał się potok improwizacyjny szybko i żywiołowo. Potępiał swój sceptycyzm w sprawach narodowych i ostrzegał przed nim i przed jałową melancholią, która gasi tylko maskę energii:

Niech tylko wprzód nie splami zgryzota  
 Duszy, co jako ptak się w siłach miota;  
 Niechaj się tylko każdy dumnie waży  
 Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży;  
 To chyba w końcu na takich Aniołów,  
 Wróg będzie piorun miał w ręku — nie olów.

Może to przeczcucie Anhellego. Duma, odosobnienie, gorycz, cełują Wacława i stanowiły też psychologię poety. Ale wyraz ich zdaje się być bledszym, płytszym, bardziej retorycznym niż dawniej.

To niewątpliwie skutek przemiany duchowej wywołanej tylu złączonymi wpływami. On już roił, jak Lamartine współczesnie o poświęceniu siebie i pisze czasem tak wzniosłe i pięknie o miłości ojczyzny, czystszej niż każda inna, że Wacław nie mógł tak chyba czuć i mówić. A był to czas, gdy *Paroles d'un croyant* Lammenais'ego obiegały z rąk do rąk i wszędzie czyniły wrażenie swym stylem apokaliptycznym, uczuciowym, poetyckim, wizyonerskim, symbolicznym. I Słowacki użyje wnet tej formy w ślad za nim, a teraz czyta pewnie bez ironii właściwej mu kiedyś, że miłość wzajemna ludzi daje szczęście niepoślednie i trwałe. Równość, wolność, sprawiedliwość i miłość, oto prawa społeczne. Dzięki ruinie chrystyanizmu na świecie, zapanowało przewrotne państwo szatańskie. Urok przypowieści i napomnień, obrazy istotnie dantejskie, pełne nateżenia formuły biblijne i mistyczne, wiara w bezsilność rozumu, nie mogły wstrząsnąć wrażliwego poety. On wątpi czasem, ale do wiary tęskni i wyrывa się, by spełnić niebawem jej akt gorący i właściwy duszom romantycznym:

I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczce,  
 Może Bóg wspomni na to i przebaczy!  
 Żalu mojego najlepszą jest próbą  
 To upodlenie się moje — przed sobą.

„Wyznaj, droga moja, -- pisał 24 sierpnia 1836 r. — że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiądę. Pomimo oporu, jaki nieruchawość moja stawi tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.“ Zajrzawszy do biblij, jak prawdziwy romantyk, ruszył tedy w drogę odbytą dopiero przez Lamartine'a i począł wchłaniać taką masę wrażeń, jak nigdy dotąd. W tej drodze jest raz swobodny jak dziecko, raz ponury jak pesymista, raz melancholiczny elegijnie, raz ironiczny, a ciągle zmienny i rwący się do tworzenia. Przypominały mu się marzenia dziecinne o Wschodzie, nasuwała pamięć Śniadecką i wtedy pamięć tego bliskiego trzydziestki młodzieńca łączyła zgasłą przeszłość z promienną terażniejszością. Kult dziecka kochanki tkwił głęboko ukryty w tej duszy czasem dziecinnej, mimo lat dwudziestu siedmiu, i wyrzywał mu wiersze jedne z najpiękniejszych w *Podróży na Wschód*:

Bo nim spocznę w grobie,  
 Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie,  
 Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze  
 Łez brylantowych osypią cię deszcze.

Chateaubriand uważał się za istotę wybraną wśród stworzeń na cierpienie. I Słowacki będzie się uważał niekiedy za taką, a tymczasem nie był już podobny do dawnego pesymisty w duchu Renego i całego legionu wyrosłych z tego ducha istot. Młodość uchodziła widocznie z swymi zawodami i rozpaczami i nadchodziły lata dojrzałe, podobne do młodości, ale i inne pod nie jednym względem.

TADEUSZ GRABOWSKI.

# Czytelnictwo wśród studentów

## UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO.

*Przyczynek do statystyki życia umysłowego.*

### I.

W znajomości naszego życia zbiorowego pozostaliśmy daleko po za nauką Zachodu. Fakt ten, ciągle stwierdzany, stał się przedmiotem bezustannych, banalnych utyskiwań. Znamiennem przeto będzie, że nie tyczy się to t. zw. kwestyi studenckiej. U nas, rzecz można, zapoczątkowano ją; posiadamy parę poważnych przyczynków do kwestyi poznania warunków bytu studentów<sup>1)</sup>, gdy na Zachodzie dopiero teraz około niej żywiej zaczynają się krzątać<sup>2)</sup>. Fakt ten jest dość zrozumiały na tle warunków życiowych młodzieży. Studenci innych krajów, np. niemieccy, do niedawna rekrutowali się przeważnie ze sfer zamożnych; troska o niepewne jutro nie istniała tam — nic nie rodziło też potrzeby zaznajamiania się z istniejącymi stosunkami. Dopiero w ostatnich czasach zrywają się tradycje dawniejsze, występują inne żywioły w obrębie młodzieży (porówn. poszukiwania Conrada), urasta nowa kategoria niezamożnych, zmuszonych utrzymywać się własną pracą — a z nią powstaje i *kwestya studencka*.

<sup>1)</sup> A. Kowalski: Stan zdrowia i warunki higieniczne studentów uniwersytetu warszawskiego. Warszawa, 1899. A. Potocki: O uposażeniu warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej. W zbiorze: W naszych sprawach, t. II.

<sup>2)</sup> Mianowicie: Ankieta o położeniu studentów uniwersytetu wiedeńskiego (Braun's Archiv, t. XVIII); próby ankiety w Pradze Czeskiej.

Podobne stosunki spotykamy we Francyi, Anglii <sup>1)</sup> i t. d. Tylko w Cesarstwie <sup>2)</sup> niema dobrobytu wśród sfer studenckich — i u nas działo się wprost odwrotnie. Niemniej jednak dalecy jesteśmy od wyczerpania kwestyi. Dotychczasowe prace uważać należy za próby raczej, pozostawiające cały niemal obszar badań niekniętym <sup>3)</sup>.

Obie cytowane powyżej prace objęły niejako fizyczno-ekonomiczne warunki egzystencji studentów warszawskich, — dotknęły zaledwie niektórych stron życia umysłowego; w przyczynku niniejszym właśnie nad tą dziedziną chcielibyśmy się zatrzymać.

Chodzi nam o studia młodzieży. Przedewszystkiem o tę ich część, gdzie największe jest pole do samodzielnej pracy, samokierownictwa — o *czytelnictwo*. Nie obejmie ono wprawdzie całej sfery życia umysłowego, ale może być niejako miernikiem tego życia. Rola czytelnictwa i znaczenie jego w studiach były przedmiotem wielokrotnych omawiań, poprzestających atoli na konstataowaniu doniosłości faktu, bez wnिकania w jego analizę. Wszyscy, poruszający kwestyę studiów młodzieży, podkreślają tylko znaczenie „tego nowego zbytku,“ co „wkroczył przed pół wiekiem“ (Fichte). Istotnie, minęły już czasy owe bezpowrotnie, kiedy w studiach książka była zbytkiem nie tylko wśród młodzieży, lecz i profesorów-uczonych <sup>4)</sup>. Ostatnio Paulsen, ogólnikowo wprawdzie, formułuje zadania czytelnictwa w studiach uniwersyteckich: „jako drugi ważny środek (pierwszy: wykłady i ćwiczenia) studiów, występuje w nauczaniu uniwersyteckiem lektura.“ „Użytkowanie jej tworzy obecnie obok nauczania akademickiego

<sup>1)</sup> Lot: L'enseignement supérieur en France 1892. Dane o stypendystach zawiera również dziełko prof. w Marsylii, Schoen'a: „Die französischen Hochschulen seit der Revolution. Monachium, 1896.

<sup>2)</sup> Ankieta rektora Bunge'go w uniwersytecie kijowskim 1872 r. oraz rezultaty poszukiwań komisji dla zbadania uniwersytetów rosyjskich w 1875 r. (p. Żurn. min. narodn. proswieszcz., 1876/10).

<sup>3)</sup> Bliżej zaznajamia artykuł „O położeniu młodzieży kształcącej się.“ Promień, 1903, № 4.

<sup>4)</sup> Ciekawym do tej kwestyi przyczynkiem jest drobne studjum D-ra Kohfeldta, o użytkowaniu biblioteki w XVII wieku (w Centr. f. Bibl. 1901 r.). Obliczenia, zrobione według pozostałych spisów biblioteki w Rostok, między 1650—1690 r., wykazały, że nie więcej jak jeden student rocznie wypożyczał do domu jedną książkę (przeciętna liczba studentów—130). Zresztą i profesorowie, częściowo poważni ówczesni uczeni, niewiele wypożyczali (19 książek rocznie), przytem połowa nie wypożyczała wcale.

część niezbędną i istotną studyów. Zadanie jej: poznanie takie z własnego doświadczenia najważniejszej literatury zawodowej, by można się w niej ze swobodą poruszać <sup>1)</sup>.

Jeżeli tyle doniosłą rolę wyznaczają czytelnictwu w studyach na uniwersytetach niemieckich, to z tem większą pewnością i naciskiem da się to powtórzyć przy trybie i środkach nauczania w uniwersytecie warszawskim.

Chcielibyśmy więc uczynić próbę zapoznania się ze stanem czytelnictwa wśród naszej młodzieży uniwersyteckiej. Mniemamy, że możliwość poznania rzeczowego roli i charakteru czytelnictwa dać może tylko materiał statystyczny, oparty na obserwacji masowej. Cyfry, jakimi rozporządzamy i materiały, na jakim je oparliśmy, zgromadzony jest według danych wypożyczalni biblioteki uniwersyteckiej, za rok akademicki 1899/900.

Obrachunek nasz wypadnie prawdopodobnie z ujmą, gdyż nie uwzględniamy tu źródeł ubocznych czytelnictwa; dzieła wypożyczane z biblioteki uniwersyteckiej stanowią część zaledwie książek, będących karnią umysłową studentów, nie podajemy bowiem dzieł, wypożyczanych na miejscu (w sali publicznej), oraz całego szeregu czytelników i księgozbiorów prywatnych, służących często jako najbardziej pomocniczy środek w studyach. Z góry więc możemy przewidzieć, że statystyka nasza nie obejmie całej pełni życia umysłowego młodzieży uniwersyteckiej, owszem, wiele stron wcale nie będzie dotkniętych, mianowicie, choćby stopień zainteresowania się kwestyami bieżącymi, publicystyką, a to dlatego, że większość podobnych prac młodzież zazwyczaj nie wypożycza, lecz kupuje.

Dane nasze dadzą, zapewne, najwierniejsze pojęcie o rozmiarach czytelnictwa naukowego, to bowiem, co studenci wypożyczają z literatury pięknej, nie może stanowić o ilości przeczytanych przez nich dzieł w tej dziedzinie, gdyż niemal każdy wypożycza jeszcze w bibliotekach płatnych, dla literatury naukowej zaś bibl. uniw. jest jedynym niemal obfitem źródłem <sup>2)</sup>; — w Warszawie podówczas nie było po za niewielką „czytelnią naukową“ żadnej o szerszym zakresie, dostępnej dla wszystkich wypożyczalni. Statystykę więc naszą usprawiedliwia fakt, że bibl. uniw., jako naj-

<sup>1)</sup> Lexis i Paulsen: Die deutschen Universitäten, str. 100 i 107.

<sup>2)</sup> Bibl. uniw. w początku 1896 r. zawierała przeszło 450 tysięcy tomów. Uważana jest za najbogatszą bibl. uniw. w Państwie Rosyjskiem. (Zurn. min. narodn. prosw., 1897, № 1).



zasobniejsza w dział naukowy, dostępna dla ogółu studentów instytucya, bezwątpienia jest najpoważniejszym czynnikiem czytelnictwa naukowego — a tę przedewszystkiem stronę pragniemy oświetlić.

Zgodzimy się również, że dane nasze nie uchwycą istotnego stanu rzeczy i dlatego, że gdy wypożyczanie pewnych dzieł nie świadczy jeszcze o ich czytaniu, tak znów skądinąd niekorzystanie z biblioteki nie może być właściwie uważane za negowanie czytelnictwa wśród danych sfer studentów. Skoro zamierzamy jednak operować wielką liczbą, indywidualne te wahania w znacznej mierze znikają, zdarzenia wyjątkowe ulegają jakby wyrównaniu, cyfry pozwalają, ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa, mówić o zjawiskach masowych, jakby o stosunkach rzeczywistych. Dane nasze o czytelnictwie będą zawsze tylko skąpsze od istotnych; wielu bowiem, nie obywiających się bez dzieł naukowych, nie wypożycza ich jednak do domu wcale wskutek skomplikowanego i utrudnionego systemu otrzymywania książek. Fakt ten, wysoce anormalny, przyczynia się nadzwyczaj do sztucznego zwięzienia „spożycia“ książkowego, — cyfry nasze podkreślają go nawet w pewien sposób i statystyka akcentuje.

Samej metodzie obliczania należy się kilka słów. Za jednostkę statystyczną braliśmy każde wypożyczone dzieło lub pismo, niezależnie od tego, z ilu tomów się składało. Toż samo dzieło, wypożyczone kilka razy, uważaliśmy za oddzielne jednostki. W podziale dzieł na grupy naukowe kierowaliśmy się przeważnie wskazówkami „Poradnika dla Samouków.“ Granice jednak klasyfikacyi są trudne i zawodne, wielokrotnie więc nie wyrażają właściwej zależności i wzajemnego ustosunkowania dzieł i *mogą być często dowolnie w jedną lub drugą stronę przekraczane*. Wiele prac trudno bywa zaliczyć do jakiejś określonej kategorii — ściśle przegródki między naukami nie istnieją — musieliśmy więc w takich razach kierować się pewnymi przypuszczeniami i dowolnie klasyfikować. Oczywiście metoda taka odbija się na rezultatach, ale jest jeszcze dziś nieodłączna przy traktowaniu tak subtelných zjawisk, jak umysłowe, miarą liczbową<sup>1)</sup>. Statystyczne ujęcie zjawisk życia intelektualnego do dziś jest czemś ekscentrycznem, dziedziną objawów nietkniętą prawie, i każdy, chcąc w niej pracować, musi stwarzać niejako własną metodę poszukiwań, czynić próby i po-

<sup>1)</sup> Patrz Sm.: W sprawie statystyki życia umysłowego (czytelnictwo). Warszawa, 1904. (Odbitka z „Ogniwa“).

sługiwać się nazbyt jeszcze niedokładnymi i pierwotnymi środkami w mierzeniu tych zawiłych i trudnych do ujęcia zjawisk, zbyt kierować się, jak mówi Westergaard — kryteriami powierzchownej jeszcze natury. Wobec tego wszelkie próby, czynione na tej drodze, wyświetlenia poszczególnych momentów życia unysłowego, analizy złożonych masowych objawów, noszą wybitne piętno osobowości autora, jego uprzedzeń i sympatyj, zależne są ogromnie od jego widnokręgów, pomysłów i oceny — dalekie od charakteru „powszechnie wartościowych,“ nie mają w sobie tej obiektywizacji, jaką do pewnego stopnia nauka uzyskała w badaniach nad stosunkami rzeczowymi. Tem też się tłumaczy brak opracowań ściśle fachowych; zazwyczaj badań mają się ludzie nie wyszkoleni statystycznie.

Nie łudźmy się jednak — wiemy, że analiza nasza nie dotrze rzetelnej głębi, da jeno grube kontury, zarysy...

## II.

Oficyalny, imienny spis słuchaczy uniwersytetu w omawianym 1899/900 roku wymieniał 1187 osób, w tej liczbie jednak 14 słuchaczy wolnych, nie mających praw korzystania z biblioteki. Możemy więc wziąć pod uwagę 1173 studentów (w tej liczbie i 81 farmaceutów). Przebieg roku był normalny, przeto i zmiany w składzie były zaledwie jednostkowe. Liczbę powyższą śmiało możemy przyjąć za podstawę dalszych obliczeń.

Ogół wypożyczających: 748 studentów, co w stosunku do liczby studujących wynosi 62,8%. Zatem 425 (37,2%) osób zupełnie nie korzystało z biblioteki, co, jak wzmiankowaliśmy, równa się w Warszawie zupełnej niemożności samodzielnej pracy naukowej<sup>1)</sup>. Zwłaszcza posępny wyraz przybiorą cyfry, skoro się uwzględni, że w sumie tej studentów pierwszych dwu kursów, co do których można jeszcze przypuszczać, że zadowolają się „kuciem“ kursów, jest tylko 250, nieco więcej nad połowę zatem nie czytających; resztę zaś, czyli 42%, stanowią słuchacze kursów

<sup>1)</sup> Stosunek ten bynajmniej nie jest wyjątkowy. W sprawozdaniu z roku 1894 (Żurn. min. narodu. prosw., 1896, № 1) podano liczbę korzystających z biblioteki na 661, t. j. 58,1% ogółu ówczesnego (1142 studentów). Stosunki powyższe są prawie identyczne.

wyższych, o których nie możemy mieć żadnych złudzeń, by istniały środki, zdolne zastąpić i pozwalające obywać się im bez studyów książkowych. Przy wstępie więc utykamy na jakąś anomalię.

Różnem też bardzo jest ustosunkowanie wzajemne korzystających i nie korzystających z biblioteki na różnych wydziałach, gdyż jeżeli studenci wydziału historyczno-filologicznego *wszyscy* korzystali z niej, to inne fakultety wykazują już tylko pewien odsetek czytających:

Z liczby 216 fiz.-matem.	tylko 58%
„ 486 prawnego	„ 85,5%
„ 352 lekarskiego	„ 42,3%
„ 81 farmaceutów	„ 25%

Uwidoczniła tutaj różnorodność udziału w czytelnictwie, w zależności od fakultetu, da się często wyjaśnić charakterem zajęć, np. dla medyków i przyrodników — przewagą zajęć praktycznych, wypadających u medyków nawet po za murami uniwersytetu (w szpitalach), co ogromnie tamuje, jeżeli już nie zupełnie uniemożliwia korzystanie z biblioteki, otwartej w tych samych godzinach. Sprawozdania uniwersyteckie wskazują też, że obciążenie zajęciami i wykładami jest na medycynie dwa razy niemal większe, jak na innych wydziałach. Przeciążenie to studjami obowiązkowemi, bez uwzględnienia wszelkiej specjalizacji — wogóle zła organizacja wydziału jest tu najbardziej winna. Na niski odsetek czytelników wydziału przyr.-matematycznego wpływa prawdopodobnie i to, że wielu lokuje się tu tymczasowo przed przejściem do politechniki i poprzestaje tylko na podręcznikowym przygotowywaniu się do egzaminów konkursowych. Niski odsetek farmaceutów da się prawdopodobnie wyjaśnić po części przeciążeniem, po części wypływa też może i z niewiedomości, czy, jako wolni słuchacze, mają prawo korzystania z biblioteki. W każdym razie niska liczba farmaceutów, posiłkujących się biblioteką, jest charakterystyczną i świadczy o najzupełniej niewystarczającym przygotowaniu do samodzielnego czytelnictwa naukowego.

Dostrzedz można w przeglądzie powyższym jakby zależność czytelnictwa od organizacji każdego wydziału: rozwinięte jest ono bardziej na wydziałach ze swobodniejszą atmosferą naukową, z możliwością specjalizowania się, jak np. wśród filologów, mających najbardziej luźną organizację wydziału, najbardziej podobną do odpowiednich w uniwersytetach zagranicznych. Szczegół ten wyjaśnia wiele stron życia umysłowego naszej młodzieży.

Ogólna forma, w jakiej podaliśmy powyższe stosunki, nie daje może dość wyraźnego obrazu w układzie szczegółów. Uciekamy się do bardziej jeszcze zróżniczkowanego schematu, obejmującego wydziały i kursy, wraz z podziałem narodowościowym studentów. Tablica I ujmuje to w dość pstrą mozaikę cyfr i ukłasyfikowań.

## T A B L I C A I.

W roku 1899/900 liczba studentów:

Kurs i wydział	Liczba stud. wogóle:				Liczba czytających:			
	Ros.	Pol.	Żyd.	Ogółem	Ros.	Pol.	Żyd.	Ogółem
Prawo I	44	87	13	144	36	85	11	132
II	20	84	12	116	11	73	8	92
III	25	93	18	136	21	90	11	122
IV	29	53	8	90	13	52	5	70
Medyc. I	4	92	14	110	3	40	13	56
II	5	32	21	58	2	22	8	32
III	4	26	13	43	3	14	5	22
IV	3	46	18	67	3	18	5	26
V	—	55	19	74	—	7	6	13
Przyr. I	25	104	14	143	18	46	11	75
II	11	12	3	26	9	10	2	21
III	8	16	2	26	4	9	1	14
IV	5	10	6	21	2	10	3	15
Hist.-fil. I	3	6	—	9	3	6	—	9
II	9	1	—	10	9	1	—	10
III	9	2	—	11	9	2	—	11
IV	5	3	—	8	5	3	—	8
Farm. I	—	43	8	51	—	4	6	10
II	—	22	8	30	—	4	6	10
	209	787	177	1173	151	496	101	748

Przedewszystkiem rzuca się niemal w oczy, że odsetek wzajemny czytających nie odpowiada dokładnie liczbie słuchaczy na danych wydziałach, tak więc np. medycy, tworzący 30,9% ogółu, stanowią tylko 19,9% czytających, farmaceuci — 6,9% ogółu — 2,7% czytających, przyrodnicy już tylko z 18,4% ogółu — 16,8% czytających. Największy odskok ujemny tworzą, jak można spostrzedz, farmaceuci i medycy — odwrotnie rzecz ma się z filologami i prawnikami; udział ich wśród czytających przenosi nawet ich stosunek procentowy do ogółu studentów (filolodzy 3,3% studentów a 5% czytających, prawnicy 41,5% ogółu — 55,6% czyt.).

Powróćmy jeszcze do podziału na kursy. Daje się zauważyć, że czytelnicy pierwszych dwu kursów wynoszą 59,6% ogółu czytających, gdy odsetek czytających od studyjujących wogóle na tych kursach jest 64,1%. Następne kursy tworzą 40,4% (301), a w stosunku do reszty kolegów stanowią 67,4% ogółu. *Udział w czytelnictwie przeto kursów wyższych nie jest intensywniejszy, niż na kursach niższych i nie wskazuje tendencji wzrostu, wzmagania się.* Nie jest to jednak zjawisko współrzędnie obserwowane na wszystkich wydziałach — na lekarskim np. obniżanie się ilości czytelników jest najwidoczniejsze: jeżeli liczba czytających na kursie pierwszym wynosi połowę ogółu, to następny kurs wskazuje już zniżkę do  $\frac{1}{3}$ , a ostatni do  $\frac{1}{6}$  nawet! Z drugiej znów strony na wydziałach prawnym i przyrodniczym daje się zauważyć bądź względną równowagę, bądź nieznaczny przyrost; wydział filologiczny wykluczony od wahań, gdyż wszyscy tam czytają; wreszcie u farmaceutów zauważyć można przyrost (I kurs czytających  $\frac{1}{5}$ , II —  $\frac{1}{3}$  ogółu). Nie należy, co prawda, zapominać, że, mówiąc o różnicach w rozwoju i rozmiarach czytelnictwa w zależności od kursów, operujemy cyframi jednego tylko roku, że nie śledzimy zmian, zachodzących w gronie tych samych osób, w szeregu lat, lecz czynimy, jakby przekrój, obserwując poszczególne uwarstwienia.

Z wielką nieśmiałością i zastrzeżeniami popróbowaliśmy jeszcze jednego zróżniczkowania, mianowicie zależnego od narodowości, a raczej odpowiadającego bardziej stosunkom wyznaniowym, — obliczenia bowiem oparto na danych wyznaniowych, co oczywiście nie daje dostatecznej pewności, by odpowiadały zupełnie narodowościowym. Jeżeli jednak z gruba uchwycić w liczby stosunek Rosyan, Polaków i Żydów, to okaże się on następującym:

Z liczby 209 (17,9%) Rosyan	czytało 151 czyli 72,2% ogółu Ros.
„ 787 (67,1%) Polaków	„ 496 „ 63% „ Pol.
„ 177 (15,0%) Żydów	„ 101 „ 57% „ Żyd.

Zestawienie powyższe wykazuje największy udział czytających wśród Rosyan, potem Polaków, wreszcie Żydów.

Zauważyć należy jednak, że interpretacja tego faktu nie byłaby ścisłą, gdybyśmy pominęli okoliczność, że nie jednakowem jest rozmieszczenie narodowości według wydziałów — od czego, jak powyżej uwydatniliśmy, czytelnictwo najbardziej się uzależnia; np. Żydów nie spotykamy zupełnie na wydziale hist.-filolog., gdzie czytelnictwo jest najintensywniejsze, gdy najbardziej przez nich obsadzonym jest wydział medyczny, gdzie znów czytelnictwo jest niemal najszczuplejsze; Rosyanie zaś jakby odwrotnie — zapisani są na wydziały hist.-filolog. i prawniczy, nie posiadają zaś nikogo wśród farmaceutów (najniższy odsetek czytających). Następnie, pomimo że Żydzi sumarycznie wykazują niższy udział od Polaków w czytelnictwie, to znów na oddzielnych kursach (zwłaszcza pierwszych) wykazują wyraźną przewagę (również wśród farmaceutów<sup>1)</sup>; co do Rosyan odwrotnie: ci znów wykazują mniejszy udział od Polaków na wydziale prawnym. Słowem, uwzględniając powyższe szczegóły struktury pierwiastków narodowościowych, możemy znaczne różnice w zainteresowaniu się czytelnictwem nieco złagodzić, a może i sprowadzić do jednego niemal poziomu. Zresztą niejednokrotnie jeszcze uwzględnić będziemy możliwość sprawdzenia, jakie oblicze posiadają poszczególne kwestye w zależności od czynników narodowościowych. Poniekąd chcemy możliwie wszechstronnie wyzyskać całkowity posiadany materiał surowy.

### III.

Rozpatrzmy, jak przedstawiają się stosunki wśród wypożyczających. Liczba dzieł wypożyczonych wyniosła w roku omawianym 5051 w 7671 tomach, co w stosunku do wypożyczających stanowi przeciętnie 6,7 dzieł w 10,2 tomach na każdego<sup>1)</sup>.

Frekwencya roczna biblioteki tworzy liczbę 3005 zgłoszeń, t. j. przeciętnie każdy wypożyczający zmieniał czterokrotnie książki (w 1894 r. przeciętnie każdy wypożyczał 3,5 razy). Oczywiście,

<sup>1)</sup> Odpowiednie dane dla roku 1894 wynoszą: wypożyczono około 5400 tomów, czyli przeciętnie wypada 8,3 tomów na wypożyczającego.

liczby powyższe ulegają licznym wahaniom, w pierwszym rzędzie w zależności od wydziałów:

	Ilość zgłoszeń.	Ilość tomów wypoż. rocznie.
Hist.-filolog.	410 (10,8)	987 (26,5)
Prawny	1624 (3,9)	3974 (9,5)
Przyrod.	447 (3,6)	1189 (9,5)
Farmac.	63 (3,1)	194 (9,7)
Medycz.	461 (3,1)	1327 (8,9)

Studenci wydziału histor.-filolog. jaskrawo odcinają się od reszty kolegów innych fakultetów pod względem intensywności czytelnictwa. Charakterystycznym jest to, że co do ilości wypożyczanych przez każdego dzieł, farmaceutyci zajmują drugie miejsce, podczas gdy medycy ostatnie. Różnice te jednak są nieznaczne. Co do częstości zmieniania dzieł wypożyczonych, *żywości* czytelnictwa, okazuje się, że tylko wśród filologów odbywa się ono co miesiąc, u prawników co kwartał, a na innych wydziałach jeszcze rzadziej. Słowem, *natężenie czytelnictwa wśród filologów przenosi trzykrotnie każdy inny wydział.*

Ze względu na technikę zajęć uniwersyteckich byłoby niezmiernie ciekawe poznanie wahań w wypożyczaniu, zależnie od miesięcy — do tego jednak momentu nie zebraliśmy danych odpowiednich. Na podstawie tytułów dzieł wypożyczanych można przypuszczać, że najintensywniejszy ruch odbywa się natychmiast po rozpoczęciu zajęć uniwersyteckich; zazwyczaj wtedy każdy z profesorów, wprowadzając słuchaczy do swego przedmiotu, zapoznaje ich z odpowiednią literaturą. Ruch ten przerywa się wcześniej lub później w okresie przedegzaminowym. Egzamin i czas przedegzaminowy tyle pochłaniają energii i mozołu, że czytelnictwo wtedy przeciętnie zanika. Gdy uwzględnimy, że w czasie świąt i wakacyj biblioteka bądź wcale, bądź bardzo rzadko jest dostępna — to ocenimy techniczne warunki pracy naukowej w Warszawie.

Stosunek wypożyczeń pierwszych dwu kursów do następnych nie wykazuje wielkich różnic: przeciętnie czterokrotnie zmieniano książki i na każdego czytającego pierwszej kategorii wypadło po 10,3 tomów (4623), drugiej 10,1 (3048) <sup>1)</sup>. Czytelnictwo więc

<sup>1)</sup> Występuje ona nieco silniej, jeżeli wyłączymy farmaceutów, nie mających właściwie odpowiednika na kursach wyższych — przeciętna pierwszych kursów wynosi wtedy 10,4 tom.!

zarówno na wyższych, jak i na niższych kursach jest niemal jednakowe, można nawet dostrzedz pewną *tendencję obniżania się jego natężenia na kursach wyższych.*

Jeżeli uwzględnimy podział narodowościowy, intensywność czytelnictwa przybierze inne oblicze. Pierwsze miejsce zajmą znów Rosyanie, przeciętnie 14 tomów, drugie Żydzi — 11,9, wreszcie Polacy, poniżej przeciętnej, bo 8,8.

Gdybyśmy zechcieli przyjrzeć się powyższym stosunkom, uwzględniając liczbę dzieł wypożyczonych, to stosunki ułożą się podobnie: powyżej przeciętnej 6,7 dzieł wypożyczali jednak tylko Rosyanie (10,7), Polacy (5,3) i Żydzi (6,4) już poniżej.

Zaznaczyliśmy, że wypożyczający stanowią 62,8% ogółu młodzieży uniwersyteckiej; liczba ta jednak jest właściwie za wysoka. Z pośród 748 wypożyczających, systematycznie biorących dzieła było znacznie mniej — wielu zaś zapisanych brało 1, 2, 3 książki w ciągu roku całego (najczęściej, zdaje się, na początku), co właściwie może być uważane, jako zupełne niekorzystanie z biblioteki. Mianowicie:

biorących od 1—5 razy	593
6—10 „	103
11—15 „	35
16—20 „	12
21 i dalej	5

Biorący zatem raz miesięcznie lub częściej (od 11) tworzyli  $\frac{1}{15}$  ogółu czytających, liczba zaś uczęszczających poniżej 5-in razy, t. j. raz kwartalnie, jest przeważająca, ale jeszcze na liczbę tę składają się głównie uczęszczający 1—2 razy:

biorących 1 raz	204
2 razy	157
3 „	113
4 „	67
5 „	52

Nie bez słuszności więc możnaby wszystkich jeszcze biorących 1—2 razy wyłączyć nawet z obliczeń (stanowią 48,2%), przez co kontyngens czytelników właściwych zmniejszyłby się o połowę; gdybyśmy zaś pierwotną liczbę biorących ograniczyli tylko do wykluczenia raz jeden wypożyczających, musieliśmy ją o 28,6% zmniejszyć (do 544 czyt.).

Możnaby spotkać się tu z zarzutem pewnej nieściśłości w stawianiu przypuszczeń, wypożyczający bowiem nawet raz jeden



do roku mógł zaopatrzyć się w dzieła gruntowne i w dostatecznej ilości, by przez czas dłuższy mózdz pracować, nie zmieniając dzieł. Pomijamy, że w bibl. uniw. można jednorazowo wziąć najwyżej 5 dzieł, a więc liczbę dość niską i właściwie z terminem miesięcznym — możemy jednak dla stwierdzenia danych naszych przytoczyć inny szereg liczb, obejmujący ilość wypożyczonych tomów:

Od 1 — 5 tomów	337
6 — 10 „	188
11 — 15 „	95
16 — 20 „	36
21 — 25 „	29
26 — 30 „	20
31 i dalej	43

Według zestawienia powyższego występuje wymownie, że gdy liczba osób biorących ponad 10 tomów rocznie tworzy tylko  $\frac{1}{3}$  część czytających, a ponad 20 —  $\frac{1}{7}$ , to biorący poniżej 5-iu tomów stanowią niemal połowę czytającego ogółu, co dość ściśle potwierdza poprzednio uczynione przypuszczenie. Przytem można też zauważyć, że wypożyczający 1—2 tomów stanowią 20% w tej liczbie, mianowicie:

wypożyczających 1 tom	71
2 tomy	74
3 „	61
4 „	53
5 tomów	78

Wszystkie te obliczenia i zestawienia doprowadzają nas do wniosku, że *stałego, systematycznego zapotrzebowania książek wśród ogółu studentów niema*, że tylko nieznaczny odsetek posiłkuje się w studiach pracą biblioteczną, ogół zaś żywi się surogatami nauki (skrypta i t. p.), które mu wystarczają.

#### IV.

Wymieniliśmy poprzednio liczbę dzieł wypożyczonych: 5055 tytułów — jednak o 143-ch nie posiadamy bliższych danych (nie mogliśmy odnotować tytułów), należało więc je wyłączyć z dalszych

obliczeń (2,8%), uwzględniamy zatem 4912 dzieł. W zależności od treści dadzą się one ułożyć w tablicę II.

T A B L I C A II.

Kurs i wydział	D Z I A Ł Y:														
	Filozoficz.	Matemat.	Przyrodn.	Geografia Antrop. i Etnol.	Medycz.	Filologicz. Język.	Historycz.	Pedagog.	Spolecz.	Prawn.	Technicz.	Sztuka	Lit. Pięk.	Varia	Suma
Przyr. I	31	45	109	7	2	7	51	—	12	5	2	—	162	4	437
II	4	25	36	3	—	—	4	1	6	2	—	—	47	—	128
III	—	15	28	1	—	—	4	—	—	—	—	—	15	1	64
IV	1	23	14	—	—	—	2	6	3	—	—	—	19	—	68
H.-Fil. I	22	—	1	—	—	10	45	—	8	—	—	—	34	1	121
II	2	—	—	—	—	13	73	3	4	—	—	—	61	—	156
III	21	—	2	—	—	1	62	—	12	4	—	2	66	—	170
IV	2	1	—	2	—	8	61	—	—	1	—	6	49	—	130
Praw. I	63	13	26	14	8	17	97	3	84	247	4	—	275	17	868
II	16	1	15	13	7	—	75	3	113	164	—	—	166	9	582
III	43	—	9	1	5	—	44	1	129	349	3	—	75	3	662
IV	15	—	8	3	11	1	44	2	20	360	—	—	120	2	586
Med. I	20	—	95	4	25	4	18	2	8	4	—	3	138	1	322
II	2	—	69	1	16	—	11	1	8	2	—	4	91	—	205
III	7	—	9	—	67	1	10	—	3	—	—	3	23	—	123
IV	2	1	7	—	78	1	2	—	2	2	—	—	25	—	120
V	—	—	6	—	47	—	—	—	—	—	—	1	2	—	56
Farm. I	1	—	14	1	—	—	2	—	3	—	—	—	45	—	66
II	—	—	13	—	10	1	—	—	1	—	—	—	23	—	48
	252	124	461	50	276	64	605	22	416	1140	9	19	1436	38	4912

Tablica uwzględnia podział wedle wydziałów, kursów i dziedzin, na jakie rozklasyfikować można dzieła wypożyczone. Pozwala więc dostrzedz stopień nateżenia i kierunek w czytelnictwie na każdym z wydziałów i kursów, różnorodność w zainteresowaniu się temi lub innemi przedmiotami studyów. Należy jednak mieć na uwadze nie tylko cyfry absolutne — zbyt mało one mówią bez uwzględnienia ilości czytelników na każdym kursie (p. tabl. I).

Przystępując do charakterystyki czytelnictwa studentów, należy przedewszystkiem skonstatować przemożny w niem dział literatury pięknej (około 30%), która na wszystkich wydziałach i kursach stanowi dominującą pozycję; fakt ten należy tem więcej podkreślić, że, jak wzmiankowaliśmy, właściwie biblioteka niechętnie dostarcza książek beletrystycznych, że trudności, jakie się nastroczają przy wypożyczeniu wogóle, nie zachęcają bynajmniej do tego. Po za tem daje się dostrzedz, że struktura czytelnictwa ściśle wiąże się z podziałem na fakultety korzystających z nich. O ile więc na przyr.-mat. dzieła fachowe (przyroda, matematyka) a poniekąd i historyczne są najczęstsze, to znów sztuka, nauki stosowane, prawo, medycyna — wcale, albo prawie wcale nie spotykają się. Czytelnictwo znów wydziału hist.-filol. obfituje najbardziej w nauki historyczne, filozoficzne i filologiczne — po części może społeczne, nie spotykamy wcale dzieł lekarskich, technicznych, etnograficznych, i t. d. Medycy wypożyczają wyłącznie prawie lekarskie i przyrodnicze — nieco historycznych i filozoficznych, najwięcej też dzieł odnoszących się do sztuki. U farmaceutów prócz beletrystyki (prawie  $\frac{2}{3}$ ) spotykamy zaledwie dzieła przyrodnicze i medyczne. Tylko prawnicy objęli najbardziej różnorodne i liczne działy — nie spotykamy tylko sztuki — zresztą po za prawem (niemal  $\frac{1}{2}$  prac wypożyczonych) i beletrystyką ( $\frac{1}{4}$ ), najczęściej wypożyczano dzieła z nauk społecznych, historycznych i filozoficznych.

Umieszczamy tutaj tabliczkę, ułatwiającą oryentowanie się w gmatwaninie cyfr tablicy II — wyobraża ona poczytność we wszystkich dziedzinach na każdym z wydziałów, w cyfrach procentowych.

## Odsetek dzieł wypożyczonych na wydziałach:

Nauki	Ogółem	Przyr.	Filol.	Praw.	Medyc.	Farm.
Filozof.	5,0	5,0	8,2	5,0	3,7	0,9
Matemat.	2,4	15,0	0,2	0,5	0,1	—
Przyrod.	9,7	29,0	0,5	2,1	22,5	23,8
Antrop.	1,0	1,3	0,3	1,1	0,6	0,9
Medyc.	5,5	0,3	—	1,1	28,3	8,3
Fil. i jęz.	1,2	1,0	5,5	0,7	0,8	0,9
Historya	13,0	8,3	41,6	9,6	4,9	1,8
Pedag.	0,3	1,0	0,5	0,3	0,4	—
Społ.	8,3	3,0	4,2	13,2	2,5	3,7
Praw.	23,1	1,0	1,0	41,5	1,0	—
Technika	0,1	0,3	—	0,2	—	—
Sztuka	0,3	—	1,4	—	1,3	—
Lit. Pięk.	29,5	34,1	36,4	23,6	33,8	59,7
Varia	0,6	0,7	0,2	1,1	0,1	—
	100	100	100	100	100	100

Różnice tak wybitne napotykaemy nie tylko przy uwzględnianiu podziału na fakultety — uderza również odmienność czytelnictwa wśród kursów pierwszych i następnych. Gdy przeglądamy spisy dzieł, przeczytanych na kursach pierwszych, uderza przede wszystkim, mile nawet, różnaitość, barwność, co do treści — bliższe jednak wejrzenie odrazu daje w tem poznać niepewność, nieumiejętność wyboru; książki dostają się do ręki przypadkowo, student nie orientuje się przeważnie w kierunku i charakterze swych studyów, nie tworzy planu, nie stawia wytycznych, nie uświadamia następności studyów i czytania. Uwagę jego rozrywa cały szereg kwestyj, pociąga świat różnorodnych zagadnień, zwłaszcza, że słucha szeregu wykładów, odległych od siebie treścią, z których każdy jednocześnie i jednakowo pociąga, a żaden nie rozwija specjalnych zamierzeń, specjalnej chęci wniknięcia w subtelną budowę danej nauki, czy kwestyi.

Pstrokacizna wykładów, różnorodność przeżywanej treści, powierzchowne ogarnięcie przedmiotu studyów — wszystko składa się i na ową mozaikowość w wyborze, a raczej nieumiejętność doboru.

Odbija się to również przedewszystkiem w wypożyczaniu podręczników, dzieł ogólnych, a nawet popularnych (o czem niżej), z zupełnem zaniedbaniem lektury dzieł źródłowych i monografij.

Stan taki spostrzedz się daje na 2, 3 a czasem i ostatnich kursach (zwłaszcza u medyków i prawników). Przyczyny tego masowego objawu doszukać się chyba nie trudno — tkwi ona po za uniwersytetem: oto szkoły średnie, gimnazya nie dają dostatecznego przygotowania i wyrobienia unysłowego, niezbędnego przy studyach uniwersyteckich, nie uzdalniają do zrozumienia odrębności podobnych studyów. Zjawisko to dość dawno zauważono. Jakób Grimm np. w 1864 r. pisze: „Przejście z gimnazyum do uniwersytetu to nie zwykły postęp, lecz przeskok.“ Zresztą skarga ta ponawia się niejednokrotnie, a w najnowszych czasach wypowiedział ją podobnie Paulsen: „skok między szkołą a uniwersytetem jest u nas rzeczywiście bardzo wielki, jest on dla wielu niebezpieczeństwem życiowem.“ Konstatauje fakt powyższy i organ rosyjskiego ministryum oświaty (lipiec 1901 r.), nadaje mu tylko odmienny, swoisty koloryt: „z ukończeniem gimnazyum następuje ostre przejście od dyscyplinarnych urzędzeń szkoły średniej do mniejszej lub większej swobody stosunków w wyższym zakładzie naukowym;“ skutki tego, że „wychowañcy wyższych zakładów naukowych, zwłaszcza kursów pierwszych, zdradzają wielką skłonność do zakłócania porządku i odrzucania wszelkiej dyscypliny, bez której nie może istnieć żadne rozumne połączenie ludzi...“

Znamiennem jednak jest, że rozdzwięk ten uwydatnia się tak silnie u nas, gdzie zdawałoby się, że uniwersytet jest tylko dalszym ciągiem obowiązującej rutyny szkoły średniej, gdyż w dalszym ciągu nakłada na studia pewien ściśle przestrzegany i obowiązujący program — czem tak zasadniczo różni się od podobnych uczelni zachodu, gdzie, jak w Niemczech np., studyujący ma zupełną swobodę wyboru przedmiotów, kierunku studyów; nie krepują, ani ograniczają bowiem żadne przepisy egzaminacyjne i t. d....

Ta „swoboda uczenia się i nauczania“ stała się najbardziej zasadniczą cechą organizacyi uniwersyteckiej. „Studyować, znaczy przeto chcieć dowolnie wybierać,“ pisze Erdmann w swoich wykładach o studyach i życiu akademickiem (1858), dla tego też brak swobody w studyach jest to sprzeczność sama w sobie, zarówno gdy brak swobody występuje, jako przymus, czy jako oba-

wa.<sup>4</sup> Praktyka uniwersytetów niemieckich wciąż stwierdza prawdziwość tego sądu, gdy pozornie zdawałoby się, że system warszawski jakby usuwa (może nasuwa?) owe kłopoty, jakie spotykają słuchacza niemieckiego zaraz na wstępie do uniwersytetu przy swobodzie, a nawet konieczności samowyboru studyów. Ale, gdy na zachodzie pierwsze tylko kroki są tak niepewne, gdyż w dalszym ciągu studyów student wchodzi w bliski stosunek z docentami z jednej strony, z drugiej zaś, rozwijając zakres swych własnych studyów koncentrycznie, przechodząc przez sfery pokrewnych kwestyj i zagadnień, skupia się i opanować może łatwo przedmiot studyów — inaczej jest u nas. Obowiązujący program, dla wszystkich jednaki i wszystko w skrawkach obejmujący, krępuje swobodę samodzielnej pracy naukowej, a narzucając coraz nowe przedmioty nieściśle powiązane ze sobą, które student, chcąc nie chcąc, studyować musi — zazwyczaj dość naiwnie i nieumiejętnie je rozpoczynając, nie wzwyczaja do trybu myślenia i metod danych nauk i pozostawia wciąż po za właściwym „warsztatem pracy naukowej,“ nie oryentującego się w niej i nie uzdolnionego do twórczości samostnej. Rostrzygającym tutaj jest brak ścisłego związku między studyami oficjalnymi a rozwijaniem własnej obserwacji.

Wyborny obraz żądań ustosunkowania tego daje Sybel<sup>1)</sup>: „nie jest to pożądane, ani możliwe, by młody człowiek w sześć do ośmiu semestrów przestudował cały obszar swej nauki. Podobnie encyklopedyczne dążenie wiodłoby przez swą szerokość, zamiast do pogłębiania, tylko do powierzchowności. Istotnem w studyach jest to, by student zyskał jasną świadomość o zadaniach nauki i sposobach, w jaki ona rozwiązuje zagadnienia; niezbędnem, aby na kilku, przynajmniej na jednym punkcie, owe operacye sam przerobił, by kilka problematów prześledził, aż do ostatnich konsekwencyj, aż do punktu, gdzieby mógł powiedzieć, że niema nikogo na świecie, ktoby go w tej dziedzinie zdołał czegoś nauczyć. Tutaj stałby on twardo i bezpiecznie na własnych nogach i rozstrzygał własnym sądem. Świadomość takiego dopięcia duchowej samodzielności własnymi siłami, jest wprost nieoszacowanym dobrem. Niemal jest to obojętne, jaki przedmiot napotkało poszukiwanie, które do tego doprowadziło: wystarczy, że choć na tym drobnym punkcie złamano zależność od szkoły.“

Jak daleką jest praktyka warszawskich studyów od podobnie formułowanych wymagań? Czytelnictwo na tej glebie urastać nie

<sup>1)</sup> Vorträge und Aufsätze. Berlin 1875 r. str. 47.

może, nie przeistacza się nigdy w praktykę życia, chłonie tylko pierwiastki dalekie, książkowe.

Poczytność różnych działów naukowych pomiędzy narodowościami nie zarysowuje zbyt wyraźnych różnic. Polacy czytali najbardziej równomiernie z pośród wszystkich działów, Żydzi prawie wcale nie dotykali sztuki, techniki i pedagogiki, Rosyanie zaś wcale nie czytali techniki. Najpoczytniejszymi były: wśród Polaków prawo, nauki społeczne i historia; wśród Rosyan historia, prawo, filozofia; wśród Żydów prawo, przyroda, nauki lekarskie. W ugrupowaniu tem — wiele przypadkowości; ogólnie da się zauważyć, że wśród Żydów, a poczęści Polaków przeważają działy praktyczne (prawo, przyroda, medycyna), tylko wśród Rosyan kształtuje się to odrębnie.

## V.

Ogólnie naszkicowane powyżej różnice w czytelnictwie wśród studentów, uwidoczną się bardziej, gdy rozejrzemy się w poszczególnych grupach fachowych.

Zauważyliśmy, że przedewszystkiem uderza ogromny procent literatury pięknej (29,2%). Ogarnia ona największą ze wszystkich działów ilość tytułów, co o tyle jest jeszcze dziwne, że ilość źródeł otrzymywania jej jest dość obfita i nie ogranicza się, jak przy literaturze naukowej, jedynie do bibl. uniw.

Literatury pięknej wypożyczono 1436 tytułów, w tem: 137 pism literackich, 220 dzieł klasyków literatury wszechświatowej oraz 1079 dzieł literatury współczesnej, czyli że w sumie książek wypożyczonych z literatury pięknej współczesna stanowi 76,2%, gdy klasycy 15,3% (prawie pięć razy mniej!), pisma 9,5%.

Spróbowałiliśmy wyosobnić jeszcze cechy następujące: z pośród przeczytanych dzieł wypadło na tłumaczenia 21% (304 tyt.), w tem  $\frac{1}{3}$  stanowiły dzieła klasyków, t. j. 101 tytułów, a więc *połowę przeczytanych klasyków nie czytano w oryginałach!* Z dzieł np. klasyków zachodnio-europejskich 23 tylko<sup>1)</sup> wzięto w oryginale, 85 zaś w tłumaczeniu rosyjskim, 15 w polskim. Zależnie

---

<sup>1)</sup> Czyli że nawet  $\frac{1}{6}$  tylko!

od literatur i języków, w jakich czytano, stosunek przedstawia się następująco:

po rosyjsku	1214
„ polsku	144
„ francusku	49
„ łacinie	12
„ niemiecku	8
„ włosku	5
„ angielsku	4

Okazuje się więc, że przeczytana beletrystyka stanowi 84,4% w języku rosyjskim, 10% w polskim, a we wszystkich innych 5,6%! Nadmienić należy, że ogromna większość dzieł w języku rosyjskim przypada na dzieła oryginalne, współczesne (więcej niż  $\frac{3}{4}$ ), a tylko 14,6% na tłumaczenia; w polskim języku również około  $\frac{2}{3}$  dzieł przypada na prace oryginalne<sup>1)</sup>.

Przeważnie zatem wypożyczana jest literatura rosyjska lub przekłady również w języku rosyjskim. Fakt tej nieproporcjonalności potrosze da się tem wytłumaczyć, że największy udział w „spożyciu“ jej przypada na Rosyan, chociaż i wśród Polaków stosunek jest bardzo nierównomierny (przeszło  $\frac{2}{3}$ ), a wśród Żydów jeszcze większy ( $\frac{6}{7}$  prawie). W polskim i innych językach najwięcej jeszcze czytali Polacy. Mianowicie czytali:

	Ogółem	Po rosyjsku	Po polsku	W innych językach
Rosyanie	597	568	7	22
Polacy	623	486	18	18
Żydzi	216	180	119	38
	<b>1436</b>	1214	144	78

Do roztrząsań powyższych dodać należy jeden jeszcze szczegół — oto czytelnictwo literatury pięknej nie rozkłada się jednolicie pomiędzy wszystkich studentów. Owszem, gdy wielu wcale

<sup>1)</sup> Ścisłej: wypożyczono dzieł rosyjskich oryginalnych 828 (klas. 83, współcz. 745), tłumaczeń 262 dzieła (85 klas. i 177 bieżących) oraz 124 pism. Z polskich prac oryginalnych 99 (12 klas., 87 współcz.), pism 8. Z innych literatur współcześni tworzą 48 tytułów.



nie korzysta w tym względzie z bibliot. uniw., to inni wyłącznie tylko lub przeważnie wypożyczali beletrystykę. Okazuje się, że tworzą oni spory nawet odsetek: 36 jedynie, a 101 wyłącznie prawie zadowalało się literaturą piękną, a więc 18,3% nie korzysta wcale z dzieł naukowych. Bezwzględnie największą ilość dostarczyły tu wydziały: prawny (42), przyrodniczy (39) i lekarski (36); potem farmaceuci (11) i filolodzy (9). Stosunkowo jednak najczęściej spotyka się ten objaw wśród farmaceutów, aż u połowy wypożyczających!

Można też spostrzedz, że punkt ciężkości leży tu na dwu pierwszych kursach: 107 faktów (I kurs więcej niż połowę — 76); na inne wypada zaledwie 30. Udział poszczególnych narodowości najwięcej wykazuje Polaków — 48% (66 fakt.), Rosyan 33% i Żydów 18%. Inaczej jednak wypadnie układ ten, gdy odniesiemy je do ogółu czytającego wśród każdej narodowości: Polacy stanowią wtedy 13,3%, gdy Rosyanie prawie 30%, a Żydzi 25,7%.

Dotychczasowe rezultaty poszukiwań zdają się pesymistycznie wróżyć o stanie lektury naukowej: liczba czytających systematycznie zmniejsza się do połowy wszystkich wypożyczających, poprzestających zaś wyłącznie na beletrystyce dochodzi niemal do piątej części czytających. Wszystko to nie stanowi dość pomysłnych zapowiedzi.

Zanim wejrzymy w szczegóły architektoniki czytelnictwa naukowego, nim poznamy subtelnosci jego budowy, należy oświetlić kilka jeszcze ogólniejszych zagadnień.

Lektura naukowa przedewszystkiem przedstawia się, jako nie czerpiąca u samych źródeł — dość choćby zwrócić uwagę na tablicę co do rozkładu językowego dzieł wypożyczonych wogóle, aby fakt ten skonstatować, mianowicie:

Czytają:	Rosy- nie	Polacy	Żydzi	Ogółem
Po rosyjsku	1360	1752	411	3523
„ polsku	18	476	80	574
„ niemiecku	46	182	91	319
„ francusku	55	193	56	304
„ włosku	1	3	—	4
„ czesku	9	7	—	16
„ angielsku	4	9	4	17
„ łacinie	18	21	4	43
„ grecku	2	—	—	2
	1623	2643	646	4912

Okazuje się, że literatura, jaką się studenci posługują, jest wyłącznie prawie rosyjska: stanowi 71,7% wszystkich dzieł, polska już tylko 11,7%, niemiecka 6,5%, francuska 6,2%, a wreszcie w innych językach 1,6%! Zdawałoby się, że szczupłość własnego naszego piśmiennictwa zmusza przede wszystkim do zapoznawania się z literaturami zachodnio-europejskimi. Tymczasem odsetek dzieł w językach tych wynosi zaledwie dziesiątą część wypożyczeń — jest więc tak niski, że gra jedynie przypadkową rolę w czytelnictwie. Punkt ciężkości leży w obfitującej w przekłady literaturze rosyjskiej. Mała znajomość języków obcych wśród młodzieży<sup>1)</sup> nie pozwala korzystać bezpośrednio ze źródeł nauki europejskiej, lecz zdaje ich na łaskę i niełaskę wydawców i tłumaczy, uzależnia od sztabu pośredników i całego szeregu okoliczności często niesprzyjających, zmusza do niekrytycznego posiłkowania się lichymi przekładami lub nawet „oryginalnemi“ elukubratami. Powtarzan, jest to objaw niesięgania bezpośrednio do zrębu nauki europejskiej, lecz czerpania jej cudzemi sagankami. Do jakiego stopnia wystarczać muszą przekłady, wzmiankowaliśmy już przy literaturze pięknej. Ogólnie da się powiedzieć, że ilość dzieł czytanych w przekładach wynosi od  $\frac{1}{4}$

<sup>1)</sup> Wystarczy podać dla uzupełnienia tych twierdzeń, jaka część studentów włada językami zachodnio-europejskimi, czyli posiłkuje się niemi. Korzystających z piśmiennictw nowoczesnych w oryginałach było 174, zatem nieco więcej nad  $\frac{1}{5}$  (przytem tylko z niemieckiej 73, francuskiej 66, z obu 31, wreszcie 4 ang.-niem., ang.-fran.-niem., włos., wł.-fran.). Uwzględniając podział na fakultety, otrzymamy największy udział prawników — 55%, dalej medyków 21%, przyrodników 14%, filologów 10%, i żaden z farmaceutów; co zaś do czytających największy udział wykazują filolodzy, bo niemal  $\frac{1}{3}$  swej liczby (18), gdy na innych stosunek ten nie dosięga  $\frac{1}{5}$ . Pomiędzy niższe i wyższe kursy rozkłada się po połowie. Uwzględniając dalej stosunki narodowościowe otrzymamy ciekawe różniczkowanie: największy odsetek posiadających znajomość języków obcych wykazują Żydzi — 34,6% (35), Rosyanie zaś najniższy — 18,6% (28). Środkowe miejsce, blizkie bardzo ogólnej przeciętnej, zajęli Polacy — 22,8% (113). Pocięsząć się należy, że stan podobny panuje i na Zachodzie; często i tam dają się słyszeć skargi na nieznanomość języków nowożytnych wśród studentów. Na III Zjeździe bibliotekarzy niemieckich (1902) Haekler z Drezna wzmiankuje, że dzieła nieniemieckie „są wypożyczane tylko przez specjalistów, nie przez studentów.“ Toż samo spotykamy i na uniwersytetach w Cesarstwie. W oficjalnie wydanem dziełku (Die Reform der russischen Universitäten) autorowie notują: „wobec braków rosyjskiej literatury naukowej i niskiej znajomości wśród studentów języków obcych, wykłady muszą niekiedy zastępować całą literaturę fachu.“

do  $\frac{1}{5}$  wypożyczeń. Wśród prac naukowych stosunek przekładów wynosi  $\frac{1}{4}$  część (745 dzieł). Stosunek ten olbrzymi uwydatnia tylko, że istotnie nauka u nas jest tylko czemś *egzotycznym*.

Staraliśmy się czytelnictwo dzieł naukowych jeszcze bardziej zróżniczkować — grupy naukowe (tabl. II) rozłożyć na pojedyncze dyscypliny. Nasuwa to wiele trudności i w dużo większym jeszcze stopniu zostawia pole dowolności. Rezultaty nasze dalekie są też od ścisłości; chcąc jednak utrzymać ten podział, jako jasno oświetlający stan czytelnictwa, przytoczymy tu dane ogólne.

Najwięcej przeczytanych dzieł z grup naukowych notują nauki prawne — wyłącznie prawie przytem przez prawników, tylko coś około 2% przeczytano na innych wydziałach. Jakie dyscypliny i w jakich stosunkach złożyły się na ten dział? Najwyższy odsetek tworzą prawo karne i cywilne (po 22%), prawo państwowe i administracyjne już 13,5%, rzymskie 9%, prawodawstwa słowiańskie 8%. Dzieła ogólne, encyklopedyczne 7%, sądownictwo 6% — filozofia prawa 4,5%, międzynarodowe prawo 3,5, handlowe 3 — oraz reszta 1% w minimalnych ilościach z prawa kościelnego, fabrycznego i hipotecznego. Można też spostrzedz, że o ile dzieła charakteru ogólnego (encyklop., filoz. prawa) jednakowo są reprezentowane w czytelnictwie różnych kursów, to wyraźne różnice znaczą się w prawie rzymskiem (1 kurs) i prawodawstwach słowiańskich (2 pierwsze), oraz karnem i cywilnem i sądownictwie (kursy wyższe prawie wyłącznie). Inne gałęzie nie wskazują w swem ukształtowaniu żadnej prawidłowości.

Drugą, podobnie izolowaną grupę fachową, tworzy literatura medyczna, czytywana znów przeważnie przez medyków. Największa liczba dzieł przypada na patologię ogólną (20%), a wraz z dyagnostyką i terapią ogólną tworzą 39%. Nauki farmaceutyczne (farmacja, farmakognozya, farmakologia) 16%, psychiatria i neurologia 15%. Znacznie mniej wypada już na inne działy: 6% tworzą choroby skórne i weneryczne, po 4% higiena, aku-szerya, med. sądowa i choroby wewnętrzne, po 3% chirurgia i oftalmologia oraz 2% choroby dziecinne. Rozkład co do kursów w naukach ogólnych jednakowy mniej więcej — specjalne gałęzie głównie na wyższych, z wyjątkiem chorób wenerycznych, aku-szeryi i umysłowych. — Inne fakultety (prawo) głównie psychiatria i med. sądowa, potrosze aku-szerya (!) i chor. weneryczne.

Językoznawstwo i filologia tworzą również umiejscowioną na jednym wydziale grupę, składającą się w  $\frac{1}{2}$  z dzieł z filozofii klasycznej, oraz w  $\frac{1}{3}$  (28%) z teorii literatury i stylistyki. Na językoznawstwo porównawcze wypada 7%, a słowiańskie 15%. Naj-

intensywniejsze czytelnictwo daje się dostrzedz w tych gałęziach na kursach pierwszych, zwłaszcza z filol. klasycznej, tylko dzieła stylistyczne bardziej czytano na ostatnich kursach.

Matematyka zamyka powyżej naszkicowane grupy fachowe, czytywane wyłącznie niemal przez studentów pewnego wydziału. Dzieła ogólne matematyczne, lub obejmujące kilka działów, elementarne wreszcie, wyniosły 30%, rachunek różniczkowy i całkowy 28%, wyż. algebra 12, geometrya z trygonometrią, mechanika i analiza po 10%. Nie wkluczyliśmy tu dzieł należących do astronomii, przenosząc je do działu przyrodniczego, który przede wszystkim wyodrębnia się od powyższych grup brakiem owego rysu wyłączności wydziałowej — i rozkłada się dość równomiernie pomiędzy kilka fakultetów.<sup>1)</sup> Chemia jest najbardziej poczytną:  $\frac{1}{4}$  część wypożyczeń (23%), potem fizjologia 16%, fizyka 15%, anatomia 11%, zoologia 8%, astronomia 7%, tyleż botanika, nieco mniej 6% biol. ogólna, 3% mineralogia, 2% geologia i histologia. Anatomia i fizjologia, głównie wypożyczane były przez medyków ( $\frac{3}{4}$ ), wśród przyrodników nauki fizyko-chemiczne i astronomia, wśród farmaceutów botanika i zoologia. Prawnicy korzystali ze wszystkich działów równomiernie. Obok przyrodoznawstwa postawić należy nauki historyczne — również czytane równomiernie prawie na wszystkich wydziałach (główn. filol. 45%). Przeszło  $\frac{1}{2}$  dzieł przypada na historię powszechną, około  $\frac{2}{5}$  na hist. literatury, około 8% na historię kultury i 2% na filozofię historii.

Podobnie ma się i w naukach społecznych — choć tu prawnicy przeważają w czytelnictwie ( $\frac{3}{4}$  dzieł). Najwięcej poczytnym był dział ekonomii politycznej (38%), 27% tworzyła statystyka, skarbowość 22 i wreszcie socjologia 13%.

Ostatnia liczniejsza wreszcie grupa, jaką poddaliśmy dalszemu różniczkowaniu — nauki filozoficzne najbardziej jednolicie układają się między wydziały, przytem przeszło połowa (56%) przypada na ścisłą filozofię (w tem  $\frac{1}{4}$  klasycy). Następne miejsce zajmuje psychologia 21%, etyka około 11%, estetyka 10% i wreszcie logika tylko około 2%!

Z pozostałych działów najzasobniej wygląda jeszcze geografia wraz z antropologią i etnografią. Dział to najpoczytniejszy wśród prawników, zawiera około 40% dzieł ściśle geograficznej treści (najczęściej powtarza się tu nazwisko Reclus); oba pozostałe działy wynoszą około 60%.

<sup>1)</sup> Przyrodniczy 40%, medyc. 39%, prawo 14%, farmacja 7%.

Resztę grup, jako już mniej więcej jednolite, nie poddawaliśmy dalszemu podziałowi — zresztą grają one i w czytelnictwie młodzieży naszej przypadkową niemal rolę. Zwrócić należy tylko uwagę na dość znamienne ugrupowanie w zależności od fakultetów. Okazuje się, że dzieła z zakresu sztuki czytane były tylko wśród medyków i filologów, dzieła pedagogiczne — na wszystkich wydziałach, z ogromną przewagą u prawników, potem przyrodników, gdy technika — tylko wśród dwu ostatnich grup.

Możemy zamknąć drobiazgowo te roztrząsania, poświęcając kilka słów wyjaśnieniu, co pomieściliśmy w ostatnim dziale tabl. II: Varia. Są to przeważnie pojedyncze dziełka, których nie umieliśmy wtłoczyć do żadnego z działów (jak 2 biblie, Żywoty Świętych ks. Prokopa, Reussnera metody nauki języków, podręcznik stenografii, libretta oper etc.) lub dzieł pomocniczych przy studiach, jak kilka słowników i wreszcie różne „osobliwości,” w rodzaju: „Snowidienija,” „Tajny żeńskiego monasteria,” „O bolezniah diawic,” oraz wypożyczony w karnawale „Deklamator” Starkmana! Prawdopodobnie ilość ta dałaby się znacznie jeszcze wzbogacić tytułami z grup innych, zwłaszcza dodaniem różnych „Poradników dla mężczyzn,” „andrologii,” dziełek o chorobach kobiecych i t. p. niewypożyczanych przez medyków.

Rzuciliśmy obraz stosunków czytelnianych wśród młodzieży, jakości studyów, obraz jednak rozstrzępiony na szczegóły. Chcąc ująć całość, zarzucić musimy dotychczasowy analityczno-statystyczny rozbiór i spróbować pewnej syntezy, pochwylenia momentów indywidualnych, tułających się po za szeregami cytowanych cyfr. Trzebaby rozluźnić związek między temi kategorjami kolektywnemi, jakie wykryła statystyka; zbiorowości te nie istnieją w układzie równomiernym wśród żywych indywiduów, owszem układają się w nieznanne i najróżnorodniejsze kombinacye, z których dopiero wyrasta cała pełnia życia zbiorowego. Ogarnąć ten tłum intelektualnych istnień, tę mnogość różnic umysłowych prawie niepodobna na podstawie tak skąpego materiału, jaki posiadamy. Tu niezbędne jest wypowiedzenie się — a więc materiał, dostarczony przez ankiety. Jest to właśnie niezrównana ich wyższość ponad zwykły materiał bibliotek, ta możność oparcia się bezpośrednio na mniemaniach i sądach — gdy nam pozostaje bardziej przypadkowa sfera *skojarzeń* w doborze dzieł, w układzie czytelnictwa osobniczego. Otóż i tu poprzestać trzeba na uwydatnieniu niektórych tylko jakby typowych (może wyjątkowych?) zjawisk. Wśród większości zbyt słabo zarysowuje się jakikolwiek bądź charakter

pracy umysłowej — wypożyczenie kilku dziełek zbyt szczupłym jest podścieliskiem, by zeń coś snuć dalej można; próbujemy więc tego wśród mniej licznych, lecz wiele wypożyczających osobników.

Nie chcielibyśmy tu jeszcze wprowadzać nowych kategorii, klasyfikować; niezbędną jest jednak rzeczą wskazać na istnienie pewnych typów gatunkowych, różniących się charakterystycznie w czytelnictwie *formalnym*. Mamy więc przede wszystkim stłoczoną grupę poprzestających na wypożyczaniu dzieł z zakresu specjalności, najczęściej nawet nie sięgającą w głąb fachu — to dopełnianie kursów. Tu właśnie ciekawie się przedstawia zależność wyboru od wpływu wykładów. Na tych samych kursach spotyka się często bardzo identyczne wprost spisy rzeczy pobranych, ogromną jakąś monotonię. Przemawia to silnie za postawionym wyżej przypuszczeniem, że grają tu przemożną rolę wpływy obce, że własna inicjatywa, umiejętność doboru, orientowanie się w przedmiocie, są rzeczami drugorzędnymi. Inny znów świat ujrzymy, gdy dotkniemy czytelnictwa wśród uprawiających „włóczęgostwo umysłowe“, jak to trafnie nazwał Liard — niema tu żadnego ośrodka, punktu krystalizacyjnego, ale niema też owego specyficznego szablonu, tak odcinającego grupę poprzednią. Przelewa się pełnia życia intelektualnego, moc różnorodnych potrzeb, budząca gorączkę twórczą i pomysłowość doboru. Pożądania rozlały wartko, daleko po za możliwość jednoczesnego ścisłego ujęcia tych fal — i tu przestaje osobnik panować nad przedmiotem — ale z nawiątku nie zaś absenteizmu. Specjalizacja jest tu w pogardzie.

Można też dostrzedz i trzecią grupę najbardziej zrównoważonych — tych, co zda się opanowali przedmiot studyów, kierują się pewnym planem — nie robią tych olbrzymich skrętów i odchyłeń we wszystkie strony, lecz nie poprzestają na dopełnianiu wykładów. Ale jest to też typ niejednolity; są tam możni, dla których wszelkie te sploty dążeń, zapatrywań, miar, ocen, krzyżując się, stworzyły jakieś nowe istnienia, odrębne od pierwiastków składowych, od tworzywa — jakiś zlew mocny, syntezę — dały ujście napiętej pracy naukowej. Są jednak i bojaźliwe, mniej samodzielne osobniki, które nie przetrawiły samej tej z zewnątrz narzucającej się różnorodności, popchnięte, dostały się na drózkę mierności. Chwiejne typy, najbardziej jałową uprawiające metodę średniactwa, wodzone na pasku cudzej myśli w cudzym rynsztunku faktów. Nie zamyka to bezmiaru indywidualnych odchyłeń i różnic — typów kowali i rozproszonych, rodzajów umysłowości, temperamentów — daremną jest próba ujęcia barwności tłumy...

Ogólne te rysy należy zdemonstrować, przedstawić konkretne postaci. Pocznińmy od owych średniaczych wzorów. Jako rys wysoce znamienny dla tej grupy to fakt, że przy studiach fachowych wypożyczają oni dzieła z dziedzin ubocznych nierównej wartości, np. przyrodnik prócz dziełek ogólnych przyrodniczych, podręczników, nie wkraczających ściśle w zakres uniwersyteckich (np. Potylicyn, Chemia), wypożycza też prace najzupełniej ściste z innej dziedziny (Klaus, Zoologia), fundamentalne (jak dzieła Darwina) i znów zupełnie odległe i co do miary i charakteru (Bodouina de Courtenay, Rozprawę o staropolskim języku, i Tarnowskiego Studya z XIX w.). Na tym samym wydziale ktoś inny prócz „Kapitału,” wypożycza parę podręczników medycznych i przyrodniczych i znów parę broszur o zagadnieniu szczęścia i Szczapowa — Rys historyczny wierzeń ludowych. Jeżeli chodzi o historię i jej teorię, to tłuką się najczęściej dzieła Drapera rzadziej Buckla, Kolba — wypożyczają je licznie na wszystkich kursach, nie zdając sobie chyba sprawy z ich historycznego znaczenia; nigdzie niema dalszego rozwinięcia tych prób, nie spotykamy dawniejszych lub nowszych myślicieli. Inni z tej grupy poprzestają często na przedmiotach studyów danego kursu czy wydziału, ale również z najróżnorodniejszych dyscyplin, jakby w poszukiwaniu czegoś... Np. medyk dotknął histologii, chemii fizyologicznej, psychofizjologii, anatomii porównawczej, anatomii patologicznej, chemii fizycznej i bakterjologii — nie zmieniamy porządku wypożyczeń; wysoce to uderzająca, ta pozorna być może, a stale spotykana beładność. Jeszcze kilka przykładów — znów medyk: bakterje, embryologia, fizjologia, chemia, kobieta Plossa i listy Liebiga. Prawnik obok dzieł z historii i literatury polskiej interesuje się kwestyą włościańską (z zagadnień społecznych najbardziej może wogóle studyowaną), pozytywizmem w historii, ziemstwami, katolicyzmem i zakonem krzyżackim; ktoś znów inny na tym samym kursie i wydziale zajmuje się jezuitami, historią zach. Europy (najczęściej wypożyczano dzieło prof. Kariejewa), Filipem II, Grecyą i Rzymem, Turkami, położeniem ekonomicznem Rosyi i t. d.; jeszcze jakiś filolog: jezuityzmem, Ign. Loyolą, Filipem II, historią zach. Europy. Przekraczamy powoli granicę, oddzielającą tych, co utrzymywali jeszcze pewną miarę i granice w doborze a istotnymi włoścęgami po obszarach wiedzy — bezsilnie szamocących się jakby o wszechwiedzę. Przyrodnik, biorąc najwyżej dwie książki z jednego działu, wypożyczył: dziełko Drapera, o spirytyzmie, o laboratorium domowem, mikroorganizmach, balladach Szyllera, życiu zwierząt, elektryczności, Ziemia i Ludzie (Reclus), dziełka Flamma-

rona i nieco powieści. Jeszcze inny przyrodnik (III kurs) prócz powyższej książki Reclus'a - wypożycza podręczniki histologii, chemii, geologii, o cywilizacji pierwotnej, teorii literatury, hist. polskiej i „Pamiętnik fizyograficzny.“ Przykłady bardziej jeszcze potarganych usiłowań spotykamy wśród tych, u których nie widać śladów studyów fachowych - to tylko wędrowcy po odległych od siebie nawet dziedzinach. Prawnika np. zajmują zagadnienia przestępstwa, literatura, pozytywizm, pomoc własna (dzieła Smileasa nie stanowią wogóle rzadkości); innego prawnika: kwestya włościńska, filoz. przyrody, rozwój umysłowy Europy (Draper), Walka o prawo (Ihering), hist. cywilizacji (Guizot), rozwój kapitalizmu, statystyka, socyologia i t. d.; przyrodnika: Buddyzm, budowa materii, hist. stos. wiary do rozumu; medyka: prócz kilku podręczników ekonomii, studyum o własności, socyologia Spencera, szkice psychologiczne, dziełka o materyalizmie - parę tylko książek z przyrody (o cieple i życiu zwierząt). Inne jeszcze odchylenia tworzą zbaczający jakby do lubowania się w sensacyi: prawnik, wypożyczający np. Tajny żeńskiego monasteria, kilka powieści: Tragedye Paryża, Żyd wieczny tułacz, obok Tołstoja, Niekrasowa, Byrona, dalej dzieła Reclus, Puzyrewskiego (rok 31), pamiętniki Berga i kilka podręczników akuszeryjnych i chorób sekretnych. Jest to zlew jakby jednoczesny lichot i dzieł wartościowych, niezrozumiały kompleks różnych uwarstwowień. Podobny przykład medyka (I kurs): wypożyczył on tylko parę książek o chor. wenerycznych, Andrologię, poradnik dla mężczyzn i dziełko „O przypadkach sła dostrastia.“

Nieliczną grupę tworzą ci, co widać jasno zdają sobie sprawę z zakresu i rozległości swych studyów, umiejętnie i z opanowaniem techniki czytelnictwa umieją pracować - wysunę kilka postaci. Wielu interesuje świat Grecyi i Rzymu - literatura i sztuka jednych, filozofia lub historia innych. Część zatrzymała się na odrodzeniu, Włoch zwłaszcza, czuje się jakby koncentryczność ich studyów - przeważnie też posiadają znajomość języków nowoczesnych. Kilku studyuje historię i literaturę, inni psychologię (często w związku z psychiatrią i med. sądową) i filozofię, zwłaszcza nowożytną. Najczęściej też wiele wypożyczają, np. prawnik IV kursu 166 tomów! Studya gruntowne, prawie wyłącznie prawne. I w tej grupie poważnych już studyów dostrzegamy czasem włóczęgostwo, ale jakby wyższego stopnia - wypożyczają rzeczy różnorodne, ale wysokiej wartości np. dzieła Darwina, Kapitał, albo dzieła Wagnera, Malthusa, Buffona i Fischera (o Fauście Göthego), inny historię Mommsena, psychologię Spencera, Hegla



estetykę i... Struvego logikę. Nad grupą na samym wstępie charakteryzowaną, nie zatrzymujemy się — typ to „kowali“ dość pospolicie i nieoryginalny.

Musimy zrzec się chęci wyrazistego odtworzenia najczęstszych nawet postaci; aby wyczerpać tu odcienia i różnice, trzebaby bogatszego, żywszego, bardziej plastycznego materiału. Dostarczyć go mogłyby tylko wywiady — uniejętnie przeprowadzona ankieta. Może ktoś jeszcze oświetli z tej strony studia młodzieży.

Chcąc wniknąć całkowicie w morfologię czytelnictwa, nie można poprzestać na pozytywnym stwierdzeniu faktów, studyów nad tymi lub innymi przedmiotami. Należałoby oświetlić i negatywną stronę: czego w nich brakuje. Czyniliśmy to poniekąd pośrednio — materiał jednego roku nie pozwala czynić zbyt ryzykownych w tym kierunku prób — zwracamy tylko uwagę na możliwość osiągnięcia tego punktu widzenia przy obfitszym, z lat kilku zgromadzonym materiale. „Nic nie zdaje mi się bardziej znaniennem dla duszy jakiegoś narodu kulturalnego, — pisze w dość ciekawym o tej kwestyi przyczynku p. Laban<sup>1)</sup> — przynajmniej dla jakiegoś ukształtowania w pewnym przeciągu czasu, jak okoliczność, jakich książek uporczywie *nie chce* czytać. Rozumie się myślę tylko o dziełach najwyższej wartości, o dziełach ogólnie ludzkiej treści, o horyzoncie obejmującym światopogląd, w którym genialna jednostka wyraża całą wysokość i głębię swej wiedzy i odczuwania.“ Dzieła takie byłoby, jak zaznaczyliśmy, zbyt ryzykowne wymieniać, ale są działy całe, które istotnie nie weszły zupełnie, lub prawie zupełnie w skład czytelnictwa.

Co uderza przedewszystkiem — charakterystyczne dla wszelkich, nawet najpoważniejsze studia prowadzących — to brak studyów nad historią nauk, brak znajomości rozwoju, studyowanych gałęzi naukowych (niema odpowiednich katedr). Dzieła przestarzałe przyjmowane są na równi z dorobkiem i systematyzacją dzisiejszą. W takim sprzężeniu spotykamy często filozofię przyrody Herschla, dzieła Buckle'a Drapera. Prawnicy wśród najbardziej poczytnych i używanych dzieł mają prace Maciejowskiego, pogrzebanego przez krytykę oddawna (tu wpływ wykładów o praw. słowiańskich). Wypożyczanie wszystkich tych utworów na równi z nowszemi badaniami z innych dziedzin, nie w związku historycznym, świadczy jakby o nieoryentowaniu się w ich właściwej roli. Następnie,

---

<sup>1)</sup> Ungelesene Bücher, als Zeichen der Zeit“ Deutsche Rundschau 1902, str. 431.

dość wymienić, że w okresie tak żywych sporów i dyskusyj (również w sferze studentów) o sztuce, tylko kilka dzieł o niej wypożyczono, dalej, że przy wzroście mistycyzmu i prądów okulty-stycznych nie tknięto ani jednej bodaj o tem pracy. Toż samo da się powiedzieć o teologii i umiejętnościach pokrewnych. Przy natężonem dość czytelnictwie w zakresie społecznoznanstwa tknięto ledwie tyle dziś omawiany kierunek materyalizmu dziejowego— kilka razy spotykamy tylko nazwisko autora Kapitału, a zupełnie na uboczu pozostała kwestya wartości. Wypożyczano zaledwie popularne streszczenia. Wkraczamy jednak tu w granice sztucznych ograniczeń... W związku ścisłym z temi warunkami stoi brak publicystyki, co dowodziłoby jakby zupełnego nieinteresowania się sprawami dnia, życia bieżącego. Dane biblioteki nie są tu miarodajne — z jednej strony, gdyż książki do biblioteki dostają się po pewnym czasie, tracą zazwyczaj już swą aktualność, zresztą są w ilości ograniczonej, z drugiej strony są to książki, jakie studenci najczęściej kupują. Złe warunki materyalne sprawiają, że przeciętnie student warszawski rzadko ma niezbędne podręczniki, ale posiada każdą z prac ulotnych, interesujących go.

(d. n.).

KONSTANTY KRZECZKOWSKI.

# Druki litewskie.

Dzień 24 kwietnia (7 maja) 1904 roku rozpoczyna nową erę w kulturze ogromnej większości narodu litewskiego, mieszkającej w granicach państwa rosyjskiego, otwierając dostęp legalny do niej piśmiennictwa litewskiego, drukowanego czcionkami łacińskimi, stanowiącemi wiekową jej przynależność.

Zadaniem niniejszej rozprawki jest próba ujęcia w ramy cyfrowe dotychczasowego dorobku wydawniczego w języku litewskim oraz krótkie skreślenie dziejów, poprzedzających ten epokowy dla narodu litewskiego wypadek.

Źródłami, na których oparłem moje obliczenia, były następujące trzy wydawnictwa: 1) Bałtromajtis S.: „*Spisok litowskich i drewnie-prusskich knig, izdannyh z 1553 po 1891 god.*“ Petersburg 1892 r. 8-o str. 96, odbitka z rocznika ces. tow. geograficznego; 2) Chronopolitanus: „*Lietuviškoji bibliografija*“ w czasopiśmie „Warpas“ 1893 r., zeszyt 5 (uzupełnienie spisu Bałtromajtisa) i 3) Zanavikutis A. Jonas: „*Catalogue des Livres lithuaniens imprimés dès 1864 à 1899 hors de Russie, où les impressions lithuaniennes sont interdites.*“ Paryż 1900 r., 8-o, str. 28.

Ruch wydawniczy litewski dziś da się podzielić na trzy zasadnicze okresy, spowodowane zarządzeniami w państwie rosyjskiem.

*Okres pierwszy*, trwający lat 320, rozpoczyna się od wyjścia w Królewcu z pod tłoczni drukarskiej Hansa Weinreicha w r. 1545 pierwszej niewątpliwiej książki litewskiej w narzeczu staro-pruskim p. t. „Catechismus“ aż do r. 1865, w którym zapadł znany

zakaz używania w drukach litewskich pod berłem rosyjskiem czcionek litewskich; *okres drugi* zupełnej banicyi druku litewskiego z granic Rosyi w ciągu lat 40, aż do r. 1904 i wreszcie *okres trzeci*, zapoczątkowany w roku bieżącym, przez zniesienie zakazu.

## I.

Za pierwszego autora, piszącego w języku litewskim, dotychczas uważany jest Stanisław Rapagellan pierwszy profesor wszechnicy królewieckiej, zmarły w r. 1545, który przełożył na ten język pieśni polskie i niemieckie; wszakże niewiadomem jest czy te pieśni wydane zostały za życia jego.

Wogólności dotychczas niemamy żadnej pewności, ażeby przed rokiem 1545 wyszła z druku jakabądź książka litewska. Wprawdzie Teodor Narbutt w swych „*Dziejach Narodu Litewskiego*“ (t. IX, str. 287) zapewnia, że widział „*Wyprawę duszy na tamten świat i t. p.*“ t. j. agendę, drukowaną w Wilnie u Andrzeja Lesciucia (Leczyckiego) w r. 1533 po polsku, łacinie, litewsku i niemiecku, lecz twierdzenie to wydaje się mocno fantastycznym, zwłaszcza, że drukarz o podobnem imieniu i nazwisku nigdy w Wilnie nie istniał. Przeczy też temu stanowczo sumienny badacz literatury litewskiej Maurycy Stankiewicz w swej „*Bibliografii litewskiej*.“

Dla tego też dotąd za pierwszy druk litewski, aczkolwiek w narzeczu pruskim, uważać musimy „*Catechismus in preüssnischer sprach, gecorrigiret und dagegen das deüdsche. Gedruckt zu Königsberg inn Preüissen durch Hans Weinreich. MDXLV.*“ (in 4-o, str. 15), którego, zdaje się jedyny, egzemplarz znajduje się w Ces. Bibl. Publ. w Petersburgu. Dopiero we dwa lata potem, z tejsze oficyny królewieckiej, wychodzi pierwszy druk w narzeczu górno-litewskim Marcina Mosvidius'a: „*Catechismusa Prasty Szadei, Maksas skaitima raschta yr giesmes del kriksczianistes bei del bernelin iaunu nauiey sugulditas. Karalianczui, VIII dena Menesas Sausia Metu uszgimima Diawa MDXLVII* (dnia 8 stycznia 1547 r.). *Ischbruktas Karalauczui per Jana Weinreicha metusu ijr dienagi, kaip aut pradžias Knigielin ijra*“ (16-o str. nlb. 79). Jest to pierwszy elementarz, katechizm i śpiewnik w jednej książce.

A więc w r. 1905 ubiega 360 lat od wyjścia w świat pierwszej, znanej nam, książki litewskiej.

W porównaniu z polskim, druk litewski jest o 70 lat młodszy od niego, literatura polska bowiem w r. 1875 obchodziła

400-lecie pierwszego swego druku: „*Ojcie nasz, Zdrowaś i Wierzę*,” napisanego w języku polsko-czeskim i dołączonego do statutów synodalnych biskupa wrocławskiego z r. 1475.

Królewiecki drukarz *Jan Weinreich* jest tedy pierwszym drukarzem litewskim, z którego oficyny w d. 20 kwietnia 1549 r. wychodzi trzecie z rzędu i zarazem ostatnie jego dzieło w tym języku p. t. „*Giesme S. Ambroszejiaus, bey S. Augustina, kure vadin: Te Deū laudamus. Su gesmemis ape ischnumirusiu priekelima Jesusaus Christaus. Isgulditas per M. Mossuida Waitkuna etc. Aut nau-dos Ragaynes Baszniczey ir Kitu etc.*” Mała ta książeczka w 16-o o 12 stronach nieliczbowanych, jak tytuł opiewa, zawiera przekłady hymnu „*Te Deum laudamus*” i pieśni o Zmartwychwstaniu Pańskim, sporządzone przez, znanego już nam, Marcina Mosvidius'a (*Mażwyds* według Ostermeyera i *Mastwidus* według Karłowicza) było jego nazwisko w pierwotnem nieskażonem brzmieniu) na użytek kościoła w Ragnecie. Natrafił na nią przypadkowo dr. Zygmunt Celichowski, kustosz biblioteki kórnickiej w oprawie Postyli Seklucyana, drukowanej w Królewcu w r. 1556 przez Augzdeckiego. Podobizna jedyne go jej egzemplarza wydaną została nakładem biblioteki kórnickiej w Poznaniu w r. 1897.

Następcą Weinreicha w Królewcu został *Johan Deubner vel Daubman*, który w r. 1559 wydaje formularz chrztu i w r. 1561—Katechizm Marcina Lutra w przekładzie dla Litwinów. Po nim od r. 1579 do r. 1600 *Georg Osterberg* wypuszcza w świat 7 ksiąg litewskich.

Język litewski pod ten czas cieszył się już tak wielką wagą, że nawet rząd pruski w r. 1578 ogłasza drukiem w tym języku manifest margrabiego brandeburskiego Jerzego Fryderyka, datowany w Tylży w d. 6 sierpnia tegoż roku.

Dopiero w r. 1595 ukazuje się pierwszy *wileński* druk litewski. Jest nim katechizm Jakóba Ledesmy Jezuity w przekładzie ks. Mikołaja Daukszy na narzecze dolno-litewskie czyli żmujdzkie. Najstarszy w tem narzeczu i przez to nieoceniony dla badaczy języka litewskiego ten zabytek poza miejscem i rokiem nieposiada wymienionej drukarni. Zdaje się atoli być niewątpliwem, że wyszedł on z oficyny akademii O.O. Jezuitów, we cztery lata bowiem potem jezuita wileński wydają „*Postillę katolicką*” w tłumaczeniu tegoż Mikołaja Daukszy.

Literatura litewska zawdzięcza drukarni jezuickiej w Wilnie dwa dzieła, posiadające dla niej pierwszorzędną wartość. W roku 1629 ukazują się „*Punkty kazań od Adwentu aż do Postu Litewskim językiem z wytłumaczeniem na Polskie*” i pierwszy „*Słó-*

wnik“ polsko-łacińsko-litewski. Autorem obu dzieł jest głośny na swój czas kaznodzieja, jezuita Konstanty Szyrwid, urodzony na Żmujdzi.

Rok ten stał się w drukarstwie litewskim rokiem zwrotnym, dotąd bowiem wszystkie książki litewskie drukowano czeionkami o charakterze gotyckim, gdy zaś w r. 1629 Kazania Szyrwidą w połowie tekstu odbite zostały *poraz pierwszy czeionkami łacińskimi*.<sup>1)</sup> Nieznanem jest wcale pierwsze wydanie słownika Szyrwidowego, domyślać się jednak wolno, że będąc dziełem jednego autora i drukarni z „*Kazaniami*“ i wydany w tymże, co i one, roku — musiał być również czeionkami łacińskimi obok gockich odbity.

Zmiana być może spowodowana została chęcią jezuitów wyróżnienia druków katolickich od luterskich i kalwińskich, których ilość, w zależności od potęgowania się ruchu reformacyjnego na Litwie, zastraszająco dla katolicyzmu wzrastać pod ten czas zaczęła, znajdując miejsce w Wilnie, lub w pobliżu niego.

Tak w r. 1598 wilnianin *Stanisław Wierzeyski* drukuje „*katechizm polsko-litewski*“, a w r. 1600 opuszcza oficynę wileńską *Jakóba Morkunasa „Postylla litewska“* wydana nakładem księcia Krzysztofa Radziwiłła. W radziwiłłowskich Kiejdanach w r. 1653 z rozkazu i sumptu księcia Janusza *Joachim Jerzy Rhetas* drukuje odrazu aż cztery książki religijne kalwińskie: kancyonał, ewangelie, modlitewnik i katechizm, zaś z polecenia zboru kiejdańskiego w r. 1660 rozpoczęto w Londynie druk Biblii, niedokończonej jedynie z braku funduszków, której jedyny egzemplarz przechował się w księgozbiornie Akad. Duchownej Katolickiej w Petersburgu.

Tymczasem w Królewcu w dalszym ciągu zatrudnieni są wydawnictwem ksiąg litewskich drukarze XVII-go stulecia: *Johan Fabricius* w r. 1612 (3 druki); *Lorenz Segebad* w 1625 r. (1 druk) i *Fryderyk Reyzner* od 1666 do 1701 r. (4 druki).

Wiek XVIII liczbę książek pomnożył prawie w czwórnasób, zawdzięczając usilnej w tym kierunku pracy duchowieństwa katolickiego. W Wilnie stale rozwija swą działalność wydawniczą drukarnia jezuicka, która po kassacie zgromadzenia, jako drukarnia akademicka, nadal drukuje w języku litewskim i do r. 1799 włącznie wydaje ok. 32 dzieł, oczywiście treści wyłącznie religijnej. W r. 1765 *X.X. Franciszkanie* drukują jedną książkę, a od r. 1779 zaczynają stale się ukazywać druki z oficyny *O.O. Bazyliańców* wileńskich.

<sup>1)</sup> Później w drugiej połowie w. XVII-go z oficyny jezuickiej wyszło jeszcze parę książek, drukowanych czeionkami gockimi.

W Królewcu drukuje w dalszym ciągu Fryderyk Reyzner; *Eckart* w 1727 r. (1 druk); *Filip Cristup Kauter* w 1755 r. (1 dr.); *drukarnia królewska* w 1757 (1 dr.); *Johan Endricus Hartung* w latach 1755 i 1757 i *G. L. Hartung* od 1763 r.

Za granicą w tym wieku wychodzi w Berlinie w r. 1724 odezwa królewska z d. 9 sierpnia tegoż roku i w Halli w latach 1736 i 1740—pieśni pobożne luterskie.

Dopiero w pierwszych latach XIX stulecia ruch wydawniczy litewski czyni skok nagły ilościowo i ogniskuje się w stolicy gedyminowej dokoła renomowanej wszechnicy litewskiej. Duchowieństwo wileńskie w ruchu tym bierze stale znaczny udział: *O.O. Bazylianie* aż do r. 1835 (ok. 23 książek), a *X.X. Misyonarze* od r. 1805 do 1845 (ok. 32 książek). Wszakże w r. 1805 powstaje księgarnia świecka *Józefa Zawadzkiego*, drukarza uniwersyteckiego, który, wydawszy w r. 1806 pierwszą książkę litewską, w pół wieku potem ujął w swe ręce prawie cały ruch wydawniczy i księgarski litewski w państwie rosyjskiem — do r. 1865 wyszło z jego drukarni około 110 książek i broszur, czyli około połowy wszystkich druków do tego czasu w Wilnie wydanych.

Obok drukarni powyższych odbijają w Wilnie książki litewskie: *Antoni Marcinkowski* od 1823 do 1859 r. (ok. 7 książek); *S. Neumann* od 1828 do 1853 r. (6 ks.); *M. Zymelowicz* od 1830 do 1861 r. (11 ks.); *Romm* od 1839 do 1864 (17 ks.); *Abraham Dworzec* od 1844 do 1862 r. (35 ks.); *S. Blumowicz* od 1845 do 1864 r. (10 ks.); *Maurycy Orgelbrand* w 1859 r. (2 ks.); *Adam Honory Kirkor* w t. zw. „drukarni obywatelskiej,” założonej w r. 1860, od 1860 do 1864 r. (6 ks.); *Syrkin* od 1860 do 1865 r. (9 ks.); *Solec* w 1861 r. (1 ks.) i *drukarnia przy ulicy św. Jana Nr. 431* w 1823 r. (1 ks.).

W Kownie: filia *M. Zymelowicza* w r. 1848 (1 książka) i *Sokołowski* w r. 1862 (1 ks.). W Poczajowie u *O.O. Bazylianów* w 1802 r. (1 ks.). W Mitawie od r. 1803 do 1864 (11 ks.). W Rydze u *Wilhelma Ferdynanda Heckera* w latach 1833 i 1863 (2 ks.). W Warszawie od 1836 do 1863 r. (4 ks.). W Suwałkach od 1836 do 1862 r. (6 ks.). W *drukarni narodowej wojew. augustowskiego* w r. 1864 (4 druki).

Po przeniesieniu się Szymona Dowkonta do Petersburga, zaczynają tam opuszczać różne drukarnie dzieła jego; a więc *K. Hintza* w r. 1837 — „*Podręcznik jęz. litewskiego*“ i w r. 1845 — głośne „*Zwyczajy starożytnych litwinów*“ („*Budgsenovies Letuvu*“); *K. Kraya* w r. 1842 — „*Elementarz*“ i w r. 1846 — „*Śpiewy żmujdzkie*“; *E. Pracza* w 1848 — „*O pszczołach*“ i w r. 1849 — „*Jak zbierać nasiona*“

drzew.“ Wreszcie w r. 1861 Akademia Nauk wydała w Petersburgu gramatykę litewską Jana Juszkiewicza.

W Prusach Wschodnich drukarstwo litewskie koncentruje się głównie w Królewcu, gdzie w tym czasie trudnili się niem: *M. Gottlieb Mielcke* od 1800 do 1808 r. (2 ks.); *Eberland* od 1801 do 1802 r. (2 ks.); *Librecht Eryngk* w 1806 r. (1 ks.); *von Schultz* w 1838 r. (1 ks.) i największa drukarnia litewska w Królewcu *G. L. Hartunga*, która do r. 1865 wydała ok. 30 książek. Nadto wychodzą książki w jęz. litewskim w Tylży od r. 1802-go, Kłajpedzie (Memel) od r. 1831-go, Prökulu w latach 1860 i 1865, Gumbinie w latach 1814 i 1825, Szylokrug w 1865 r. i Ragnecie (Heidekrug) od r. 1861 do 1864.

Wreszcie w Zachodniej Europie wydano w XIX-em stuleciu aż do r. 1865: w Berlinie od r. 1844 do 1865 (11 druków), Frankfurcie nad Menem od 1853 do 1863 r. (4 dr.), Lipsku w latach 1860 i 1862 (3 dr.), Halli w r. 1865 „*Nowy testament*“ Fryderyka Kurschata i w Paryżu w r. 1833 (2 dr.)<sup>1)</sup>

Wykaz powyższy daje miarę stopniowego wzrastania liczby drukarni, odbijających książki litewskie. Nadmienić tu wypada, że jakkolwiek w drukarniach wileńskich i wogóle na Litwie rosyjskiej, zaczynając od początku wieku XVIII-go zupełnie się ustaliły czcionki łacińskie, wszakże dość częstym zjawiskiem były w Prusach Wschodnich — gotyckie, gdzie szczególnie popierane one były, zwłaszcza w drugiej połowie XIX-go stulecia, w celach germanizacyi.

W okresie pierwszym istnienia książki litewskiej odbito:

w wieku XVI	—	—	—	22	druki
„ „ XVII	—	—	—	31	„
„ „ XVIII	—	—	—	97	„
„ „ XIX (do r. 1865 włącz.)	—	—	—	571	„
Razem	—	—	—	—	721 druk.

Z tej ogólnej liczby 721 druków, wydanych od r. 1545 do 1865 włącznie, przypada na Litwę rosyjską 473, a z nich na samo Wilno — 420. Dla uzupełnienia powyższej wiadomości dodaję, że

<sup>1)</sup> Ilość druków, podana przy drukarniach jest względną, obliczoną bowiem została tylko na podstawie książek, w których drukarnie są wymienione, zaś znaczna liczba książek litewskich nieposiada nazwy oficyny, w której odbitą została. Takich właśnie książek, wydrukowanych w Wilnie, mamy przeszło 100, a w Królewcu około 90.



według anonimowego autora „*Développement de la Littérature lithuanienne d'après le nombre des volumes*“ (wydany zdaje się w roku 1900 na wystawę powszechną paryską) liczba egzemplarzy wydawnictw litewskich do r. 1865 włącznie sięgała 238 tysięcy. Za ścisłość tej liczby ręczyć trudno, wiadomo bowiem, że dotąd niewykryto żadnych źródeł, do obliczenia druków z wieków XVI—XVIII służyć mogących.

Jakkolwiek zadaniem pracy niniejszej jest danie czytelnikowi statystycznego obrazu dorobku drukarskiego Litwinów, pozwalam sobie atoli dla charakterystyki piśmiennictwa litewskiego z tego okresu wtrącić poniższych cyfr kilka.

W 721 tytułach zawiera się: teologii (katechizmy, książki do nabożeństwa, dzieła treści religijno-moralnej) — 548, czyli przeszło 70%; elementarzy (licząc od pierwszego przy katechizmie Mosvidius'a z r. 1547) — 69; kalendarzy (od r. 1846) — 20; rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa i rad gospodarczych — 14; Historii — 6; pedagogii — 5; medycyny i higieny — 2; rozporządzeń rządowych i odezwo politycznych — 16, reszta zaś należy do innych działów.

## II.

Zakaz używania w państwie rosyjskiem czcionek łacińskich zapadł w chwili przełomowej dla literatury litewskiej, gdy, wyzwalając się stopniowo z wyłączności służby religijnej, zaczynała ona obejmować coraz szersze kręgi potrzeb życiowych społeczeństwa swego.

Jak dalece srogim ciosem był dla niej ten zakaz, udowodnićby mogły najlepiej tablice graficzne. Gdy w dziesięcioleciu, poprzedzającym zakaz, wyszło u pod prasy 254 książki, czyli przeciętnie po 25,4 w roku, to w dziesięcioleciu następnem zaraz po ogłoszeniu banicyi druku litewskiego zaledwie 172 książki, czyli mniej niż połowę.

Historya zakazu jest krótką.

W lutym 1864 r. do nowomianowanego Kuratora wileńskiego okręgu naukowego I. P. Kornilowa zgłosił się *Jan Juszkiewicz* inspektor ówczesnej szkoły „audytorskiej“ w Petersburgu z rękopisem gramatyki rosyjsko-litewskiej i prośbą o przyjęcie go do szkolnictwa gubernii kowieńskiej, zkad był rodem.

Jan Juszkiewicz, brat ks. Antoniego Juszkiewicza, wybitnego pracownika na polu badań języka litewskiego, sam był już zna-

ny jako autor gramatyki litewskiej, wydanej w r. 1861 przez petersburską Akademię Nauk. Propozycja jego wypadła podczas zajęcia się sfer rządzących *alfabetem wszechsłowiańskim*, skomponowanym przez uczonego ideologa, profesora Aleksandra Hilferdinga, za pomocą którego zmodyfikowanych zgłosek rosyjskich miały być kiedyś zespolonemi wszystkie ziemie słowiańskie. Marzenia Hilferdinga stały się już dla wielu drogowskazem w dalszym rozwoju kulturalnym krajów, objętych granicami państwa rosyjskiego.

Pod wpływem chwili Kornilow zaproponował Juskiewiczowi zastąpienie w tekście litewskim liter łacińskich rosyjskimi, na co Juskiewicz przystał chętnie i wkrótce nadesłał do Wilna parę arkuszy, zmienionej przez siebie, gramatyki.

Oczywiście próba ta została zaakceptowana przez generała Murawiewa, wszakże prośbie Juskiewiczza o przeniesienie na Litwę nie zechciał on uczynić zadość. Obrażony Juskiewicz teraz ze swej strony wręcz odmówił dalszego pisania gramatyki, chociaż mu to nie przeszkodziło w r. 1868 wydać za pomocą Akademii petersburskiej zbiór pieśni litewskich, drukowanych czcionkami rosyjskimi.

I być może, że sprawa inowacyi w piśmiennictwie litewskiem na tem by się zakończyła, gdyby los nie zesłał na miejsce Juskiewiczza człowieka nowego - *Stanisława Mikuckiego*, lektora warszawskiej Szkoły Głównej.

Imię jego jest tak ściśle związane z pierwszą książką litewską, drukowaną czcionkami rosyjskimi, że przypuszczam, iż nie od rzeczy będzie przypomnienie na tem miejscu jego duchowej sylwetki, niedawno skreślonej przez prof. J. Baudouin de Courtenay'a: „Z pochodzenia szlachcic zaściankowy z gub. łomżyńskiej, niegdyś uczeń seminaryum katolickiego, z kąd go wypędzono, żołnierz, nauczyciel elementarny, w stosunkowo późnym wieku student uniwersytetu, stypendysta Akademii Nauk w Petersburgu i t. d. napełnił swą dużą głowę mnóstwem chaotycznych wiadomości z zakresu języków i bawił się w dzikie etymologie i zestawienia wyrazów. Jednocześnie uprawiał sport demoralizowania i deprawowania młodzieży. Osobistość nasiąknięta jadem nienawiści do ludzi wogóle, a zarazem zdolna do najszlachetniejszych czynów. Wielbiciel jedynie siły fizycznej, miał niskie wyobrażenie o inteligencji ludzkiej i sądził, że w każdego człowieka można wszystko wmówić i wszystko mu narzucić. Akademia Nauk za niewypelnienie instrukcyi pozbawiła go stypendyumu i wyrzekała go się, więc pałał żądzą zemsty i żądzą zrobienia kariery jakimkolwiek sposobem” (Kraj“ 1904 r. Nr. 27, str. 3).

Polecony gorąco Milutinowi przez kolegę uniwersyteckiego Hilferdinga, a Murawjewowi przez Milutina, przybywa Mikucki do Wilna w kwietniu tegoż roku i obejmuje redakcyę książek litewskich, drukowanych czcionkami rosyjskimi. Niezupełnie jednak mu dowierzano, gdyż dano mu do pomocy komitet wydawniczy, składający się oprócz Mikuckiego jeszcze: z protojereja *Antonija Pietkiewicza* (dawniej kapłana katolickiego), *Wawrzyńca Zwińskiego* — nauczyciela szkoły ludowej w Retowie w pow. rosieńskim i wydawcę kalendarzy litewskich i *Jana Kreczyńskiego* b. nauczyciela szkoły ludowej w Taurogach w pow. telszewskim i jedyne go naówczas rosjanina, znającego język litewski.

Pierwszym drukiem, zredagowanym przez Mikuckiego a wydanym przez komitet powyższy, jest elementarz żmujdzko-litewski, noszący dziwaczny tytuł: „*Abecele Žemajtiszka-Letuwszyka*.“ Wyszedł on w r. 1865 z nowozałożonej oficyny obywatelskiej pod firmą Adama Honorego Kirkora w 6000 egzemplarzy, z których jeden tysiąc rozesłano do szkół ludowych dyrekcyi wileńskiej a resztę do dyrekcyi kowieńskiej. W tym samym czasie, przybyły do Wilna w r. 1864, *Jan Sprogis* — łotysz z urodzenia i dzisiejszy dyrektor wileńskiego centralnego archiwum akt dawnych — poraz pierwszy użył czcionek rosyjskich do języka łotewskiego, w wydanym przez siebie, kalendarzu. To też I. P. Kornilow czyni uwagę, że „wprowadzenie w użycie alfabetu rosyjskiego do książek żmujdzkich i łotyskich zostało dokonane nie przez uczonych rosyjskich, lecz przez filologów litewskich: Juszkiewicza, Mikuckiego i łotysza: Sprogisa“ (*Russkoje dieło w siewiero zapadnom kraje*.“ Petersburg 1901 r. str. 257). Nadmienić należy, że jednocześnie z rozkazu Milutina drukuje się w Petersburgu po raz pierwszy czcionkami rosyjskimi elementarz polski p. t. „*Elementarz dla dzieci wiejskich*“ (1865 r. 8-o, str. 120).

Komitet wydawniczy wileński za czasów generał-gubernatorstwa Murawiewa zdołał wypuścić w świat zaledwie kilkanaście drobnych książeczek, były to: elementarz, kantyczki, książka do nabożeństwa, ewangelie i t. p. W celu zapewnienia im większego zbytu wydany został komitetowi cenzuralnemu wileńskiemu ustny rozkaz, ażeby odtąd, aż do nowego rozporządzenia, zezwalał na druk książek litewskich i łotewskich, jedynie alfabetem rosyjskim pisanych. Głównym kolporterem tych książek wśród szkół litewskich był ówczesny kurator wileński I. P. Kornilow, który głęboko wierzył, że „w starożytności Litwini naukę czytania i pisania posiadli od Rosyan i pisali w swym języku literami rosyjskimi“ (*Russkoje dieło w siewiero zapadnom kraje*.“ str. 258).

Następca M. N. Murawiewa generał von Kauffman przywiązywał wielką wagę do idei wprowadzenia do piśmiennictwa litewskiego liter rosyjskich i w d. 6 sierpnia 1865 r. (Nr. 96) wydał okólnik, zakazujący druku i handlu oraz przywożenia z zagranicy książek litewskich, odbitych czcionkami łacińskimi, który w d. 13 września tegoż roku (Nr. 141) uzyskał potwierdzenie ministra spraw wewnętrznych. Pomimo to jednak Akademia Nauk jeszcze w tymże samym roku drukuje w Petersburgu czcionkami zakazanymi rozprawę Schleichera o poecie litewskim Donalejtisie.

Ponieważ wywiązała się kwestya podręczników szkolnych jęz. litewskiego w gub. augustowskiej, więc w styczniu 1866 r. minister Milutin zakomunikował ustnie ministrowi oświaty, iż z woli Monarszej wydawnictwa „rządowe“ winne być drukowane czcionkami rosyjskimi i dopiero w d. 22 kwietnia 1880 r. uczyniony został wyjątek dla wydawnictw Akademii petersburskiej.

Z powodu wykrytych w r. 1866 kilku nowowydanych książek litewskich, pochodzących z drukarni wileńskich, w d. 23 lipca tegoż roku ogłoszony został okólnik, nakazujący niezwłoczną *kasatę czcionek polskich* we wszystkich drukarniach kraju.

Było to ostatnie zarządzenie generała von Kauffmana w tym kierunku. W d. 9 października 1866 r. generał-gubernatorem wileńskim został Baranow, który zaraz na wstępie zaznaczył różnicę zdania swego i jego poprzedników. Niestety nie był mocen do skasowania zakazu, poprzestał więc na rozwiązaniu komitetu wileńskiego, przez co przerwał bezużyteczne a kosztowne jego wydawnictwa.

Stanisław Mikucki zupełnie zawiedziony i zniechęcony powrócił do Warszawy.

Ze względu, iż zakaz dotyczył li tylko książek, drukowanych czcionkami *łacińskimi*, księgarnie Prus Wschodnich zaczęły zaopatrywać pogranicze pruskie w znaczną ilość druków, odbitych czcionkami *niemieckimi*, które w braku tamtych, zwłaszcza wśród Litwinów-protestantów, znalazły chętnych nabywców. Zwrot ten wywołał nowy zakaz z d. 20 grudnia 1872 r. (Nr. 5907) głównego komitetu cenzury, zamykający wstęp do państwa rosyjskiego i tym drukom litewskim.

Atoli wszystkie te usiłowania nie zdołały wypełnić wiekowego przyzwyczajenia do starego alfabetu, a co więcej nie zdołały zamknąć granicy państwa tak szczelnie, by sąsiednie Prusy nie potrafiły dostarczać książek litewskich drogą przemysłu.

Od r. 1865 cały ruch wydawniczy i księgarski litewski zśrodkował się w pruskiej prowincyi litewskiej w Tylży, Królewcu

i Kłajpedzie (Memlu), a nawet, ze stale wzrastającą liczbą ludności litewskiej w Stanach Zjednoczonych, i w Ameryce. W r. 1879 w Nowym Jorku wychodzi pierwszy tygodnik „*Lietuviszka Gazietā*,” a w r. 1883 dr. J. Rasanowicz w pruskiej Ragnecie rozpoczyna wydawnictwo popularnej „*Auszry*” (Jutrzenka), w której, zaznaczając o staraniach, przedsięwziętych w celu cofnięcia zakazu, zwraca się z prośbą o pomoc w tym względzie do generała Hurki przez pamięć „na jego pochodzenie z narodu litewskiego” (1883 r. Nr. 4).

Tymczasem na Litwie rosyjskiej zakaz przestrzegany jest przez administracyę z coraz większą ścisłością, niezważając, że w Petersburgu między latami 1870 a 1880 ukazało się kilkanaście popularnych książeczek litewskich, a w r. 1879 uniwersytet Każański wydał cenny zbiór pieśni litewskich ks. Antoniego Juszkiewicza (brata Jana) czcionkami inkryminowanemi.

W tej epoce stan oświaty wśród ludu litewskiego, zamieszkującego państwo rosyjskie, zaczął stale chylić się ku upadkowi. Konserwatywny aż do szpiku kości Litwin odrzucał podawane sobie książki, pisane literami nowemi, i wołał zapominać czytać, lub ograniczać się zachowanemi staremi wydawnictwami. Analfabetyzm wzrastał z zastraszającą szybkością, któremu nie zdołała zapobiedz również mnożąca się liczba szkół. Przemysłnictwo z Prus książek wprowadzić nie ustawało, pomimo nadzwyczajnych trudności i niebezpieczeństwa, nie mogło atoli uczynić zadosyć potrzebom przeszło trzymilionowego narodu. Według obliczeń, sporządzonych do pawilonu litewskiego na wystawie powszechnej w Paryżu w r. 1900, od r. 1864 do końca 1896 r. przewieziono z Prus do Rosyi 3,705,250 egzemplarzy książek litewskich za 1,384,109 rubli, nie licząc kilkudziesięciu tysięcy wydawnictw amerykańskich („*Kraj*” 1902 r. Nr. 39). Napozór liczba ta wydaje się olbrzymią, gdy atoli się zważy 33-letni okres czasu, trzymilionową ludność i to, że nie wszystkie przewiezione książki trafiły do rąk przeznaczonych, gdyż od r. 1891 do 1902 włącznie jedne tylko komory celne pogranicza pruskiego skonfiskowały 173,000 egzemplarzy („*Nowoje wremia*” 1903 r. Nr. 9698), to ilość powyższa skurczy się do przysłowiowej kropli w morzu.

Jednocześnie chwilowe wydawnictwo książek o czcionkach rosyjskich od r. 1865 do 1891 włącznie, dosięgło zaledwie okrągłej liczby 30 (obliczone na podstawie spisu Bałtromajtisa).

Zdaje się, że gdyby był Hilferding zdołał przewidzieć wszystkie te ewentualności, wyrzekłby się niewątpliwie swej utopii stopienia Litwinów z rzeszą słowiańską—tymczasem, nie danem mu by-

ło oglądać owoców swego pomysłu, bowiem już w r. 1872 żyć przestał. Natomiast należy oddać zupełną słuszość znacznemu gronu przedstawicieli rosyjskiej administracyi, nauki i publicystyki, zaznaczających śmiało i wytrwale swą niesolidarność z baniacyą druku litewskiego, jako wywołaną jedynie przez chwilowe a niefortunne środki administracyjne.

Minister Wałujew, jenerał gubernator wileński Baranow, kurator okręgu naukowego warszawskiego Apuchtin, nawet jenerał-gubernator warszawski Hurko, który w r. 1896 na posiedzeniu warszawskiego Komitetu statystycznego wyraził wątpliwość „czy czasem nie było błędem ze strony władz, że zmuszały Litwinów do przyjęcia czcionek rosyjskich“ („*Trudy warszawskawo statistyczeskawo komitieta*“ zeszyt 11 z r. 1896), stawali w obronie prastarego abecadła litewskiego.

Ze świata uczonego największą zasługę ma w tym względzie Edward Wolter, docent uniwersytetu petersburskiego i głęboki znawca i wielbiciel języka litewskiego, którego odczyt o piśmiennictwie litewskim, wygłoszony w grudniu 1887 r. w petersburskiem Towarzystwie Filologicznem, zwrócił powszechną na sprawę druku litewskiego uwagę i wywołał obszernie i przychylnie jej omówienie w „*Nowom Wremieni*“ (Nr. 4221) i „*Wileńskom Wiestnikie*“, który nie wahał się dodać od siebie, że „26-cioletnie doświadczenie dowiodło całej bezowocności wprowadzania dla ludu czcionek rosyjskich.“ Zarówno prof. petersburski W. I. Łamanskij dwukrotnie w r. 1892 i 1896 wzywał do zniesienia zakazu. Najwyższa instytucya naukowa rosyjska — petersburska Akademia Nauk wyraźnie tym głosem sprzyjała, drukując w swych rocznikach prace Woltera, a w r. 1898 wyborną rozprawę „*O języku i słowniku litewskim*“ pióra ks. Biskupa Antoniego Baranowskiego, która, odbita osobno, rozesłaną została wszystkim uczonym i osobom wpływowym rosyjskim. Biskup Baranowski, sam litwin rodowity, władający mową ojczystą po mistrzowsku i autor popularnych utworów poetyckich, w rozprawie swojej udowodnił całą bezpodstawność nazywania abecadła litewskiego „polsko-łacińskim“, gdy jest ono tylko i wyłącznie „litewskim“ i zarówno jest niedostatecznem do wyrażenia słów polskich i łacińskich, jak alfabety polski i łaciński do wyrażenia słów litewskich (str. 78). Tegoż zdania jest i Wolter, a stwierdzają to mniemanie badania Schleichera, Kurschata, Karłowicza i ks. Jawnisa.

W prasie rosyjskiej, w sprawie czcionek litewskich, zdaje się, że pierwszy głos zabrał Jan Aksakow w r. 1884, w redagowanej przez siebie, „*Rusi*“; za nim w szeregu stoją: „*Nowoje Wremia*“

w 1887 r. (Nr. 4221) i 1903 r. (Nr. 9698), „*Pietierburskija Wiedomosti*“ od r. 1896 kilkakrotnie, „*Wileńskij Wiestnik*“ od r. 1887, „*Birżewyja Wiedomosti*“ w r. 1903 (Nr. 323), „*Syn Otieczestwa*“, „*Ruskija Wiedomosti*“ i inne.

Od r. 1900 widzimy pewną tolerancję administracji dla druków litewskich, które zaczynają się od czasu do czasu ukazywać nawet w kraju. W d. 2 sierpnia tego roku cenzura wileńska zezwala drukarni wileńskiej Józefa Zawadzkiego na odbicie podania do biskupa wileńskiego o przeznaczenie kościoła św. Mikołaja w Wilnie na nabożeństwa – wyłącznie w języku litewskim oraz odpowiedź biskupa z tekstem w języku rosyjskim i przekładzie litewskim, drukowanym czcionkami łacińskimi. W r. 1901 z drukarni petersburskiej Akademii Nauk ukazuje się E. Woltera „*Lietiwiszka Chrestomatia*.“ Zaś w d. 5 czerwca 1903 r. generał-gubernator książę Światopołk-Mirski zezwala zakładowi litograficznemu Matza w Wilnie na wydrukowanie kalendarza rybackiego P. Matulanisa z tekstem w językach rosyjskim i litewskim, wydanego nakładem wileńsk. oddziału Ces. towarz. rybackiego. Jednocześnie książę Mirski w tymże roku przesyła do Petersburga gruntośnie opracowany memoriał, żądający uchylecia zakazu.

Ostatnich lat kilka okresu drugiego dziejów druków litewskich zaznaczyło się trzema rozprawami sądowymi, sięgającymi do Senatu, których zakończenie zdaje się miało wpływ decydujący na pomyślne rozwiązanie palącej kwestyi.

W r. 1900 w zakładzie kartograficznym Iljina w Petersburgu odbitą została „*mapa ziemi litewsko-łotewskiej*“ inżyniera Antoniego Maciejewskiego. W niespełna rok potem, z powodu, że napisy na mapie były wydrukowane czcionkami „łacińsko-polskimi“, na mocy zlecenia dyrektora zarządu głównego do spraw prasowych księcia N. W. Szachowskiego z d. 26 listopada 1900 r. policja petersburska rzeczoną mapę w ilości 1185 egzemplarzy skonfiskowała. Wydawca p. Maciejewski w d. 2 maja 1901 r. zaskarżył ks. Szachowskiego do Senatu o zwrot straty w ilości 1200 rubli, pretensją swoją opierając na zasadzie, iż konfiskata winna była być dokonana nie później nad osiem miesięcy od chwili ukazania się wydawnictwa, jak tego wymaga ustawa prasowa. W d. 14 grudnia 1902 r. senat przyznał p. Maciejewskiemu prawo poszukiwania na osobie ks. Szachowskiego strat, poczynionych jego rozporządzeniem.

W 1902 r. student uniwersytetu petersburskiego *Paweł Wyszynski* rozlepił w miasteczku Janiszkach (w pow. szawelskim gub. Kowieńskiej) afisze, wydrukowane w Mitawie za pozwoleniem wła-

dzy policyjnej, zawiadamiające w jęz. litewskim o mającem się odbyć w Mitawie przedstawieniu amatorskiem litewskim (kome-dya „Dyabeł w siłłach“). Policyja pow. szawelskiego zapozwała p. Wyszyńskiego przed sędziego, a potem do zjazdu sędziów pokoju za rozpowszechnianie druku litewskiego o alfabecie „łacińsko-polskim.“ P. Wyszyński skazany przez obie instancje na zapła-cenie kary w kwocie 3 rubli, przeniósł sprawę do departamentu Kasacyjnego senatu, broniąc się tem, że okólnik ministra spraw wewnętrznych z d. 13 września 1865, zakazujący używania czcionek łacińskich, został wydany do gubernatorów *poufnie* i przeto nie mógł być znany przez osoby prywatne, zarówno i wola Monarsza z r. 1866 i 1880 w sprawie druków litewskich rządowych nie została podaną do ogólnej wiadomości drogą należytą i zawa-rowaną przez zasadnicze prawa państwowe. W d. 13 maja 1903 r. senat skasował wyroki sędziego pokoju i zjazdu sędziów i p. Wy-szyńskiego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

Wreszcie p. *Antoni Reklis* kierownik sklepu włościańskiego narzędzi rolniczych w Maryampolu, skazany przez sędziego pokoju i zjazd sędziów na zapłacenie kary, za niewypełnienie żądania naczelnika straży ziemskiej i nie zastąpienia na szyldzie skle-powym liter „łacińsko-polskich“ napisu litewskiego na rosyjskie, został w d. 1 listopada 1903 r. przez Senat od odpowiedzialności zwolniony na mocy poprzedniego wyroku senatu w sprawie p. Wy-szyńskiego.

W końcu w d. 24 kwietnia (7 maja) roku 1904 nastąpiło Najwyższe zatwierdzenie uchwały komitetu ministrów, zgodnie z którą rozkazano „uchylając wszystkie wydane dawniej ograni-czające postanowienia i rozporządzenia rządowe w stosunku do piśmiennictwa litewskiego i żmujdzkiego, zezwolić na używanie w jego utworach, oprócz rosyjskiego również łacińskiego lub in-nego alfabetu.“ Dzień ten zamyka okres drugi, prawie trzydzie-stoletni, upadku piśmiennictwa litewskiego i otwiera, poczynający się dopiero, okres trzeci.

Obliczenie ilości wydanych druków w tym minionym okresie jest bardzo trudnem. Na podstawie spisu Bałtromajtisa, uzupeł-nionego przez bibliografię Chronopolitanusa, dowiadujemy się, że od r. 1866 do końca 1891 r. ukazało się 677 druków czcionkami łacińskimi i 30 czcionkami rosyjskimi odbitych.

Natomiast liczbę druków, które się ukazały po r. 1891 okre-ślić możemy tylko na podstawie przypuszczenia, za ścisłość więc jej ręczyć niepodobna.



Jedynym źródłem w tym względzie mógłby być „*Catalogue des livres lithuaniens imprimés dès 1864 à 1899 hors de Russie*,” wydany w r. 1900 w Paryżu, wszakże po skonfrontowaniu go ze spisem Bałtromajtisa, jak wiadomo niekompletnym, widzimy jego niezupełność:

U Bałtromajtisa od r. 1864 do 1891 r. włącznie zapisane są 672 dr.  
W „*Catalogue'u*” „ „ „ „ „ „ „ 339 „

czyli jest on o połowę niekompletnym i dla tego liczby z lat późniejszych, obliczone na jego podstawie, również winne być podwojone, co jest zupełnie prawdopodobnem, gdy spojrzymy na tablicę graficzną, wskazującą na olbrzymi wzrost ilości wydawnictw litewskich w przedostatniem dziesięcioleciu zeszłego wieku.

Według „*Catalogue'u*” w czasie od r. 1892 do 1899 r. włącznie ukazało się 360 druków, czyli przeciętnie po 45 rocznie. Jeżeli liczbę tę podwoimy do 720 i dodamy, również podwojoną, do 90 liczbę druków, wydanych w r. 1900, to otrzymamy za czas od 1892 r. do 1900 r. włącznie — około 810 druków.

Ogólna więc liczba druków, jakie się ukazały od r. 1545 do końca XIX stulecia wynosi:

w wieku	XVI	—	—	—	—	22	druki
„	XVII	—	—	—	—	31	„
„	XVIII	—	—	—	—	97	„
„	XIX do 1865 r. włącznie	—	—	—	—	571	„
„	„ od 1866 r. do 1891 r. włącznie					677	„
„	„ od 1891 r. do 1900 r. włącznie					około 810	„
Razem	—	—	—	—	—	około 2208	druków

w 4,500,000 egzemplarzy, jakby wypadło według „tablicy graficznej ilości egzemplarzy,” dodanej do „*Catalogue'u*.”

Okolo 2208 druków, odbitych czcionkami gotyckimi i łacińskimi i 30 — czcionkami rosyjskimi w przeciągu trzech i pół stuleci — to dorobek zbyt szczupły. Przypomnieć sobie atoli należy jak zmienne koleje i jakie zawady na swej drodze piśmiennictwo litewskie spotykało.

We wrześniu 1904 r. główny zarząd do spraw prasowych udzielił koncesyi na wydawnictwo w Wilnie inżynierowi Więszysowi gazety codziennej „*Wilniaus Zinjos*” i w Petersburgu p. Šmilgo tygodnika ilustrowanego „*Lietuviškas Ąajkrastis*” pod redakcją S. Bałtromajtisa. Rozpoczęła się tedy nowa era w życiu kulturalnem narodu litewskiego i mieć można niechybną nadzieję, że przywrócenie mu jego prastarego i tak dlań drogiego alfa-

betu pobudzi całe społeczeństwo litewskie do tem usilniejszej pracy, by co prędzej zasiać ziarno jędrne a pełne na leżących od lat wielu odłogiem, niwach swoich. Wspierać go w tem będzie serdeczna życzliwość wszystkich, komu drogiem jest prawdziwe światło...

\*

\*

\*

Na zakończenie gwoli uzupełnienia i *ad perpetuam rei memoriam* zapisuję tytuły pierwszych druków litewskich, wydanych po uchyleniu zakazu.

W d. 23 czerwca 1904 r. zastępca gubernatora kowieńskiego P. W. Wieriewkin podpisał zezwolenie na druk „*Sprawozdania telsewskiego towarzystwa spożywczego*“ (gub. Kowieńska). Pierwszy ten druk litewski *en regard* przy rosyjskim wyszedł z drukarni Kowieńskiej M. Sokołowskiego. Po nim w parę miesięcy później ukazał się z pod tłoczni drukarskiej H. Landsberga w Mitawie *cennik ilustrowany* libawskiego „*Consumverein'u*,” lecz z tekstem w jednym już tylko języku litewskim.

MICHAŁ BRENSZTEJN.

## PIŚMIENNICTWO.

SZYMON ASKENAZY. *Książę Józef Poniatowski 1763—1813*. Warszawa, 1904.

W roku 1904 w łamach „Biblioteki Warszawskiej“ ukazał się, jako zapowiedź poważnego dzieła, szkic pracy prof. Askenazego, księciu Józefowi Poniatowskiemu poświęconej. Mniemam, że zamieszczenie szkicu nie przeszkadza bynajmniej temu, ażebym na tychże samych łamach poświęcił uwagę samej pracy, która, jako oparta na studiach gruntownych i sumiennych, ze wszelkich miar na to zasługuje. Prof. Askenazy zaznacza zaraz na początku swej pracy, że książę Józef, choć po raz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu, jako generałowicz austriacki, a po raz ostatni zamknął je pod Lipskiem, jako marszałek francuski, choć mu było przeznaczonem pierwsze i ostatnie technienie wydać na obczyźnie, jednak naprawdę sam się uczynił ukochanem dzieckiem Warszawy, uczynił się wcieleniem pewnych najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został jednym z najświetniejszych, lecz najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli. Zastanawiając się nad jego dzieciństwem, postacią zewnętrzną, oraz przymiotami umysłu i serca, autor przychodzi do przekonania, że najbardziej wydaje się on „z siebie zrodzony“ i wydaje się tylko nieodrodnym tworem własnego społeczeństwa.

Książę Józef wcześniej został sierotą. Losem sieroty zajął się troskliwie Stanisław August i przelewał na niego, o ile mógł, wakujące starostwa. Nie ograniczał się król na opiece nad jego majątkiem, rozciągał ją również na edukację młodzieńca i wchodził w najdrobniejsze szczegóły jego wykształcenia fizycznego i umysłowego. Z pierwszym było łatwiej, bo chłopak był dziwnie zręczny i żywy; trudniej z drugim, bo do studyów książkowych mało okazywał chęci, choć zresztą przynaglony, roztropnie odrabiał swoje pensum. Król go zachęcał, na-

ganiał, kazał sobie donosić o jego przewinieniach, odznaczeniach, postępach, zwłaszcza w zakresie wojskowości i historii. Wychowywanie księcia było przeważnie w ręku cudzoziemców: Niemca, Francuza i Anglika. Kierownictwo naczelne zachował sobie król Stanisław August i wśród najcięższych kłopotów nie przestawał z nimi prowadzić szczegółowej korespondencji. Na polskość synowca król, sam niedość mający jej w sobie, pilne i chwalebne dawał baczenie. Nie pozwalał mu żadną miarą zniemczyć się, zaustriaczyć, o Polsce mu prawił, do Polski sprowadzał, w Polsce wskazywał przyszłe powołanie i pod tym względem najzbawienniejszą pono wyświadczył mu przysługę.

Miało w sobie coś całkiem wyjątkowego, coś wzruszającego i zasmucającego zarazem, to szczególniejsze, głębokie, czujne, niesłabnące, owszem, z biegiem lat coraz to żywsze przywiązanie Stanisława Augusta do ukochanego Pepi. Ani dzieci własnych, ani nikogo w ten sposób król nie kochał. Względem księcia Józefa szedł za popędem serca, a zarazem za mimowolną i nieodpartą reakcją niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu on kochał nie tylko krew swoją, ale samego siebie, takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go wstępującym w życie z impetem, z blaskiem, jak sam był przychodził ongi, w swojej dobie wiosennej. Takim, jak ten synowiec młody, piękny i ubóstwiający i on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedoścignętego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego sam nigdy posiadać nie umiał i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on jakgdyby brał odwet za samego siebie, jakgdyby zasłaniał się przed ścigającą go własną samowiedzą moralną.

W roku 1777, na manewrach pod Pragę, został książę Józef przedstawiony cesarzowi Józefowi II i choć niedorostek jeszcze, zachęcony aby wstąpił do służby wojskowej austriackiej, do której skwapliwie ściągano młodzież polską szlachecką i wlelkopańską. Król zezwolenia do przyjęcia służby nie odmówił, ale poczynił zastrzeżenia. Stanisław August przedewszystkiem zastrzegł, że jego synowiec wstępuje do służby austriackiej jedynie czasowo, dla tem lepszego wyćwiczenia się na wypadek, jeśli przyjdzie potrzeba służenia ojczyźnie własnej; że w takim wypadku na pierwsze wezwanie z pod obcego sztandaru pod ojczysty się stawi. Dalej, że regularnie za urlopani do kraju zjeżdżać będzie; że nie wstąpi do korpusu gwardyi szlacheckiej galicyjskiej, sformowanego w świado-

mych, wynarodowiających celach politycznych, lecz do jakiego zwyczajnego, dobrego pułku jazdy, przyczem będzie się starał, niezawisłe od służby kawaleryjskiej, nabyć dokładnej znajomości także innych rodzajów broni. Rozumne te zobowiązania książę Józef chętnie przyjął i zawsze ściśle wykonywał. W początku 1780 roku zaliczony został do armii austriackiej i to jako podporucznik konsystującego w Czechach drugiego pułku karabinierów imienia Franciszka Toskańskiego, własność feldmarszałka Lacy, sędziwego wodza, w którym znalazł opiekuna i kierownika militarnego. Awansował szybko, dzięki cenionej przez przełożonych sumiennosci służbowej, a bardziej jeszcze, dzięki osobistej o niego pamięci cesarza. Już w 1781 roku posunięty został na rotmistrza, w r. 1782 na dowódcę szwadronu, a w r. 1784 na majora. Kawalerzysta nadzwyczaj śmiały, w służbie bardzo gorliwy, padłszy z koniem, nogę złamał, lecz dość rychło do zdrowia wrócił. W r. 1785 został podpułkownikiem i przeszedł do szwoleżerów cesarskich imienia Józefa II.

W r. 1787 został książę Józef wezwany przez Stanisława Augusta, aby z Wiednia przybył towarzyszyć monarsze w podróży do Kaniowa. W Kijowie przedstawiony Katarzynie II, otrzymał z jej ust uznanie, że jest podobnym do Stanisława Augusta, ale dodała zaraz, zwracając się do posła austriackiego, kiedy był takim, jakim widziałam go przed dwudziestu kilku laty. W styczniu 1788 roku mianowany został doraznie, na czas kampanii, adjutantem przybocznym cesarza Józefa II, z rozkazem stawienia się w połowie marca w Peszcie, w pełnym rynsztunku bojowym. Pierwszą tedy swoją kampanię w 1788 r. rozpoczął 25-letni książę Józef przy boku i pod okiem cesarza. Jednak mniej czynna rola adjutanta cesarskiego niezupełnie odpowiadała jego intencjom. Wyrwał się on raczej do samodzielnej akcji bojowej, ofiarował się nawet razem z Liguem zebrać w Galicyi oddział ochotniczy ze szlachty polskiej i na jego czele prowadzić na własną rękę walkę podjazdową z Turkiem. Projekt ten upadł, skutkiem oporu Lacy'ego, który nie chciał pozbywać się oficera zdolnego z armii czynnej. Zaraz przy następnem oblężeniu twierdzy Sabacza, bronionej uparcie przez agę janczarskiego, Mehmeda, zgłosił się na ochotnika do pierwszego szturm; uczestniczył przy wzięciu przedmieścia warowni, ale 24 kwietnia 1788 r. zrana, prowadząc osobiście z nadzwyczajną brawurą kolumnę szturmującą na sam zamek i przedostawszy się zaledwie z kilkoma ludźmi przez rów forteczny aż pod sam parapet twierdzy. rażony ogniem nieprzyjacielskim, został ciężko ranny kulą w udo i ledwo uratowany przez prostego szeregowca, Körnera,

później zaufanego sługę. W listopadzie posunięty został przez cesarza na nadliczbowego drugiego pułkownika szwoleżerów cesarskich „w łaskawem uwzględnieniu wyświadczonych nam i domowi naszemu a i nadal spodziewanych gorliwych i pożytecznych usług, okazanej chwalebnej wobec nieprzyjaciela odwagi i innych posiadanych dobrych zalet i t. d....“

Uchwała sejmowa o wojsku stutysięcznem z grudnia 1788 r. spowodowała konieczność wzwania oficerów rodaków z obcych służb. Książę Józef podczas ostatniej bytności w kraju musiał ponowić przed stanami, królem i prymasem pierwotne zobowiązanie powrócenia do kraju na pierwsze żądanie. Na sesyi sejmowej w czerwcu r. 1789, deputacya do egzaminowania etatu wojskowego, zalecając przywołanie oficerów polskich z zagranicy do wojska Rzeczypospolitej, upomniała się w szczególności o księcia Józefa, „w służbie wojskowej cesarskiej zostającego, który i sobie i narodowi przynosi sławę, ażeby ten w krajowem wojsku mógł być pomieszczonym.“ Poparli tę rekomendacyę liczni posłowie. Stanisław August pisał nazajutrz do synowca: „wczoraj senatorowie i posłowie przez sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesyi sejmowej, abym cię odwołał do służby ojczyzny. Po tym publicznym kroku nie mogę, jak tylko oświadczyć ci życzenie i wolę moją, abyś nam tu powrócił.“ To zdecydowało ostatecznie o losie księcia Józefa, który ledwie na kilkanaście dni przedtem wybierał się jeszcze na Turków. Wkrótce otrzymał on dymisyę od cesarza i znalazł się wreszcie na stanowisku właściwem, w służbie kraju własnego.

W sierpniu 1789 r. stanął książę Poniatowski w Warszawie, a 3 października uchwałą sejmową został mianowany generał-majorem wojsk polskich; następnie został szefem gwardyi pieszej i konnej i członkiem deputacyi do ułożenia regulaminu wojskowego. Wszedł odrazu w dużą, niewprawnie jeszcze prowadzoną a pierwszorzędną wagę czynność organizacyjną, tem samem zaś pośrednio w zawiłą robotę polityczną, toczącą się dokoła wielkich przedsięwzięć sejmowych. Wiosną w r. 1790 objął dowództwo IV dywizyi braclawskiej, następnie i kijowskiej, z kwaterą główną w Tulczynie. Dobrze mu to zrobiło i na duchu i na zdrowiu. Tutaj, na krańcach, zajął się czynnie wyćwiczeniem wojsk, sobie powierzonych, zwłaszcza kawaleryi, broni dobrze mu znanej ze służby austriackiej. Szczególną uwagę zwracał na kozaków granowskich, przysyłanych mu przez księcia Czartoryskiego, musztrował ich pilnie i połączył z kozakami berszadzskimi i korsuńskimi. Książę Józef wyższych wiadomości wojskowych ze służby austriackiej nie wy-

niósł, posiadał jednak wyborną znajomość techniki kawaleryjskiej, przede wszystkim zaś wniósł z sobą wrodzony orientacyjny instynkt bojowy, uzdatniający go do wyrobienia się z czasem na wybitnego, nawet na wielkiego wodza. Sam on zdawał sobie sprawę ze swych braków i niedostatków i nad nimi ubolewał. „Bardzo jest dla mnie pochlebne zaufanie, pisał ze skromnością królowi latem 1790 r., jakie we mnie pokładają, ale wyznaję, że mam najwyższą niespokojność co do sposobów, jakimi potrafiłbym nie zawieść go. Może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumem pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komen-derującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na wypełnienie tak ważnego miejsca. Nie łudzę się wcale pod tym względem i ze drżeniem czuję, jak wielkie zobowiązania mam wypełnić. Nie śmiem odmówić stanowiska, jakie mi dają; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich.“

Książę Józef wyjeżdżał w r. 1792 na Ukrainę, przekonany o niepodobieństwie skutecznego dotrzymania trzykroć naogół, w linii zaś dwakroć liczniejszemu, a nierównie sprawniejszemu przeciwnikowi. Prosił Stanisława Augusta, aby powierzył dowództwo „jakemu biegleszemu odemnie obcemu wodzowi, chętnie pod nim służyć będę.“ Mówił królowi na wyjeździe: „mamy czem się bić, nie mamy czem wojować.“ Szedł w 20,000 nieopatrzonego i niedoświadczonego żołnierza na 60,000-ną doskonałą armję, nawykłą do zwycięstw w wojnach tureckich. Odbywał tę kampanję, jak sam powiada, bez kwatermistrzostwa głównego, bez intendentury, bez sztabu generalnego. Co gorsza, na samym kresowym terenie walki, podkopanym przez wroga wpływy targowickie, spotykał się ze złą wolą w najżywotniejszych sprawach prowiantowych i wywiadowczych, a nawet, co najgorsza, spotykał się z niekarnością we własnych szeregach. W warunkach, w jakich musiał prowadzić kampanję, i Laudon z trudnością dałby sobie radę. Z tem wszystkiem, w tak wyjątkowo trudnem położeniu młody wódz uniknął katastrofy. Pod Zielemcem w najgorszej chwili osobiście prowadził w ogień batalion imienia Potockiego, stałym odtąd swoim zwyczajem, dając z siebie przykład szeregowcom, dając też upust swojej impetycznej brawurze żołnierza. Otrzymaawszy wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy, odpisuje mu książę Józef natychmiast: „Wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon?“ Ale w posłuszeństwie zatrzymał się książę u granicy, nakazywanej mu przez obowiązek i honor. Podał się natychmiast do dymisji wraz z całą generalicyą. Stanisław August ledwo co pocieszony poprze-

dniemi ustępstwami, które ratowały jego osobę, strasznie był dotknięty tą decyzją, która obnażała jego fatalne odosobnienie. W Koźienicach wojsko pożegnało księcia Józefa krótkimi, lecz niezapomnianymi słowy: „Dopóki imię żołnierza nie wygaśnie, dopóki cnota wdzięczności ludziom miła będzie, zaręczamy mu tem pismem naszą niesmiertelną wdzięczność, głębokie uszanowanie i niezemniezartate przywiązanie nasze. Aby zaś niniejszy hołd, który męstwu, enocie, talentowi i szlachetności duszy jego oddajemy, całemu światu był wiadomy, medal ten załączamy i t. d.“ Po tem zaszczytnem rozstaniu się, tegoż dnia wyjechał książę do stolicy.

W r. 1794 książę Józef nie spieszył z przybyciem do kraju. Samem pojawieniem się swoim mógł mimowoli przybrać barwę pretendenta do utraconego naczelnictwa i wprawić w zakłopotanie prawdziwego naczelnika, mógł wprost nie być pożądanym. Ale i król, który go tak niedawno przegnał, aby się uwolnić od jego nieprzyjemnego, moralnego nagabywania, teraz z tych samych pobudek samolubnych, osamotniony, w pośrodku wzburzonej Warszawy, nagwałt wzywał go do powrotu, aby skryć się za jego moralną zasłoną. Książę Józef spotkał się z Kościuszką w opactwie Jędrzejowskiem. Spotkanie było suche ze stron obydwóch. Czego sobie książę życzysz? spytał Kościuszko. Służyć prostym żołnierzem—odrzekł Poniatowski. Kościuszko zaraz zaofiarował mu dowództwo na Litwie, książę Józef odmówił, odstępując je Wielhorskiemu, a sam wyraził życzenie udania się bezzwłocznego do Warszawy, gdzie go pragnął mieć wystraszony król. Podczas tej rozmowy Sanguszko w obozie przygotowywał starszyznę i żołnierzy na obecność Poniatowskiego. „Zrazu szlachta zacięła się i milczą,“ skoro przecie ukazał się książę, nagle na jego widok szeregi wystąpiły pod broń, po staremu ozwały się wiwaty, zaдузо zapewne dla gościa w cywilu, trochę nawet wbrew subordynacyi, potem znowu wnet nastąpiła reakcja, cofnięto się. Książę zamknął się w namiocie Sanguszki, gdzie przenocował a nazajutrz udał się do Warszawy. W starciu pod Błoniem przyznano mu część zasługi. Z kwatery swojej na Powązkach kierował energicznie czynnościami swego kilkotysięcznego korpusu. Na stanowisku, bardzo z tej strony narażonem, ucierał się prawie co dnia z nieprzyjacielem, osobiście prowadził śmiało wycieczki, wziął nawet trochę niewolnika, ale niebawem odwróciła się fortuna. W drugiej połowie sierpnia, Prusacy, rozpoznawszy słabe strony pozycyi Poniatowskiego, przypuścili do niej całą siłą niespodziewany atak nocny, opanowali góry Szwedzkie i Wawrzyszew, zdobyli baterję z ośmiu dział. Była w tem po części wina podwładnego dowódcy bateryi, lecz po części także błąd takty-



czny i nieopatrność Poniatowskiego, który nadto, przypadkiem, w chwili rozpoczęcia ataku nie był przytomny. Gdzie był tej nocy próżnoby dociekać, próżno złe plotki sprawdzać. Tyle pewna, że po pierwszych wystrzałach znalazł się natychmiast na stanowisku, walczył do dnia, miał konia pod sobą postrzelonego, mundur i kapelusz przeszyte kulami i odniósł lekką kontuzję. Rozpacz jego, wedle świadków naocznych, była nadzwyczajną. Rozumiał, że ze stratą szanów i armat stracił resztę powagi. Usunął się nazajutrz książę z posterunku, zdawszy dowództwo Dąbrowskiemu i udział jego w kampanii 1794 r. pozostał już do końca drugorzędnym.

Rozdziały pracy Askenazego, poświęcone księciu Józefowi, w epoce od 1795 do 1806, opuszczę zupełnie, nie dla tego jednak ażeby były bez znaczenia i nie przynosiły żadnych nowych i ważnych szczegółów. Przeciwnie, w rozdziale powyższym znajduje się dużo cennego materiału, odnoszącego się jednakże do stosunków prywatnych: towarzyskich i majątkowych księcia Józefa. Wolę jednakże poświęcić więcej miejsca publicznym sprawom i dla tego rozpoczynam od roku 1806, gdy z długiego letargicznego uśpienia zbudziły księcia Józefa, wstępujące do Poznania i Warszawy wojska francuskie. Wjeżdżającego do Warszawy Murata, witał książę Józef obwieszony jeszcze pruskimi orderami. Z Davoutem było przywitanie się jego zimne i nieufne. Nazajutrz jednak rozmówił się książę Józef otwarcie z Muratem, pociągany ku niemu niektórymi wspólnymi rysami charakteru. W drugiej połowie grudnia powitał Poniatowski w Warszawie Napoleona. Przyjęty był w pierwszej chwili dość chłodno, nawet surowo. Nie występował wszakże, jako dworak, ale jako sługa swego kraju. Zdał cesarzowi ścisłą sprawę techniczną ze stanu rzeczy wojskowych, a nie wahał się także przyjąć wyższego, obywatelskiego obowiązku, przekładając mu otwarcie i mocno ogólniejsze zagadnienia narodowe. W r. 1807 książę Józef, zbliżywszy się do Napoleona, złożył mu zasadniczy memoryał polityczny. Przemawia w nim ze szczerością roztropną i silną, przedstawia rzecz ze spokojną i przekonywającą powagą z punktu widzenia czysto francuskiego, apeluje nie do sentymentu, ale do rozumu. „Przyszłość Polski (jego słowa) oczywiście krew moją pochłania, moja krew, moje życie do niej należą, lecz okoliczności obecne nakazują mi przytłumić w głębi mej duszy uczucia wyłącznie polskie.“ Tem dobitniej wystawia natomiast argumenty rozliczne, domagające się ziszczenia pragnień uczuciowych, wyklada interes francuski i europejski najściślej zgodny z interesem polskim. Odwołuje się przytem do dawnych przyrzeczeń generała Bonapartego i dosadnie maluje niejasne, rostrzelone położenie kraju. Ja sam, powiada, czyliż

nie jestem generałem rosyjskim, pruskim i austriackim. W końcu książę Józef zaleca ustawę majową, zaleca objęcie rządów nad 14 milionami Polaków, jeśli nie przez samego cesarza, to przez członka jego rodziny, wyrzekając się na razie conajwyżej obojga Galicyi, ze względu na niebezpieczeństwo austriackie. To był czysty, męźny i mądry głos obywatela. W tym samym czasie odzywano się inaczej do Napoleona. Zajączek doręczył cesarzowi pismo, całkiem odmiennie brzmiące, technące myślą dworacką, partyjną, emigracyjną. Dopraszał się on ustawy i praw francuskich, oskarżając ustawę majową o niedostateczną dla Włościanina troskliwość.

Jako dyrektor, a później jako minister wojny, objawiał książę Józef energiczną czujność na honor i interes krajowy. Kiedy w pierwszej chwili była mowa o nadaniu wojsku polskiemu kokardy francuskiej, oparł się temu z całą stanowczością i przeparał utrzymanie kolorów narodowych. W sprawie regulaminu przyjął wprowadzić znakomite ustawy francuskie służby obozowej i garnizonowej, urządzające musztrę, szyk, kontrolę i gospodarstwo w linii, ale co do karności i porządku wewnętrznego, gdy kraje różnią się między sobą charakterem szczególnym, zachował artykuły wojskowe polskie według regulaminu dawniej przez Komisję wojskową obojga narodów zaprowadzonego. Pracował bez wytchnienia po dniach i nocach całych. Nie zaznał i odpoczynku ani też, co gorzej, wewnętrznego spokoju. Nie był w zupełnej harmonii z Komisją rządzącą. Doznawał drobnych i większych ukłóć, wśród nieprzyjemnej jego sytuacji podwójnie dotkliwych. W szczególności narażony był na ustawiczne kłopoty z powodu absolutnej niemożności utrzymania należytej dyscypliny i zapewnienia sobie posłuszeństwa wśród krzyżujących się potrójnej kreacyi oficerów. Namnożyło się pełno „generałów ziemiańskich, szefów, brygadyerów“ którzy po prostu żartowali sobie z rozkazów dyrektora wojny. Książę zmuszony był chwycić się surowych środków represyi, czem znowu ściągnął na siebie tysięczne nowe pretensye i oskarżenia. W tym okresie przejściowym, organizacyjnym zyskał sobie może najwięcej nieprzyjaciół, a jednak gdzie tylko było podobnem, sam dogadzał i służył nie oglądając się na osobę.

W politycznych czynnościach księcia Józefa uderzała jego prawność z rzadką połączona trafnością i ten duch tak zręczny rycerskiej otwartości, co bez pozorów tajemnicy umiał to tylko, co chciał objawić, kiedy na pierwszy rzut oka przenikał skrytość i cienie obłudy. Książę żołnierz miał nieskazitelną, najszacowniejszą i najrzadszą subtelność szlachetności. Poniatowski prócz czynności zawodowych w ministerjum wojny, stale brał udział bezpośredni

i czynny w zbiorowej działalności rządu w Radzie stanu i ministrów. W wyborze i użyciu ludzi postrzegać się dawała w księciu Józefie, wraz z większym doświadczeniem, obszerna rozwaga. Trudno zaś sobie wyobrazić szlachetniejszy i cieplejszy stosunek wodza do armii, aniżeli ten, jaki snadnie wytworzył, zwłaszcza pod koniec, począwszy od czasu zwycięskiej kampanii galicyjskiej. Obchodzenie się jego nie tylko z oficerami, ale i z prostym żołnierzem, było na poły braterskie, na poły ojcowskie. Często bywał gościem w koszarach, uważnie zaglądając w najdrobniejsze szczegóły gospodarcze i służbowe, a po mustrze zazwyczaj zsiadał z konia, wchodził między szeregi, troskliwie rozpytując szeregowców o ich odzież, pożywienie, pracę, traktowanie przez przełożonych, poczem nieraz brał dwóch wiarusów pod rękę i prowadził ich do siebie na obiad. Nie były to ze strony księcia proste demonstracje, obliczone na popularność, był to wyraz serdecznego ze swoją bronią zespolenia się, a zarazem głębokiego przekonania, że ta broń w ówczesnych warunkach stanowiła najważniejszą podstawę bytu oraz przyszłości kraju.

Na wiosnę 1809 r. znalazł się książę Józef bez żadnego przygotowania, bez żadnej prawie możności skutecznej obrony, wobec niespodziewanego ataku austryaków, zalewających połowę kraju. Świeża, ledwo zorganizowana armia polska, nie mogła obronić ani Krakowa, ani Warszawy. Na kogo zwalić winę? oczywiście na wodza. Głucha nieufność ogarniała stolicę, przenikała do armii, zatrutym oddechem otaczała każdy krok ks. Józefa. On odpowiedział na wszystko, wydając Austryakom bitwę pod Raszynem, gdzie wzięwszy bagnet od szeregowca, prowadził osobiście w ogień batalion pierwszego pułku piechoty Małachowskiego. Bitwa pod Raszynem ta odruchowa decyzja, raczej honoru niż rachuby, okazała się i pod względem praktyczno-wojskowym i moralno-politycznym, nie tylko natchnieniem pięknem, ba, co ważniejsza, zbawiennem. Tegoż wieczora rozpoczęto odwrót, książę po północy wrócił do Warszawy. Nikt w mieście nie spał, wszyscy potracili głowy, wszyscy radzili, wszyscy po nad głowę księcia podejmowali się ratować rzecz publiczną, nikt nie rozumiał, że on ją tego dnia uratował naprawdę. Nazajutrz, gdy zjechał się z arcyksięciem Ferdynandem, w karczmie za rogatkami Jerozolimskimi, usłyszał od niego natarczywe namowy do porzucenia sprawy napoleońskiej. Wszystkie te propozycje otrzymały należytą odprawę. W układach zaś okazał czujność i uzyskał warunki nadzwyczaj korzystne. Szczęśliwie wykonał dywersję galicyjską, myśl bardzo śmiała, nie własna wprawdzie, którą łatwiej było uplanować podkomendnym, aniżeli wodzowi urzeczywistnić, wziąć na swoje barki, na swoją odpowiedzialność. Organi-

zacyjna działalność księcia Józefa w Galicyi, wzięta na ogół, zasługuje nie tylko na absolutoryum, ale i na chwalebne uznanie. Kampania z r. 1809, zdwajając niemal Księstwo, okryła sławą całą armię księstwa, oczyściła atmosferę, sprostowała opinię, na prawdziwie naczelne stanowisko wyniosła księcia Józefa. Odbierał też książe zaszczytne dowody uznania od swoich i obcych. Najważniejszym jednak jest to, że od tej chwili odnaleziony był i ubezpieczony w dziejowym sercu Polski tradycyjny ks. Józef.

W r. 1811 Adam Czartoryski wtajemniczył księcia Józefa w plany cesarza Aleksandra względem Księstwa Warszawskiego, pragnąc go dla nich zjednać, a odciągnąć od Napoleona. Książę Józef stanowczo odmówił, a w początku kwietnia, korzystając z urodzin króla Rzymskiego, udał się osobiście do Paryża. To poskutkowało, albowiem otworzyły się oczy Napoleonowi. Natychmiast zarządzone zostały nadzwyczajne środki ostrożności w Księstwie, a następnie rozpoczęto olbrzymie zbrojenie Warszawy. Zachowanie się Poniatowskiego w tych przejściach krytycznych 1811 r. tem większą posiada doniosłość, im jaśniej ukazuje się cały dalekonośny zakres naszego przesilenia. Trudny obowiązek, jaki w tej trudnej dobie spadł na jego barki, wypełnił z zupełnem zaparciem się siebie, a co większa z rdzennie narodowem przecuciem, z mądrością serca. Jednakże jedna jego dobra rada nie znalazła posłuchu u Napoleona. Książę Józef, na konferencyach w Paryżu z cesarzem, kładł nacisk na prowincye południowo-zachodnie, jako pierwszorzędny obiekt strategiczny, sam ofiarował się z całą armią Księstwa Warszawskiego maszerować na Wołyń. Ale ta myśl Poniatowskiego, podobnie jak pokrewny plan Sokolnickiego, została odrzucona przez cesarza. Zachowanie się Poniatowskiego w r. 1812 było bez zarzutu. Pod Smoleńskiem, Borodinem i Czarykowem korpus jego szedł w zawody z najbitniejszymi wojskami francuskimi, a pod Woroneżem ocalił od zagłady skrzydło Murata, a może i sam środek wielkiej armii.

W 1813 r. gdy książę Józef pociągnął na czele wojska do Krakowa, znaleźli się ludzie najgodniejsi, równiej cnoty, a nawet większej od Poniatowskiego rozwagi i doświadczenia, co pragnęli zerwać z Napoleonem i pociągnąć księcia Józefa za sobą. Widziano w tem jedyną deskę ratunku i nie pojmowano, że tą drogą nie uratowanoby niczego, że nie tylko nie zabezpieczonoby tym sposobem interesów Polski, ale nawet w gruncie rzeczy istotnych interesów Rosyi, bo pracowanoby na prawdę „pour le roi de Prusse.“ Pomimo, że z każdą chwilą powiększała się pustka wokoło księcia Józefa, i pomimo że wysyłano do niego z namową coraz to wpływowsze osobistości, książę Józef postanowił nie ulegać pokusom zwodniczych

obietnic, pragnących jedynie wyzyskać trudność chwili bieżącej i wyruszył na saskie pobojowiska. Znowu zachowanie się jego w kampanii 1813 r. było bez zarzutu. Dnia 19 Października, czterokrotnie ranny, odpowiadał na wszystko „il faut mourir en brave.“ Następnie, pieszo idąc przez błotniste ogrody do Elstery, zapewne śmiertelnie ranny, miał już śmierć w spojrzeniu i wyrazie. Na widok nadciągającej piechoty nieprzyjacielskiej porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą stronę piersi, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się znika pod wodą.

Literatura nasza posiadała już dwa studia biograficzne dotyczące księcia Józefa, nie licząc mnóstwa artykułów drobniejszych, które się kryły po różnych encyklopediach, lub żywotach sławnych polaków. Pierwsze studium, napisane przez pułkownika Bogusławskiego (1831), zawiera nieco materiału archiwalnego, oświecającego kampanie z 1792 i 1809 r. Drugie, Franciszka Paszkowskiego, zawiera znowu dość szczegółów interesujących z czasów służby austriackiej księcia Józefa. Obie biografie jednak nie mogą być dzisiaj uważane za wystarczające i opierają się na skąpym materiale źródłowym. Prof. Askenazy przedewszystkiem starał się wyszukać materiał archiwalny, dotychczas niewyczerpany, i to mu się w znacznej części udało. Petersburg, Warszawa, Berlin, Wiedeń, Paryż, Jabłonna, Krzeszowice, Kraków dostarczyły mu wielu cennych szczegółów i na podstawie rozległego materiału źródłowego dał nam pełny, wierny i wyczerpujący portret historyczny księcia Józefa.

Autor nie rozproszył swej uwagi i nie zgubił się wśród mnóstwa drobnostek, jakich mu dostarczył bogaty materiał, cwiecający obficie wszystkie epoki życia księcia Józefa. Dał nam on wytworny portret historyczny, w którym spostrzegamy wyraźnie i dobitnie najważniejsze przymioty charakteru, serca i umysłu księcia Józefa. W portrecie tym poznajemy Poniatowskiego, jako wodza, czy na polu bitwy, czy przy pracy gabinetowej, czy w obozie lub koszarach, troskliwie wdającego się w zaspokojenie potrzeb szeregowca. Widzimy go, z jego trzeźwym, a jak sam się wyrażał, „głupim umysłem“ wśród poważnych obrad ministeryalnych i Rady Stanu, a wreszcie poznajemy go, jako obywatela prawego w czasach najsmutniejszych, czującego wstręt do wszelkiej targowicy, łudzącej naród podstępniemi obietnicami chwilowych korzyści. Jednem słowem, prof. Askenazy dał nam w swej pracy mistrzowski portret historyczny księcia Józefa. W książce jego odtworzona została wzo-

rowo cnota obywatelska i żołnierska Poniatowskiego i niewątpliwie zyska ona uznanie trwałe i wysokie w literaturze naszej historycznej.

A. R.

FELIKS KUCHARZEWSKI. „*Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed rokiem 1875.*“ Warszawa 1904, drukiem Rubiszewskiego i Wrotnowskiego. 8-ka, str. 105. Skład w księgarni E. Wendego i S-ki.

Studia nad historią prasy polskiej, pozostają wciąż kopciuszkim w badaniach nad dziejami piśmiennictwa polskiego. Wdzięczny też, a tem pożyteczniejszy, że zaniedbany u nas trud podjął p. Feliks Kucharzewski, przysparzając nam dzieło, będące cennym przyczynkiem nie tylko do historii piśmiennictwa technicznego, ale i źródłową pracą w zakresie dziejów prasy w Polsce.

Wybornie obeznany z przedmiotem, autor wielu dzieł specjalnych z niniejszego zakresu, p. Kucharzewski przedstawił obraz czasopiśmiennictwa, szeroko uwzględniając nie tylko wydawnictwa ściśle techniczne, ale i mające z nim pośredni związek—organy przemysłowe i ekonomiczne. Zarys przedstawionych przez autora dziejów czasopism rozpoczyna się od zaznaczenia artykułów technicznych, drukowanych w łacińskim wydawnictwie „*Mercurius Polonicus*,” ogłoszonym w r. 1698, prawdopodobnie w Krakowie (Lechiopolis). W Priamowskim piśmie umiejętności techniczne były jednak traktowane dorywczo, nie stanowiąc bynajmniej programu wydawnictwa. Szerzej sprawy te uwzględniały Mizlera „*Nowe wiadomości ekonomiczne i uzione*“ (1758—61), choć i tu umieszczone artykuły „o occie,” lub „maszynach pływających po stawie,” nie mogą pozować na rozprawy naukowe.

Zawiazkiem czasopisma fachowego okazał się zaledwie w r. 1766 w Gdańsku wydawany zbiór rozpraw p. t. „*Solutiones problematum.*“ W trzy lata później w Warszawie u Gróla wychodzą „*Różne uwagi fizyczno-chymicznego warszawskiego towarzystwa na rozszerzenie praktycznej umiejętności w fizyce, ekonomii, manufakturach y fabrykach.*“ Pisemko to pierwotnie po niemiecku, a następnie w przekładzie polskim wydawane, pragnęło służyć technice i przemysłowi krajowemu. „*Różne uwagi,*“ ożywione były jak najlepszymi chęciami, a pragnąc żywiej pobudzić pracę technologiczną, proponowały nawet założenie specjalnego laboratorium „w którymby nie tylko w innych już znajome, ale u nas jeszcze nieswiadome

sposoby niektórych sztuk i rzemiosł należycie i z wszystkimi fortelami tych ćwiczone, którzyby nie żałowali tą albo ową fabrykę czyli manufakturę założyć, ale w którymby też usiłowano nowe zaś i nie wydoskonalone jeszcze manufaktury odkryć i polepszyć, ba i niektóre subtelne rzeczy np.: subtelne farby, lak i pokosty, czego jeszcze nie wiele robiono i przedawano.“

Prawie jednocześnie bo od grudnia 1768 r. Krone drukował „Uwagi tygodniowe warszawskie, ku upowszechnionemu pożytkowi przełożone, o pomnożenie ekonomii w Królestwie Polskiem.“ Było to przecież czasopismo głównie rolnicze, choć p. Kucharzewski niesłusznie nie wymienia takich artykułów, jak „Doświadczone przepisy wysuszenia bagnów i błót“ (№ 4), „O pługu“ (№ 8), albo „O bronie“ (№ 12), które zarówno z rolnictwem, jak techniką w bezpośrednim zostawały związku. Wydawnictwa te były krótkotrwałe, i dopiero od r. 1786 ogłaszany „Dziennik Handlowy“ znalazł lepsze poparcie, choć odbiorców nigdy nie miał za dużo i utrzymywał się głównie z ofiarnej pracy redaktora. „Dziennik“ lubo zajmował się przemysłem, był organem bardziej ekonomicznym, niż technologicznym. Z takiego też zakresu artykuły pomieszczał „Pamiętnik historyczny“ i „Magazyn warszawski“, czasopismo, redagowane przez ks. Piotra Świtkowskiego.

Szersze uwzględnienie znalazły umiejętności techniczne w prowadzonym przez Kukulnika, a następnie inż. W. Gutkowskiego, zamojskim „Dzienniku Ekonomicznym“ (1803 — 4), choć i tu po za artykułami o zasadach gospodarczości, ledwie gdzieś trafi się rozprawa, głównie z zakresu budownictwa. Wogóle, aż do chwili ukazania się w Warszawie w r. 1820 świetnego czasopisma p. t. „Izys Polska,“ wszystkie rozrzucone po różnych miesięcznikach i tygodnikach artykuły techniczne mają charakter przygodny i nie znajdują należytego uwzględnienia w redakcyach. Ogłoszenie nadzwyczaj starannie redagowanej „Izydy“ jest też prawdziwą erą w polskiej literaturze technicznej i przynosi zaszczyt zarówno nauce, jak prasie. W rocznikach „Izydy“ spotykamy artykuły najbardziej uzdolnionych ówczesnie specjalistów w zakresie wiedzy technicznej. Wraz z „Izydą“ ożywia się ruch w Warszawie, powstaje „Pamiętnik Umiejętności, Sztuk i Nauk“ (1824 — 26), specjalny organ leśniczy „Sylwan,“ później „Pamiętnik warszawski umiejętności czystych i stosowanych“ (1829), w tym też czasie powstaje „Sławianin,“ „Piast,“ a nadto „Pamiętnik fizycznych, matematycznych i statystycznych umiejętności, z zastosowaniem do przemysłu“ (1830). Rozkwit piśmiennictwa w Warszawie, w dobie Królestwa Kongresowego natychmiastowo upada jednak wraz z nadejściem wypadków z r. 1830. Po silnych przejściach politycznych „następuje przeszło dwu-

dziesięcioletni peryod błakania się prac i artykułów technicznych po pismach rolniczo-technologicznych, naukowych, ogólnej treści i kalendarzach“ (str. 55).

Zastój w czasopiśmiennictwie technicznym ustaje dopiero z chwilą, kiedy Bolesław Podczaszyński podejmuje w r. 1850 „Pamiętnik Sztuk Pięknych,“ po którym w dziesięć lat później ukazuje się „Dziennik Politechniczny.“ Wokół pisma obok redaktorów, braci Marczewskich, zgrupowało się grono współpracowników, których większość tworzyły osobistości ówczesnego świata naukowego, technicznego. Jeszcze „dziś — pisze p. Kucharzewski — z pożytkiem zaglądamy do tego zbioru prac cennych, odnoszących się do rzeczy krajowych i zachowujących zawsze swą wartość.“ Z upadkiem „Dziennika“ w r. 1862 następuje przerwa — bez organu specjalnego, ale już w r. 1866 powstaje „Przegląd Techniczny (dawny), stanowiący zdaniem p. K. ogniwo pośrednie pomiędzy „Dziennikiem Politechnicznym,“ a obecnym „Przeglądem Technicznym,“ założonym przez p. St. Kosutha, a wzorowo prowadzonym przez autora omawianego dzieła. Wogóle po r. 1864 budzi się żywszy u nas ruch techniczny; fachowe czasopisma widzimy w Galicyi i Wielkopolsce, a w ostatnich latach jesteśmy świadkami specjalizowania się tych wydawnictw, — założono więc „Chemika,“ „Gazetę Cukrowniczą,“ „Przegląd górnictwo-hutniczy,“ „Architekta“ i t. d.

O najnowszem piśmiennictwie p. Kucharzewski nie wspomina, co zresztą nie było jego obowiązkiem, skoro w tytule zastrzegł sobie omówienie prasy technicznej tylko po rok 1875. W książce p. K. czytelnik znajdzie wiele interesującego, często zupełnie nowego materiału, choć pracy tej nie można nazwać całkowitą, ile że autor nie o wszystkich wspominał wydawnictwach. I tak np. pominięto zupełnie „Krakowskie Kointeligencye y Wiadomości, tak dla łatwiejszego sposobu w rządach publicznych handlu y żywności, jako też Kunsztów y Nauk podane.“ Pismo to wydawane od dnia 29 lipca 1769 r. (in IV-to), sądząc z pierwszego numeru, jaki miałem w ręku, mieściło wiele wiadomości z zakresu przemysłu i rzemiosł. Niesłusznie też autor pominął „Dziennik rolniczo-ekonomiczny“ (Warszawa 1793) Podlewskiego, i „Dostrzegacz ekonomiczny“ a następnie „Pamiętnik Gospodarczy i Naukowy Lubelski“ (1816—17). Pisma te już ze względu na swój czas wychodzenia zasługiwały na szerszą wzmiankę. Te drobne braki, jakie wyłaniają się z „Czasopiśmiennictwa Technicznego,“ w niczem nie mogą zresztą obniżyć wartości dzieła, za które autorowi szczerze należy się uznanie.

STEFAN GORSKI.



E. PRATT. „*The Organization of Agriculture*“ London. Murray 1904 str. 403.

Jak powszechnie wiadomo, Anglia była pierwszym państwem, które zniosło wszystkie cła rolnicze około połowy zeszłego wieku; rząd wytrwał niezłomnie przy tej zasadzie aż do obecnej chwili. Z początku zmiana położenia nie zbyt dała się we znaki angielskiemu rolnictwu, ceny zboża były stosunkowo wysokie, a rząd starał się złagodzić przejście od systemu protekcyjnego do systemu wolnego handlu szeregiem administracyjnych zarządzeń; udzielał rolnikom taniego kredytu na przeprowadzenie drenowania, a później gdy bydło i mięso amerykańskie zaczęło się pojawiać na targu angielskim, starał się zwalczyć współzawodnictwo zamorskie surowymi przepisami, policyi sanitarnej i weterynaryjnej, niejednokrotnie uniemożliwiającymi przywóz bydła, a utrudniającymi przywóz mięsa. Ale i te środki wystarczyły nie na długo, szybko wzrastający import drobin, jaj i masła stał się dla rolnictwa angielskiego nową klęską, którą trzeba zwalczać innymi sposobami.

Angielscy rolnicy dopatrują się jednej z głównych przyczyn zwycięskiego współzawodnictwa wielu zagranicznych towarów w kolejowych należnościach przewozowych, obliczanych ich zdaniem znacznie wyżej dla wytworów rolniczych angielskich, jak dla innych.

Edwin *Pratt* stara się wykazać mylność tego rozumowania. Zagraniczne towary występują na kolejach w formie wielkich, zazwyczaj całowagonowych przesyłek, powtarzających się regularnie w peryodycznych odstępach czasu.

Nic więc dziwnego, że zarządy kolejowe udzielają większych refakcyj zagranicznym przesyłkom, jak towarowi miejscowemu, nadawanemu nieregularnie w drobnych ilościach przez poszczególnych wytwórców. Zamiast tracić czas na bezowocnem narzekaniu, Angielscy rolnicy powinni brać przykład z ościennych krajów i łączyć się w stowarzyszenia, celem wspólnego dowożenia na targ wszystkich produktów wytworowych przez członków, a wówczas uzyskają z pewnością te same refakcje, co zagraniczni dostawcy. Te nieliczne spółki, które już powstały, korzystają ze zniżek frachtowych.

*Pratt* zwraca uwagę swych współziomków na okoliczność, że nadawcami towarów zagranicznych, których współzawodnictwo daje się tak bardzo we znaki angielskim rolnikom, są w wielu wypadkach, a liczba właśnie tych wypadków coraz bardziej wzrasta, stowarzyszenia, a nie osoby prywatne. Zdaniem autora, jednym z najważniejszych powodów, niezadawalniającej rentowności gospodarstw rolnych w Anglii, jest niestosowanie formy współdzielczej, która tak znako-

mite usługi oddała rolnictwu innych krajów, współzawodniczącemu z powodzeniem wytworami miejscowymi. Chcąc tezę swoją poprzeć przykładami, Pratt przedstawia czytelnikowi obraz rozwoju kooperacyi zagranicą w najogólniejszym zarysie. Dla nas kwestya wysokości angielskich taryf kolejowych, opłacanych przez tamtejszych wytwórców, niema znaczenia bezpośrednio aktualnego, ale porównawczy szkic stowarzyszeń rolniczych w różnych krajach jest nader pouczającym, ponieważ jest to, o ile mi wiadomo, pierwsza próba przedstawienia całokształtu współczesnej kooperacyi rolniczej, co w znacznej mierze tłumaczy, nawiasem mówiąc, nieuwzględnienie wielu ważnych momentów w książce. Dotąd zadawalniano się zazwyczaj opisem i rozbiorem objawów kooperacyi w granicach jednego państwa lub kraju, *Pratt* przelamał tę tradycyę, potrąca także mimochodem i o stosunki polskie.

Zastanawiając się nad dowozem jaj zagranicznych do Anglii, wspomina w kilku zdaniach o znacznych dostawach z Galicyi, o organizacyi handlu jajami w naszym kraju i o stosunkach przewozowych. Wedle niego ajenci firm angielskich, zamieszkali w miastach galicyjskich, mających stałe targi na jaja, skupują jaja od żydów, którzy pośredniczą między nimi, a chłopami, wreszcie wspomina o trzech fabrykach albuminu w Podwoleczyskach. Działalność towarzystw rolniczych w Królestwie również nie jest obcą angielskiemu autorowi. Wiadomość o nich czerpie on ze sprawozdań konsulów angielskich; zwraca uwagę angielskich fabrykantów maszyn rolniczych na towarzystwa, jako na wielkich i pewnych odbiorców tego towaru. O galicyjskich towarzystwach rolniczych niema osobnej wzmianki, natomiast znajdujemy kilka ogólnych, a bardzo charakterystycznych spostrzeżeń o austriackiej organizacyi, tamtejsze stowarzyszenia rolnicze okazują mało tego ducha samopomocy, który stanowi podstawę rozwoju angielskiej kooperacyi, przeciwnie opierają się przeważnie, na znacznych zasiłkach rządowych.

*Pratt* stwierdza z niepomiernem zdziwieniem, że posiedzenia miejscowych władz administracyjnych (krajowych, powiatowych i t. d.) celem rozdziału zasiłków rządowych między stowarzyszenia rolnicze rozmaitego rodzaju, uchodzą w Austrii za objaw zupełnie normalny. Wszyscy starają się oświecać ludność włościańską o korzyściach assocyacyi: namiestnicy, starostowie, rady powiatowe, krajowe, c. k. towarzystwa rolnicze, duchowni, a nawet nauczyciele szkół ludowych wiejskich, próbują swych sił na tem polu z mniejszem lub większem powodzeniem.

Autor zaznacza istnienie podobnych dążeń na Węgrzech, ale uważa je za uzasadnione wyjątkowemi stosunkami, a mianowicie bar-

dzo niekorzystnymi warunkami życia gospodarczego, zwłaszcza brakiem dogodnego kredytu. *Pratt* ma tu na myśli w pierwszym rzędzie powiaty północno-wschodnie, bardziej góryste zamieszkałe przez Słowian i Rumunów, w których osiedliło się wielu Żydów z Galicji i Królestwa, trudniących się kramarstwem wiejskim, sprzedają napojów alkoholycznych i dawaniem pożyczek na bardzo wysoki procent. Autor opisuje stowarzyszenia kredytowe, spożywcze, wielce zbliżone do sklepików galicyjskich, kółek rolniczych i inne mniej rozpowszechnione, stwierdza zmniejszenie się lichwy i pijaństwa skutkiem działalności stowarzyszeń.

Ze szczególnem zamiłowaniem zajmuje się *Pratt* kooperacją rolniczą dworską; nie szczędzi jej uznania. Duńskie spółki mleczarskie stały się wzorem, który mieszkańcy Europy, Ameryki, Australii starają się naśladować w miarę sił i możliwości. Nic więc dziwnego, że zwiedzanie Danii i opisywanie jej urzędzeń staje się, coraz częściej. Zastanawiającem jest fenomenalnie szybki postęp na tem polu. W r. 1882 zakłada Stilling Andersen pierwszą spółkę mleczarską, a w r. 1887 rolnicy duńscy zawiązują pierwszą spółkowaną rzeźnię świń, a zatem mamy tu do czynienia z urządzeniami najświeższej daty, które mimo braku tradycyi i doświadczenia, ogarnęły cały kraj w krótkim czasie i doprowadziły do świetnych, powszechnie znanych wyników. Doniosłość tych zdobyczy gospodarczych uprzytomnimy sobie w całej pełni, gdy uwzględnimy, że Dania nie broni swego rolnictwa wysokimi cłami, wbrew niemal ogólnej praktyce innych państw, i że odrodzenie kraju nastąpiło po przegranej wojnie, która stała się hasłem nie zniechęcenia, lecz przeciwnie napięcia wszystkich sił celem powetowania poniesionych strat. Duńska kooperacja rolnicza jest wynikiem niezwykle wysoko rozwiniętego poczucia solidarności społecznej, rzeźnie spółkowe wymagają znacznego kapitału, który zbierają nie udziałami, lecz pożyczką, zabezpieczoną solidarną gwarancją członków za wszystkie zobowiązania stowarzyszenia. Członkowie zobowiązują się dostarczać cały swój przychówek wspólnej rzeźni. Jestto jedynie skuteczny środek przeciwdziałania konkurencyi, ofiarującej lepsze ceny za świnię, jak spółka, ale jego zastosowanie możliwem jest tylko w razie wielkiego zaufania do kierownictwa spółki i silnego poczucia wspólności interesów wśród członków. Najlepszym dowodem rozwoju spółek dla sprzedaży jaj i masła jest fakt, że Duńczycy całą swoją produkcję wysyłają zagranicę, głównie do Anglii, a sami zadawalniają się tańszymi jajami i masłem, importowanem do Danii. Liczne stowarzyszenia spożywcze wiejskie są charakterystycznym objawem pracy współdzielczej duńskiej. Jak wiadomo, w innych krajach, prócz Szwajca-

ry, ta forma stowarzyszeń jest niemal nieznaną, aczkolwiek istnieją liczne stowarzyszenia spożywcze miejskie. W Galicyi sklepiki kółek rolniczych mają podobny zakres działania, przeszły jednak przeważnie w ręce prywatne.

Kooperacya rolnicza w Szwecyi, Norwegii i Finlandyi wzorowała się na duńskich spółkach, zwłaszcza pochlubić się może dobrymi wynikami Finlandya, dzięki usilnej pracy towarzystwa: „Pellervo,“ które postawiło sobie za zadanie rozbudzenie dążności kooperacyjnych wśród ludności rolniczej. Spółki mleczarskie znalazły najpodatniejszy grunt i najlepsze warunki rozwoju w tych trzech krajach. Także w Holandyi, Belgii, w Niemczech, nawet we Francyi, spółki mleczarskie mnożą się szybko w ostatnich latach. Dla państwa niemieckiego, dla krajów koronnych austriackich, dla Węgier i Serbii, charakterystyczną jest w pierwszym rzędzie kooperacya kredytowa, liczne stowarzyszenia typu Raiffeisena lub podobne, przeznaczone do zaspokojenia potrzeb kredytowych ludności, mniej potrzebne w Danii lub Anglii, ze względu na wielki rozwój tamtejszych kas oszczędności, względnie banków. W krajach romańskich kooperacya rolnicza stoi gorzej, na ogół rzecz biorąc, najbardziej rozpowszechnione są stowarzyszenia dla wspólnego zakupna wszelkich potrzeb rolniczych: maszyn, nasion, zwłaszcza nawozów sztucznych.

Ustępy poświęcone stosunkom angielskim, irlandzkim, amerykańskim i australskim zawierają dużo mniej znanych szczegółów, znać, że autor pisze o przedmiocie, który dokładnie zna przeważnie z autopsyi lub na podstawie źródeł pierwszorzędnych. Pisząc o Stanach Zjednoczonych, daje nam opis stowarzyszeń wzdłuż linii kolejowej Chicago—New-Orleans, zawiązanych celem wspólnego przewozu i sprzedaży produktów ogrodniczych, chodzi o ujednostajnienie ceny i uzyskanie tańszych taryf dla przesyłek całowagonowych przez załadowanie wspólne towarów, wytworzonych przez wszystkich członków i ich łączną sprzedaż, zapobiegającą zbytniemu obniżeniu cen przez konkurencyę.

Rok 1890 jest początkiem irlandzkiego ruchu kooperacyjnego, który ujawnił się przedewszystkiem w zawiązaniu licznych spółek mleczarskich, trudniących się także równocześnie zbytem jaj, i kredytowych. Wypracowanie i wprowadzenie w życie tego programu odrodzenia ekonomicznego jest zasługą „towarzystwa dla organizacyi rolnictwa“ specjalnie zawiązanego w celu agitacyi za łączeniem się w spółki. Towarzystwo, nawet w obec najbiedniejszych irlandzkich włościan, nie odwołuje się w pierwszym rzędzie na bezpośrednie materyalne korzyści (tańszy kredyt i tańsze zakupna maszyn, nawozów i innych towarów, lepszą sprzedaż jaj i masła), które

spółka daje swym członkom, lecz zwraca się przedewszystkiem do poczucia solidarności i obowiązku wzajemnego popierania się — ten argument trafia do przekonania. To też irlandzkie spółki stawiają sobie także i cele ogólnokulturalne, zakładają czytelnie ksiązek i czasopism, są ogniskami życia towarzyskiego, dbają o moralne podniesienie członków podobnie, jak angielskie stowarzyszenia spożywcze robotników miejskich. Za wzorem Irlandyi zawiązano także przed czterema laty „towarzystwo organizowania rolnictwa“ w Anglii; autor opisuje jego działalność.

*Pratt*, pojmuje zbyt obszernie „organizację rolnictw,“ w pierwszym rzędzie ma na myśli stowarzyszenia, ale tu i owdzie przedstawia fakta zupełnie innego rodzaju, wspomina o udzielaniu kredytu hipotecznego rolnikom przez rządowe instytucje australskie, o szkolenictwie rolniczym. Ta niesystematyczność umniejsza nieco teoretyczną wartość pracy, ale przysparza cennego materiału faktycznego. Ostatecznie *Pratt* dochodzi do wniosku, że jedną z głównych przyczyn powodzenia zagranicznego rolnictwa na targach angielskich jest jego organizacja spółkowa, której brak stanowi Achillesową piętę rolnictwa angielskiego. Przeżył się typ dawnych towarzystw rolniczych, ograniczających swą działalność do wystaw i nagród. Podstawą nowożytnej assocyacji musi być praca współdzielcza w stowarzyszeniach, której oddziaływanie na życie gospodarcze jest znacznie skuteczniejsze. Jak wielkie znaczenie ma dziś problem kooperacyi, najlepszym dowodem, że w miesiąc po ogłoszeniu tej książki okazała się potrzeba drugiego jej wydania, do czego zapewne przyczyniło się i nazwisko autora. *Pratt* ogłosił niedawno głośną książkę o szkodliwości przesadnych żądań związków robotniczych „(trade-unions),“ umniejszających zdolność eksportową angielskiego przemysłu.

ADAM KRZYŻANOWSKI.

# Kronika miesięczna.

---

Pierwsze w kraju muzeum higieniczne w Częstochowie. — Biblioteki w miastach prowincjonalnych. — Decentralizacja towarzystw rolniczych. — Biuro pośrednictwa pracy. — Konkurs dramatyczny Tow. teatralnego w Łodzi. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maksymilian Jackowski. — Ś. p. Wacław Pawliszak. — Ś. p. prof. Henryk Wernic.

W dniach 6, 7 i 8 stycznia r. b. odbyły się w Warszawie narady higienistów nad środkami, zmierzającymi do uzdrowienia naszych miast i miasteczek.

W szeregu wygłoszonych tam referatów największe obudził zajęcie referat mecenasa Rakowieckiego, poświęcony sprawie muzeum higieny ludowej w Częstochowie.

Po dłuższej dyskusji nad tym projektem, uchwalono, co następuje:

1-o. Sprawa muzeum higieny ludowej w Częstochowie jest obecnie jedną z najważniejszych spraw Tow. higienicznego.

2-o. Rada Towarzystwa wraz z wydziałem higieny ludowej, i oddziałem Częstochowskim T. H. powinny przedsięwziąć wszelkie środki w celu najrychlejszego skompletowania oraz otwarcia muzeum *tymczasowego* w lokalu wynajętym.

3-o. Rada Towarzystwa oraz oddział Częstochowski powinny poczynić energiczne i niezwłoczne starania, w celu otrzymania bezpłatnie, na własność T. H. placu miejskiego na rynku przed Jasną Górą, z przeznaczeniem tegoż placu pod budowę wzorowej chaty włościańskiej i urządzenia w niej stałego muzeum.

4-o. W razie otrzymania rzeczzonego placu pod Jasną Górą, Rada Towarzystwa winna niezwłocznie ogłosić konkurs na wzorową chatę włościańską, która byłaby wybudowana na tym placu.

Z uwagi na doniosłość muzeum w Częstochowie dla sprawy zdrowia ludu, jako muzeum ogólnokrajowego, T. H. Warszawskie, jako też wszystkie oddziały prowincjonalne, winny zapewnić muzeum w Częstochowie poparcie materyalne i moralne, a mianowicie:

a) Każdy oddział prowincjonalny powinien wyznaczyć pewną sumę, na budowę muzeum i na gromadzenie okazów.

b) Każdy członek starać się powinien o spopularyzowanie projektu muzeum wśród ogółu myślącego, o zachęcanie do przysyłania okazów i do składania ofiar na muzeum w Częstochowie.

c) Gromadzenie okazów dla muzeum Częstochowskiego odbywać się winno według stałego programu.

Widzimy z uchwał powyższych, że sprawa muzeum od razu postawiona została na właściwym gruncie.

Zobaczmy teraz, jak wygląda sam projekt i jakie są jego dotychczasowe dzieje w oświetleniu p. Rakowieckiego.

Cel muzeum polega na przedstawianiu pogładowem — za pomocą rysunków, fotografii lub modeli w naturze — wszelkich okazów, czyli przedmiotów, mających związek z higieną ludu, przyczem zwiedzającym będą udzielane krótkie wyjaśnienia o znaczeniu okazów.

Stosownie do instrukcyi muzeum Częstochowskiego, zatwierdzonej w dniu 22 lutego 1904 r. przez p. generał-gubernatora warszawskiego, zakres tegoż muzeum jest szeroki, gdyż obejmuje on zarówno higienę życia codziennego włościanina, jako też i dział higienicznodydaktyczny: 1) w sprawie mieszkań i sprzętów domowych, wiejskich; 2) w sprawie pokarmów i napojów wieśniaka; 3) w sprawie ubiorów ludu; 4) w sprawie utrzymania czystości ciała; 5) w sprawie higieny wychowawczej, ochron i szkółek wiejskich; 6) w sprawie zachowania przepisów higieny przy chorobach zakaźnych; 7) w sprawie higieny szpitalików wiejskich i ratownictwa i 8) w sprawie wszelkich innych zabiegów higienicznych.

Projekt założenia rzeczzonego muzeum został jednogłośnie przyjęty w końcu roku zeszłego przez oddział Częstochowski T. H., a następnie przez Radę tegoż Towarzystwa, poczem niezwłocznie rozpoczęto u władz rządowych starania o zatwierdzenie instrukcyi dla muzeum.

Po uzyskaniu tego zatwierdzenia, grono osób interesujących się tą sprawą, rozpoczęło starania o gromadzenie okazów do muzeum.

Do chwili obecnej T. H. otrzymało dla muzeum Częstochowskiego następujące dary:

1) od muzeum etnograficznego — model domu żydowskiego (z urządzeniem i umeblowaniem) z osady Łaszczów w pow. Tomaszewskim, gub. Lubelskiej, jako typ ujemny pod względem hygie-

niczmem. Model ten był wystawiony przez p. Bronisława Koskowskiego na II-iej wystawie higienicznej w 1896 r, z kąd przesłany był do muzeum etnograficznego. 2) od budowniczego Makowskiego — wypracowany przez niego z wielką starannością ciekawy plan wioski — z lotu ptaka — zdrowotnie pobudowanej. 3) od d-ra Ciechomskiego — model natrysków, funkcjonujących w fabryce warszawskiej Bormana i Szwedego; 4) od d-ra Tchórznickiego — model łaźni wiejskiej w dobrach Cieleśnicy; 5) od d-ra Bączkiewicza — słupy z poglądem przedstawieniem zawartości mleka; 6) od inż. Szczeniowskiego — próbki materiałów budowlanych złych i dobrych; 7) od d-ra Sawickiego — tablice budowy ciała i tablice ratownictwa; 8) od Towarzystwa opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi — kolekcję lalek w strojach ludowych; 9) pozostałe po II-iej wystawie higienicznej z 1896 r. *album*, składające się z licznych, starannie wykonanych tablic *pasorzytów i drobnoustrojów*; 10) wreszcie w ostatnich czasach muzeum Częstochowskie otrzymało dar znamienny i pocieszający: piękny model szkoły wiejskiej, opracowany przez włościan gminy Klimontów, pow. Miechowskiego. Model ten był przedtem własnością p. Dziedzickiego z Klimontowa i jako taki znajdował się na wystawie włościańskiej w Miechowie, kiedy zaś wydział higieny ludowej zwrócił się do p. Dziedzickiego z prośbą o ofiarowanie wspomnianego modelu dla muzeum Częstochowskiego, p. Dziedzicki odpisał, że model ten przeszedł na własność gminy, ale gmina na mocy uchwały formalnej ofiarowała go dla muzeum Częstochowskiego.

Po za tem budowniczey Makowski wypracował szczegółowe plany chaty wiejskiej, podług których obecnie wykonywa się model chaty dla muzeum. Wreszcie wydział higieny ludowej, staraniem przeważnie d-ra Chełchowskiego i mecenesa Kazimierza Rakowieckiego, przygotował przeszło 30 tablic, przedstawiających fotografie chat włościańskich, plany więcej postępowych chat, szpitalików wiejskich, szkoły wiejskiej, czworaków dla służby folwarcznej, plany ulepszonych gnojowisk, rysunki postępowych studni, pomp; plany i rysunki łaźni wiejskiej, tablice śmiertelności na ospę, tablice strawności i pożywności pokarmów i t. d.

Wymienione okazy, których mniejsza część znajduje się w Częstochowie, większa zaś będzie w krótkim czasie wysłana do miejsca przeznaczenia, łącznie z innymi okazami, które Tow. hyg. ma nabyć dla muzeum Częstochowskiego — będą stanowiły dostateczny materiał do zapoczątkowania i otwarcia tymczasowego muzeum w lokalu wynajętym.



Nie należy jednak zapominać o głównym celu — o stworzeniu *stałego* muzeum w wybudowanej specjalnie wzorowej chacie-włosciańskiej.

Na wykonanie tego potrzeba będzie względnie znacznych środków pieniężnych. Towarzystwo higieniczne, rozporządzające niewielkimi na cele ogólne środkami — nie podoła temu. Z tych więc względów odwołuje się ono do ofiarności publicznej, wierząc mocno, że hasło jego: „zdrowie ludu“ znajdzie żywy oddźwięk w sercach i w myślach wielu jednostek i pobudzi je do czynnego w tej sprawie współdziałania.

Sądzimy, że nadzieje te nie są płonne, zamierzona instytucja bowiem posiada istotnie dla kraju znaczenie doniosłe, nie tylko dla tego, że będzie nią *muzeum higieniczne*, ale i dla tego, że powstanie ono w Częstochowie. Przy licznym, corocznym napływie pielgrzymów do tej miejscowości, pielgrzymów, którzy przybywają z najdalszych i najmniej kulturalnych okolic, muzeum Częstochowskie stanie się prawdziwym rozsądnikiem pojęć o zdrowiu i potrzebach zdrowotnych i otworzy szerokim warstwom ludu oczy na jego liczne braki i niedomagania.

Posłannictwo to prawdziwie społeczne i zasługujące na poparcie wszystkich ludzi, społeczeństwo swoje miłujących.

\*

\*

\*

Jeżeli biadamy dość często nad tem, że inteligencja nasza prowincjonalna nie bierze żadnego udziału w ruchu umysłowym, który całkowicie skupia się w Warszawie, wcale nie tworząc ognisk pomniejszych, rozrzuconych po kraju, to w biadaniu tem przeoczamy zazwyczaj fakt, że wszelka praca umysłowa musi się odbywać w warunkach umożliwiających ją — gdy tymczasem u nas, na prowincyi, warunków tych niema wcale.

Wiadomą jest np. rzeczą, że kto pracuje umysłowo, ten niepo trafi obejść się bez biblioteki i to biblioteki zasobnej.

Warszawa posiada trzy wielkie księgozbiory — bibliotekę uniwersytecką, bibliotekę Kraszińskich i bibliotekę Zamoyskich, — Nadto zaś cały szereg drobniejszych księgozbiorów prywatnych. Pomimo to jednak, często narzekamy, że biblioteki te nie wystarczają do pracy naukowej i — narzekamy słusznie, gdyż bywają wypadki, że

ktos, piszący książkę naukową, w celu zazuajomienia się gruntownie z literaturą przedmiotu, nad którym pracuje, musi wyjechać na jakiś czas do Krakowa lub do Berlina.

Cóż więc dopiero mówić mamy o prowincyi? Czegoż możemy wymagać od ludzi, którzy nie mają pod ręką nawet najskromniejszej „wypożyczalni“ książek naukowych.

Jeżeli niektórzy z nich pracują, to jest to połączone z wysiłkiem bohaterskim, przed którym należy czoło pochylić. Jeżeli mamy pośród inteligencji prowincjonalnej takie jednostki, jak prof. Łopaciński i d-r. Olechnowicz w Lublinie, jak mecenas Parczewski w Kaliszu, jak p. H. Wiercieński w Nałęczowie, jak A. Drogoszewski gdzieś w zabitym kącie Ukrainy i t. d., to musimy przyznać, że ci ludzie dokonywają cudów.

O ileż wydatniejszą i łatwiejszą byłaby ich praca, gdyby posiadali odpowiedni warsztat do niej — bibliotekę naukową.

O takie właśnie biblioteki dla miast prowincjonalnych, dopomina się w świeżo wydanej staraniem *Ogniwa* księdze zbiorowej p. t. „Mysł,“ prof. Oswald Balzer, twórca lwowskiego Towarzystwa popierania nauki polskiej.

Przemawia on w imieniu inteligencji prowincjonalnej, w imieniu tych „profesorów, prawników, lekarzy, inżynierów“ i t. d., których obowiązki rzuciły na prowincję, a którzy mają wszelkie dane do tego, aby jeżeli nie pracować naukowo, to trzymać rękę na pulsie nauki. Tymczasem, odcięci od świata, dochodzą oni powoli do zupełnego odrętwienia i apatyi na sprawy nauki. Powoduje to „nawet w ważniejszych środowiskach na prowincyi pewne obniżenie umysłowości, pewien spadek pod względem kulturalnym, często — kroć nawet bez winy jednostek.“

Powołując się dalej na przykład takich krajów, jak Francya, Szwajcaryja i Niemcy, gdzie prowincjonalne biblioteki publiczne są zjawiskiem dość pospolitem i znajdują się w miastach departamentowych, kantonalnych i obwodowych, utrzymując się z funduszków publicznych danego okręgu, lub — co wypadek najczęstszy — z dotacyi sanych miast, — prof. Balzer zachęca inteligencją polską do zastanowienia się nad sprawą stworzenia i u nas takich bibliotek publicznych i do podjęcia stosownej akcyi celem urzeczywistnienia tej myśli. Żeby zaś sprowadzić rzecz odrazu na pole obliczeń praktycznych, rozpatruje pytanie, czego potrzeba, ażeby jedna biblioteka prowincjonalna mogła być założoną i na stałe utrzymaną.

Warto obliczeń tych posłuchać.

Przedewszystkiem — mówi prof. Balzer — potrzeba pewnego znaczniejszego odrazu substratu w książkach, nietylko jako jądra

i zawiązku biblioteki, ale zarazem jako materiału, który na pewien czas pozwoliłby jej w skromnej mierze spełniać zadanie. Zawiązek taki, obliczony na jakie 20,000 – 30,000 tomów mógłby na początek wystarczyć.

Ten zasób książek dałby się z pewnością zgromadzić, z wielką łatwością i bez znacznych kosztów, przez nadsyłanie darów w książkach na rzecz owych bibliotek. Instytucje naukowe, redakcje dzienników i czasopism, księgarze, wydawcy, autorowie niewątpliwie z chęcią ustąpiłoby bezpłatnie po jednym egzemplarzu swych publikacyj na cel powyższy, byleby ktoś zajął się ich zbieraniem. Wszystkie inne jednostki prywatne mogłyby na tenże sam cel ofiarować, czy to pewne, wydzielone ze swoich zbiorów książki, czy też biblioteki całe, z którymi nieraz nie wiedzą co począć. Pewne uzupełnienie zebranego w ten sposób materiału przez zakup rzeczy brakujących, w bibliotece publicznej najpotrzebniejszych, okazałoby się niewątpliwie koniecznem w chwili założenia biblioteki, sam koszt jednak byłby z pewnością nieznaczny.

Następnie potrzeba stosownego budynku na umieszczenie biblioteki, tudzież odpowiedniego urządzenia go dla celów bibliotecznych. Gmach biblioteczny, gdyby go miano stawiać z nowa, obliczony na stosunkowo skromny księgozbiór prowincjonalny, łącznie z samem urządzeniem bibliotecznem, dałby się postawić za cenę 30,000—40,000 rubli. Oczywiście musiałby on dawać zupełne bezpieczeństwo ogniowe dla złożonych w nim zbiorów. Gdyby zaś jakiś gotowy już budynek został odstąpiony na pomieszczenie biblioteki, należałoby tu przeprowadzić nietylko zwykłą adaptację, ale i stosowną rekonstrukcję dla uchronienia przed niebezpieczeństwem pożaru. Dla tego wydatek na ten cel przeznaczony, z doliczeniem wydatku na samo urządzenie biblioteki, należałoby określić cyfrą 10,000—15,000 rubli.

Po instalacji biblioteki samej potrzeba będzie corocznego stałego wkładu na utrzymanie i zarząd gmachu, na personal zarządzający i służbę biblioteczną, wreszcie też stałej dotacyi na zakupno i oprawę książek.

Na czele biblioteki, jako jej zarządcę, należałoby koniecznie postawić człowieka, odpowiednio do tego uzdolnionego, a więc takiego, który odbył już praktykę biblioteczną, np. w którejś z bibliotek zamiejscowych i sam poświęca się uprawie jakiejś gałęzi nauki. Jeden i drugi warunek są konieczne. Praktyka biblioteczna sama nie wystarczyłaby tu jeszcze, niema bowiem dla biblioteki większego nieszczęścia — zdaniem prof. Balzera — jak kiedy na jej czele stanie człowiek, który sam nauki nie kocha, zrozumienia dla jej potrzeb niema, sam dla niej nie pracuje.

Przytem należałoby dążyć do tego, ażeby los bibliotekarza związać na stałe z losem powierzonej mu instytucji, żeby zajęcia swego nie uważał z konieczności tylko za rzecz chwilową i przejściową. Tylko w tym razie ma się rękojmię prawdziwie sumiennego pełnienia obowiązków i szczerego zajęcia się dobrem biblioteki. Odpowiednio do tych wymagań nie należałoby tedy zbyt oszczędzać na rocznej płacy bibliotekarza i gdyby tu nawet można zacząć od sum stosunkowo niższych, np. 1000—1200 rb., to należałoby mu zapewnić, w miarę lat służby, dalsze dodatki, skutkiem których płaca mogłaby być podniesioną mniej więcej do 2500—3000 rb.

Ażeby się trzymać granic możliwie skromnych i ograniczyć cały *stały* personal biblioteczny do tego jednego funkcyonaryusza, trzeba mu przecież koniecznie dodać do pomocy jednego lub dwu prowizorycznych pomocników, o wynagrodzeniu rocznem około 300 rb., co pociągnęłoby za sobą dalszy wydatek 300—600 rb., do czego dodać należy roczną płacę sługi bibliotecznej (który zarazem mógłby być dozorcą gmachu) — 300 — 400 rb.

Co do rocznej dotacyi na zakup i oprawę książek, nie możnaby chyba oznaczyć jej niżej 1000 — 1500 rb.

Samo wreszcie utrzymanie budynku wraz z opałem i oświetleniem kosztowałoby rocznie zapewne około 500 rb.

Na ogół zatem biorąc, przy *najskromniejszych* obliczeniach, samo założenie biblioteki wymagałoby jednorazowego wydatku około 30000—40000 rb. lub 10000—15000 rb., a dalsze jej utrzymanie, stałej rocznej dotacyi około 3100 — 6000 rb. „Sumy to, jeżeli nawet nie najmniejsze, w rzeczywistości jednak uderzająco małe w stosunku do olbrzymich korzyści, jakie biblioteka taka przynieść może i musi“ — kończy prof. Balzer.

Zapewne. Ale czy sumy te znajdują się u nas! Czy w dzisiejszych warunkach naszego istnienia możliwe jest zakładanie *bibliotek miejskich*?

Na to mogą dać dopiero wystarczającą odpowiedź rezultaty starań, podjętych na odpowiednich drogach, sami bowiem nie możemy w tej mierze decydować.

Wobec tego wezwanie prof. Balzera, acz w zasadzie gorąco myśl jego popieramy, wydaje nam się zanadto optymistycznym.

Prawda. Ofiarność publiczna! Ale ofiarność ta jest rzeczą względną i za siłę jej napięcia ręczyć nie można. Mogą się znaleźć hojni ofiarodawcy, mogą z pod ziemi wyrosnąć fundatorowie, którzy własnym kosztem wybudują w jednym i drugim mieście biblioteki i uposażą je w tysiące tomów, ale tych ofiarodawców i fundatorów może nie być wcale.

Miasta zaś, jako takie, nie są przygotowane do podejmowania spraw tego rodzaju. Płock przecież nie mógł sobie długi czas poradzić z ofiarowaną mu biblioteką Zielińskich, a Częstochowa nie bierze żadnego udziału w powiększeniu zasobów biblioteki Jasnogórskiej, dla której ks. przeor Rejman zdołał uzyskać prawo publiczności.

Przenosząc zatem sprawę na grunt więcej realny, musimy przedewszystkiem zaznaczyć, że skromny z punktu widzenia doniosłości kulturalnej bibliotek, rachunek prof. Balzera, na obecne środki nasze jest jeszcze za wysoki.

Takiemu ciężarowi nie podoła inteligencja żadnego z miast prowincjonalnych, a tylko i wyłącznie na jej dobrej woli biblioteki prowincjonalne oprzećby się mogły.

Częściowo wszakże projekt dałby się urzeczywistnić już teraz, gdyby wyjednano u władz odpowiednich zezwolenie na zakładanie towarzystw naukowych, wzorowanych choćby na lwowskiem Tow. popierania nauki.

Towarzystwa takie, grupując dokoła siebie inteligencję prowincjonalną i rozbudzając w niej zamiłowanie do nauki, mogłyby stopniowo tworzyć własne *biblioteki*, naturalnie w granicach szerszych, niż to przewiduje prof. Balzer. Biblioteki te jednak z czasem daleko już łatwiej mogłyby się przekształcać w księgozbiory wielkie, w gmachach własnych umieszczone i zasobne.

Ta droga wydaje nam się odpowiedniejszą o tyle, że zapewnia rezultaty na bliższą metę, co wobec palącej potrzeby rozbudzenia i podtrzymania ruchu umysłowego na prowincyi nie jest rzeczą bez wagi. Gdyby zaś ruch ten umiał się zogniskować dopiero w przyszłych, *wielkich* bibliotekach — to bardzo być może, że wypadnie nam czekać na to jeszcze całe dziesiątki lat.

\*

\*

\*

Jednym z najbardziej dodatnich objawów naszego życia zbiorowego doby ostatniej jest ruch współdzielczy, który ogarnął sfery ziemiańskie i sfery rolnicze wogóle.

Ruch ten, zaznaczył się w dwóch kierunkach. Przedewszystkiem włościanie, o czem pisaliśmy już na tem miejscu przed kilku miesiącami, mówiąc o projektach spółki rolniczej płońskiej,

zaczęli z całą świadomością ekonomiczną i społeczną dążyć do zakładania kółek rolniczych, na wzór „Jutrzenki,” stworzonej w kielckiem przez p. Godlewskiego.

Dziś mamy już sporą ilość takich stowarzyszeń w kraju, a nie ma miesiąca, żeby jedno lub dwa nowe nie przybyły.

Jednocześnie i sfery ziemiańskie obudziły się z długiej drzemki, korzystając z danej im możności zakładania stowarzyszeń rolniczych, opartych na ustawach normalnych z r. 1897 i 1898.

Już w r. 1899 powstały stowarzyszenia w Kielcach, w Siedlcach, w Radomiu, w Lublinie, w Łomży i w Kaliszu.

W następnym, 1900 roku, przybyły stowarzyszenia: w Warszawie, w Piotrkowie i w Suwałkach.

Wreszcie w r. 1901 zorganizował się syndykat rolniczy w Płocku.

W ten sposób w ciągu niespełna trzech lat wszystkie miasta gubernialne w Królestwie posiadały stowarzyszenia rolnicze, rozciągające swoją działalność na obszarze gubernii.

Działalność ta rozwinęła się odrazu pomyślnie, ale też i odrazu napotkała na pewne przeszkody.

Okazało się mianowicie, że *gubernia* jest obszarem zbyt rozległym, aby jedno stowarzyszenie mogło objąć wszystkie jej sprawy i skupić dokoła siebie wszystkich posiadaczy większej własności.

Byłoby to możliwe przy lepiej rozwiniętych środkach komunikacyjnych i przy wyższej ogólnej kulturze kraju. W obecnych jednak warunkach syndykaty gubernialne musiały z konieczności poprzestawać na działaniu w najbliższym promieniu swej siedziby.— Im dalej od niej, tem działalność ta stawała się słabsza, a do t. zw. „kątów zapadłych,” położonych daleko od miasta gubernialnego i nie połączonych z niem kolejją, nie mogła nawet wcale docierać. W tych okolicach ziemianie nie kwapili się nawet z przystępowaniem do stowarzyszeń, nie widząc dla siebie możności korzystania z udogodnień, które stowarzyszenia zapewniają swoim członkom.

Taki stan rzeczy wywołał myśl o potrzebie *decentralizacji*. Zasadę tę wprowadziło w czyn Towarzystwo rolnicze płockie, uzyskując po odpowiednich staraniach zatwierdzenie ustaw dla syndykatów powiatowych w Płocku, Rypinie i Mławie.

W jesieni roku ubiegłego syndykaty te rozpoczęły już swoją działalność.

Nie wątpimy, że za tym przykładem pójdą wkrótce i inne stowarzyszenia rolnicze, korzystając z względnie szerokich ram ustawy normalnej z dnia 30 czerwca 1897 r.

O korzyściach, płynących z zakładania stowarzyszeń powiatowych—mówić nie potrzeba. Należy jednak podkreślić jeszcze jedną dobrą ich stronę, leżącą po za granicami właściwej ich działalności.

Oto—stowarzyszenia powiatowe, już przez samo istnienie swoje w obrębie powiatu będą wywierały dodatni wpływ na okolicznych włościan, którzy w ten sposób, drogą żywego przykładu, otrzymają niejedną dobrą i cenną wskazówkę dla swoich gospodarstw.

Włościanin w mieście gubernialnem bywa rzadko, ale w powiecie zawsze ma jakieś interesy i kilka razy do roku zajrzy tam z pewnością. Należy z tego skorzystać i udostępnić mu zobaczenie, czy to nowych narzędzi rolniczych, czy prób zboża, czy wreszcie zachęcić go do uprawiania nowej rośliny pastewnej i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że powiatowe stowarzyszenia rolnicze potrafią to urządzić tak, aby ogólna kultura kraju miała z tego pożytek.

Z czasem—zadanie to będzie dla nich znacznie ułatwione przez istnienie „muzeów rolniczych,<sup>4</sup> których zakładanie leży w planach syndykatów. Narazie jednak można innemi drogami trafić do włościan.

Jedną z tych dróg stanowią dobrze zorganizowane odczyty popularne. W roku ubiegłym odbywały się one w niektórych miasteczkach, a ogłoszone niedawno sprawozdanie świadczy, że powodzenie tych odczytów było znaczne. Z doświadczenia tego trzeba skorzystać, podejmując pracę w szerszym zakresie.

Gdzieindziej posłannikami wiedzy rolniczej są specjaliści instruktorowie, wysyłani na wieś z ramienia władz krajowych autonomicznych. U nas — niema ani takich instruktorów, ani nawet szkół rolniczych — a rolnik potrzebuje oświecenia, wskazówek, zachęty. Praca jego, o ile ma przynieść owoce, nie może już odbywać się w dawny, uświęcony rutyną sposób, ale musi oprzeć się na podstawach zdobyczy wiedzy nowoczesnej. Wiedza ta dostępna jest dla wszystkich, którzy są przygotowani do jej czerpania z książek i pism fachowych. Dla nieprzygotowanych jednak — jest to księga zamknięta na siedem pieczęci i trzeba, żeby ktoś im tę księgę otworzył. Może uczynią to Towarzystwa rolnicze, może same spółki włościańskie — nie wiem, ale — czas na to wielki.

\*

\*

\*

Dziedzina pośrednictwa w pracy była u nas dotychczas w zanedbaniu Kraj, posiadający przemysł fabryczny, kulturę ekonomiczną na dość wysokim stopniu, wytwarzający rocznie za setki milionów rubli rozmaitych towarów i spożytkowujący dla tych celów znaczną siłę roboczą, reprezentowaną przez kilkaset tysięcy robotników, nie umiał zdobyć się na organizację, obejmującą podaż tej siły i popyt na nią. Były wprawdzie usiłowania na tem polu, ale zaliczyć je należy raczej do prób mniej lub więcej szczęśliwych, niż do organizacyi prawidłowej w ścisłem znaczeniu tego słowa. Taką próbą była podjęta przed dwoma laty myśl stworzenia przy Towarzystwie przemysłu i handlu „towarzystwa dostarczania pracy,“ niestety, nie urzeczywistniona. Taką próbą jest także Oddział wyszukiwania pracy przy W. T. D., który niewątpliwie spełnia wiele dobrego i w ostatnich zwłaszcza czasach, dzięki umiejętnemu kierownictwu i opiece p. Henryka Radziszewskiego, zaznaczył swoją działalność dodatnio, ale — z natury rzeczy nie może stanąć na wysokości zadania.

Jedynie biura pośrednictwa istniejące przy stowarzyszeniach fachowych, jak stowarzyszenie pracowników handlowych, ratują nasz honor w tym względzie. Ale — to niewystarczy. Za granicą tymczasem sprawa pośrednictwa oddawna stanęła na właściwym gruncie i zorganizowana została w sposób, budzący zazdrość.

Francya np. posiada w Paryżu swoją *bourse de travail*, która mieści się we wspólnym gmachu, zbudowanym dla niej przez miasto i pod opieką miasta, korzystając z jego subwencji, rozwija się z ogromnym pożytkiem dla warstw pracujących. Obok tej centralnej instytucyi w Paryżu, istnieje około 40 *gield pracy* na prowincyi, we wszystkich większych ogniskach handlu i przemysłu.

Tak samo jest w Belgii, Holandyi i Szwajcaryi.

W Niemczech biura pośrednictwa istnieją przy wszystkich niemal związkach robotniczych. Nadto niektóre miasta założyły „miejskie biura pośrednictwa.“ O Anglii nie ma co i mówić Tam — organizacya klasy robotniczej stoi bowiem na tak wysokim stopniu, że związki i stowarzyszenia robotnicze samodzielnie załatwiają sprawę pośrednictwa.

Austria w ostatnich latach także poszła naprzód w tym względzie, a za jej przykładem i Galicya.

We Lwowie, który w stosunku do Warszawy jest miastem małym, powstało przed 8 mniej więcej laty „miejskie biuro pośrednictwa“ i rozwija się podobno bardzo dobrze.

My tylko pierwsze dopiero kroki stawiamy na tem polu.



Zapewne — doraźnem rozwiązaniem sprawy byłoby powierzenie jej magistratowi i utworzenie „miejskiego biura.“ Ponieważ jednak na razie projekt taki nie ma widoków na urzeczywistnienie, więc musimy go zaniechać, ciesząc się jedynie tem, że prywatna inicjatywa zaczyna tu działać z energią i zrozumieniem rzeczy.

To „zrozumienie rzeczy“ ujawnia się w regulaminie świeżo właśnie utworzonego w Warszawie „prywatnego biura pośrednictwa pracy,“ które chociaż w części zaspokoi istniejącą w tym kierunku potrzebę społeczną.

Biuro — czytamy w regulaminie — ma na celu ułatwianie pracownikom wszelkich rodzajów i fachów znalezienie pracy, a pracodawcom znalezienie pracowników.

Warunki pośrednictwa są następujące:

W oddziale nauczycielskim a) dla pracowników: wpisowe 50 k. i 2% rocznej pensyi. Od lekcyi i korepetycyi cena jednej godziny, bez wpisowego; b) dla pracodawców: wpisowe 50 k. i 3% rocznej pensyi. Od lekcyi i korepetycyi cena 1 godziny bez wpisowego.

W oddziale rolnym, handlowym i przemysłowym — 50 k. wpisowego i 2% rocznej pensyi dla pracowników; dla pracodawców zaś — wpisowe tej wysokości i 3% rocznej pensyi.

W oddziale pracy kobiet — 50 k. wpisowego i 2%, dla pracodawców 3% rocznej pensyi. Od zajęć dziennych 15 kop. bez wpisowego.

W oddziale rzemieślniczym dla pracowników i pracodawców warunki jednakowe, od uczniów 15 k. bez wpisowego, od czeladników cena jednego dnia roboczego bez wpisowego.

W oddziale służbowym i robotniczym: a) dla pracowników — 10 k. od 1 rb. miesięcznej pensyi, bez wpisowego; b) dla pracodawców — 10 k. wpisowego i 15 k. od 1 rb. miesięcznej pensyi.

W obsadzaniu posad biuro kierować się będzie jedynie istotną wartością klientów, a nie wysokością komisowego, które dla tego w regulaminie oznaczonem zostało.

W miarę rozwoju ma biuro dążyć do zniesienia wpisowego i do zniesienia opłaty za pośrednictwo. Zniesienie opłaty przedewszystkiem dotyczyć będzie pracowników.

Opłaty, pobierane przez biuro, winny być uiszczane przy zawarciu umowy o posadę. Gdyby jednak osoby, potrzebujące zajęcia, nie były w możności uiścić opłaty z góry, to opłata może być odroczone do czasu otrzymania pierwszej płacy zarobkowej. Pracownik może być również uwolniony od wpisowego za zezwoleniem dyrektora biura.

Pracownicy, zgłaszający się do poszczególnych oddziałów, wypełniać będą sami odpowiednie formularze, uzupełnione kopiami

świadcstw. Do wypełniania formularzy niepiśmiennym, obowiązany jest urzędnik oddziału. Na żądanie urzędnika kandydat winien przedstawić świadectwa oryginalne.

O każdym, zgłaszającym się do biura, winna być ściągnięta *opinia poufna*, do której to czynności powołani będą oddzielni urzędnicy.

Biuro może też odmówić pośrednictwa bez wymieniania przyczyn.

Biuro pośredniczy wszystkim bez różnicy wyznań i narodowości, cudzoziemców jednak do kraju sprowadzać nie będzie. W dziale nauczycielskim sprowadzane będą zamiast niemiek — polki, wychowane w Niemczech, a zamiast francuzek, córki rodzin polskich, we Francji zamieszkałych.

Najniższą cenę za korepetycje studentów i uczniów ustanawia biuro na 10 rb., a w razie niezamożności rodziców na 8 rb. miesięcznie. Najniższą cenę za lekcye od nauczycieli i nauczycielek prywatnych stanowić będzie 30 kop. za godzinę. Ofert na cenę niższą biuro przyjmować nie będzie.

W dziale służbowym nie będzie t. zw. *kantorowych*, wyzyskujących i demoralizujących służbę. Kandydaci zgłaszać się będą do pracodawców sami z poleceniami piśmiennymi biura.

W biurze znajdować się będą dwie księgi zażaleń: z nich jedna na czynności biura, w której nazwiska osób trzecich, po za funkcyjnaryuszami biura wymieniane być nie mogą. Księga ta każdemu na żądanie dla wpisania skargi, lub do przeczytania skarg już napisanych, przedstawioną być winna. Druga księga zażaleń, wynikających z wzajemnego stosunku pracodawców i pracowników znajdować się będzie u dyrektora biura i tej nikt, nawet wpisujący ostatnią skargę, przeglądać nie ma prawa. Prócz tego znajdować się będzie w biurze księga do wpisywania ogólnych uwag, dotyczących działalności biura. Skargi i uwagi, nadsyłane piśmiennie, będą do odnośnych ksiąg wpisywane.

W końcu dodać należy, że biuro prowadzić będzie statystykę podaży pracy i popytu na takową we wszystkich jej gałęziach i że statystykę tę ma zamiar peryodycznie ogłaszać. Rzuci to niewątpliwie światło na stosunki zarobkowe szerokich warstw, tak niedostatecznie jeszcze zbadane.

Tak się przedstawia w zarysie regulaminowym nowa instytucja. Jak widzimy ramy jej są szerokie i pomysłane dobrze, a zasady na których opiera się jej działalność, najzupełniej wytrzymują krytykę. Naturalnie — ideałem pośrednictwa jest pośrednictwo nie obciążające zupełnie pracowników, tego jednak nie można żądać ani od instytucji prywatnej, ani od instytucji, rozpoczynającej dopiero życie. Swoją drogą kierownicy jej z ideału tego zdają sobie dokład-

ną sprawę i to przemawia na ich korzyść. Wogóle z regulaminu wieje duch humanitarny, zupełnie obcy dotychczasowym prywatnym tego rodzaju przedsięwzięciom i to nadaje instytucji tak pożądaną cechę społeczną. Zaznaczając to z prawdziwą radością, życzymy jej pomyślnego i jak najszybszego rozwoju.

\*

\*

\*

Zarząd polskiego Towarzystwa teatralnego w Łodzi, pragnąc w miarę sił i środków, przyczynić się do rozwoju ojczystej literatury dramatycznej, oraz do zapewnienia scenie polskiej w Łodzi zajmującego repertuaru oryginalnego, zamierza systematycznie ogłaszać konkursy dramatyczne, na zasadzie przepisów ustawy Towarzystwa.

Pierwszy właśnie z tych konkursów świeżo został ogłoszony na warunkach następujących:

Do współubiegania się o nagrodę dopuszczone są utwory, należące do wszelkich rodzajów twórczości dramatycznej, mogące być wystawione na scenie krajowej.

Przedstawiony na konkurs utwór winien wypełnić cały wieczór.

Do konkursu będą dopuszczone tylko utwory, które nigdzie do chwili ogłoszenia wyniku konkursu nie były grane, ani też nie pojawiły się w druku.

Każdy utwór musi być zaopatrzony w godło, które winno się znajdować na kopercie listu, zawierające imię i nazwisko autora, oraz adres jego.

Utwory należy nadsyłać pod adresem Prezesa Tow. teatralnego (p. Teodor Trenkler, Łódź, Ewangelicka 16), w przesyłkach rekomendowanych.

Termin ostateczny do przesyłania utworów kończy się w dniu 1 czerwca 1905 r. przyczem obowiązuje data stempla pocztowego.

Nagród wyznacza się trzy, a mianowicie: pierwsza 600 rb., druga 300 rb. i trzecia 100 rb., które wypłacone zostaną *nieodwołalnie* autorom trzech z uznanych za najlepsze utworów.

Rozdrabnianie nagród stanowczo jest wyłączone.

Komisya, powołana przez Tow. teatralne w liczbie 16 osób, po przeczytaniu rękopisów, kwalifikuje sztuki do wystawienia na scenie.

Po odegraniu każdej takiej sztuki, zebrana w teatrze publiczność ma prawo wyrazić swe zdanie o utworze na osobnych kartkach, załączonych do biletów.

Wyrażone w ten sposób opinie stanowiąc będą dla sądu konkursowego materiał do zużytkowania przy ostatecznem przyznawaniu nagród.

Utworky, polecane do grania, pozostają własnością autorów. Za sztuki wystawione autorowie otrzymają od dyrekcji teatru 5% od dochodów *brutto*, jako honoraryum, niezależnie od nagród, jakie będą przyznane.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi nie później, jak do dnia 1 marca 1906 r.

W końcu polskie Towarzystwo teatralne zastrzega w interesie sceny łódzkiej wyłączne prawo grania w Łodzi lub gdzieindziej sztuk nagrodzonych i wyróżnionych dla dyrekcji subwencyonowanego przez się teatru po dzień 1 września 1906 r., za osobnem porozumieniem się z autorami.

\*

\*

\*

W Poznaniu zmarł d. 15 stycznia r. b. jeden z najbardziej zasłużonych w Wielkopolsce ludzi — ś. p. Maksymilian Jackowski, długoletni „patron“ tamtejszych *kółek-włościańskich*, które w walce kulturalnej ludu polskiego z falą zatapiającej go niemczyzny, tak dodatnią i wybitną odegrały rolę.

Urodzony w r. 1821 w niezamożnej rodzinie ziemiańskiej, ś. p. Jackowski wcześniej, bo zaraz po ukończeniu gimnazyum, rozpoczął pracę na roli. Oddawał się jej z zamiłowaniem w rozmaitych stronach a przez czas pewien mieszkał nawet na Ukrainie. Powróciwszy stamtąd w strony ojczyste, nabył majątek Pomarzanowice pod Pobiedziskami i jako wytrawny już agronom rozpoczął szerszą a tyle owocną działalność społeczną.

Podniesienie kulturalne i ekonomiczne ludu wielkopolskiego stało się jego ideą, której poświęcił wszystkie wytężone siły swojego długiego życia. Idei tej służył — słowem, piórem i czynem. Nauczał, zachęcał, organizował lud wiejski, prowadził go i opiekował się nim, budząc wszędzie zamiłowanie do pracy i ulepszeń rolnych.

Dwieście pięćdziesiąt kółek rolniczych powstało przy nim. Ale te cyfry nie dowodzą jeszcze niczego — są martwe, pisze dr. Al. Czechowski w *Gaz. Polskiej*: „Trzeba przejechać się po wsiach poznańskich, przyjrzeć się uprawie roli, łanom zboża i inwentarzowi,

porównać gospodarstwa polskie z sąsiednimi niemieckimi, wziąć udział w kilku posiedzeniach kółek, wysłuchać kilku odczytów zawodowych, wygłoszonych przez prostych włościan, i przysłuchać się dyskusji, ażeby zrozumieć, ile nauki, doświadczenia, ładu, a w ostatecznym rezultacie *korzyści* spłynęło z działalności kółek na polski lud włościański, jak silnie ugruntowany materyalnie jest wskutek tego ten lud w walce z wydzierającą mu ziemię germanizacją.“

„Ale pozatem wszystkim kryje się jeszcze w dalekiej przeszłości szczegół inny, nie mniej ważny, z którego doniosłości mało kto już zdaje sobie dziś sprawę. Oto — kto widzi, jak zbierają się na wspólne obrady zawodowo-rolnicze gospodarze wiejscy, rządcy, właściciele dóbr i przedstawiciele duchowieństwa, jak jedni popierają drugich w usiłowaniach, dają nauki i wskazówki, służą radą i czynną pomocą, jak ufność i zgodność łączy z sobą te trzy warstwy społeczne, ten nie myśli zazwyczaj o tem, jak przedstawiały się stosunki przed kilkudziesięciu laty, jakie były początki pracy nad zjednoczeniem ludu, ile setek i tysięcy razy Maksymilian Jackowski musiał włóczyć się wózkami ze wsi do wsi, perswadować jednym i drugim, zachęcać poważnie, żartem i humorem do porozumienia się, przynaglać, nieraz przymuszać do zrobienia próby, do założenia kółka, któreby sprowadziło wszystkich na wspólne pole pracy zawodowej, usunęło przez swą pożyteczną działalność spory i podejrzliwość.“

Taka oto była działalność Jackowskiego i taki człowiek odszedł na wieczny spoczynek

Nie dziw też, że zgon jego wywołał powszechny smutek, a echo tej straty rozległo się szeroko.

Mąż takiego ducha obywatelskiego, tak nieskażonego charakteru, takiej pracy i wytrwałości, takich ukochań, jakie w swem sercu pielegnował Jackowski, godzien jest pamięci i czci w społeczeństwie, którego był synem wybitnym i zasłużonym...

\*

\*

\*

Dn. 18 stycznia r. b. zmarł w Warszawie śmiercią tragiczną zdolny i ceniony artysta-malarz s. p. Wacław Pawliszak.

Urodzony w r. 1866, wczesnie, bo już jako 18-to letni młodzieniec zwrócił na siebie Pawliszak uwagę pracami wykonanymi w Krakowskiej szkole sztuk pięknych, której podówczas był uczniem.

Wróżono mu znakomitą przyszłość, jako dobremu kolorystyce, co też w części sprawdziło się. Resztę nadziei zniweczyła śmierć, przecinając w 38 roku życia dni artysty, który mógł być długie jeszcze lata z pożytkiem dla sztuki polskiej pracować.

Na kartach tej sztuki pozostaje jednak po nim imię dobre. Służył on jej wiernie i wytrwale, a kochał ją szczerze i prawdziwie.

\*

\*

\*

Również w Warszawie zmarł w styczniu r. b. ś. p. Henryk Wernic, sędziwy i zasłużony pedagog.

Urodzony w r. 1829 w Warszawie, po ukończeniu studyów objął Wernic posadę nauczyciela języka polskiego i geografii w tutejszej szkole realnej. Następnie wyjechał za granicę i czas jakiś przebywał w Anglii i w Niemczech, badając najnowsze zdobycze pedagogiki. Po powrocie do kraju wiadomości te zużytkował w całym szeregu podjętych prac, z których ważniejsze są: „Przewodnik wychowania,“ „Wychowanie dziecka do lat 6-iu,“ „Nauka o rzeczach,“ „Pierwszy rok nauczania,“ „Historya powszechna“ i t. d.

Pracował ś. p. Wernic w warunkach ciężkich, utraciwszy bowiem wzrok, musiał posługiwać się pomocą lektora i pisarza. Pomimo to długie życie jego wypełnione było po brzegi trudem, podejmowanym zawsze z wielkim zapałem. Ze śmiercią czcigodnego profesora szedł do grobu człowiek zdolny, prawy i szlachetny, rozumny i wytrawny przewodnik młodzieży, szczepiący dokoła siebie prawdę i dobro.

Cześć jego pamięci.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Wydział TOWARZYSTWA OPIEKI NAD POLSKIMI ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY w Krakowie odbył posiedzenie w d. 22 grudnia 1904 r. Omawiano w dalszym ciągu sprawę podtrzymania ruin zamku odrzykońskiego, co jak się zdaje, wkrótce zostanie uwieńczone pomyslnym skutkiem, dzięki ofiarności właścicieli ruin pp. Jana hr. Szeptyckiego i Stanisława Starowiejskiego, jako też dzięki pracy architektki p. Jana Zubrzyckiego.

Dyrektor Zygmunt Hendel wygłosił dwa zajmujące referaty o ruinach zamku trockiego i o kościele św. Michała w Wilnie. Dokonane na miejscu staranne badania pozwoliły odkryć nadzwyczaj ważne i doniosłe szczegóły o nieoszacowanej wartości naukowej. Badania te wykazały, że na jeziorze trockiem istniały właściwie trzy zamki, budowane kolejno w XIII, XIV i XVI wieku, stanowiące razem obronny kompleks fortyfikacyjny, uderzający ogromem, siłą murów i piękną architekturą, wzorowaną na krzyżackiej. Jest to, jak twierdził prelegent, drugi Malborg polski czy litewski, godny szczególniejszej pieczy społeczeństwa i podobnego odnowienia, jakiego się tamten oczekiwał. Jeżeli ruiny zamków trockich mogą imponować, wywoływać podziw i smętną zadumę, to kościół św. Michała w Wilnie ze wspaniałymi grobowcami ks. Sapiehów wywołuje tylko żal, smutek i rozgoryczenie na widok spustoszenia, jakie w nim panuje. Powyrywane popiersia posągów, potrzaskane tarcze herbowe i piękne marmury z ołtarzy i nagrobków, nawet posadzki — oto obraz dzisiejszego stanu kościoła. Dlatego z ogromnem uznaniem należy podnieść, że rodzina ks. Sapiehów nie szczędzi kosztów i starań, by ten dom Boży, niegdyś przez ich przodków fundowany, do należytego stanu doprowadzić. Prezes Tow. prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski ofiarował w tej mierze po-

moc wydziału ks. Janowej Sapieżynie z Bilki, w ślad zaczęł p. Zygm. Hendel, jako delegat Towarzystwa, zbadał jesienią z. r. cały kościół. Mimo smutnego obecnego stanu, da się on w zupełności uratować, a mający prowadzić zamierzoną restaurację p. Z. Hendel daje rękojmię, że przywróconą zostanie dawna okazała postać tego zabytku.

---

— TOWARZYSTWO NAUKOWE w TORUNIU wydało tom XI-ty swego Rocznika. W wydawnictwie tem pomieszcza następujące prace: *ks. Stanisława Kujota*: „Kto założył parafie w dyecezyi chełmińskiej d. c.,” — *Wincentego hr. Łosia*: „Książę Fryderyk Wilhelm von Holstein-Beck, feldmarszałek Fryderyka W-go i jego polskie stosunki;” — *dr. Władysława Semkowicza*: „Zagadkowy pierścień średniowieczny;” — *ks. Kazim. Chmieleckiego*: „Wycieczka do grobowisk przedhistorycznych w pow. kałuskim” i *Kaz. Nitscha*: „Patronimika na—óc,—ic,—éc w gwarach Prus Zachodnich;” — *Konst. Kościńskiego*: „Inwentarz Człuchowskiego stwa z 1746 r.” i *ks. Stan. Kujota*: „Numerus sacerdotum ecclesiarum Gedanensium.

Jednocześnie towarzystwo wydało tom VIII źródeł, w którym pomieszcza dalszy ciąg wizytacyi biskupstwa warmińskiego przez Andrzeja Olszowskiego (1667—1672).

## N O W E K S I A Ǽ Ż K I.

— Spadek piśmienniczy po generale MAURYCYM HR. HAUKE, z rękopisu wydał i przedmową poprzedził *Aleksander Rembowski*. Warszawa, 1905. 8-o, str. LXI + 421 i 6 rycin.

W obszernej przedmowie zapoznaje nas autor z życiorysem Haukego, streszcza całą działalność wojskową znakomitego z czasów napoleońskich generała, później ministra wojny za rządów W. Ks. Konstantego, ministra, o którym tak ujemnie się nieraz wyrażano, a jednak bezzasadnie. Dokumenta z archiwów wydobyte świadczą, że byłto człowiek nie tylko wielkich zdolności wojskowych, ale i zasłużony obywatel kraju. Na dowód tego twierdzenia autor snuje przed czytelnikiem całe pasmo życia Haukego.

W 1790 r. jako 14-letni chłopiec Hauke wstępuje do wojska, odznacza się w kampanii 1792 r.; we dwa lata później zostaje podporucznikiem, a kiedy nadeszła wieść o formowaniu się legionów Dąbrowskiego, wyjeżdża do Włoch, by stanąć w szeregach nowej armii i służyć sprawie Napolconu. W tej służbie spadają nań wielkie obowiązki i wielkie zaszczyty. Bierze udział w kampanii 1807 i 1809 r. zostaje kolejno pułkownikiem, generałem, wreszcie komendantem Zamościa. Na tem stanowisku los najbardziej go doświadcza. Otoczony przez przemagające siły z garstką wojska w najtrudniejszych warunkach, broni twierdzy w ciągu całych dziesięciu miesięcy i kapituluje dopiero wtedy, gdy całe księstwo Warszawskie (z wyjątkiem Modlina) znajdowało się we władzy wojsk rosyjskich. Znakomita obrona twierdzy, wywołuje jednakowe uznanie dla gene-



rała, zarówno u Napoleona, jak u Aleksandra.—Za czasów Królestwa, po dymisji Wielhorskiego, zostaje ministrem wojny. W. Ks. Konstanty obdarza go zupełnem zaufaniem. I słusznie. Ma bowiem Hauke pierwszorzędne zalety naczelnika wojskowego. Jest skrzętny, zapobiegliwy, pełen zaparcia się siebie. Zakłada instytucje wojskowe, buduje szkoły, koszary, a z samych zaoszczędzonych przez siebie pensyj, składa na rzecz ministerjum wojny 1,195,164 złp., kapitał na owe czasy bardzo znaczny. To wszystko przemawia na korzyść Haukego i stawia go w rzędzie zasłużonych ludzi swego wieku.

W drugiej części wydawnictwa znajdujemy po raz pierwszy drukiem ogłoszone następujące pisma Haukego:

1) Księga minut, obejmująca rozkazy, korespondencye, rozporządzenia i ogłoszenia z roku 1807 (od maja do lipca).

2) Dziennik oblężenia twierdzy Zamościa 1813 z dołączonym protokołem rady obrończej i korespondencją Haukego z generał-lejtnantem von Rath.

Są to materyały pierwszorzędnego znaczenia dla dziejów kampanii 1807 i oblężenia Zamościa. W księdze minut Hauke pomieszcza odezwy, raporta, rozkazy, korespondencye i inne dokumenta urzędowe; w dzienniku obrony Zamościa, odtwarza wybornie ducha garnizonu, całą działalność komendanta, oficerów i żołnierzy; kreśli w wzorową dokładnością obraz wszelkich dolegliwości i cierpień załogi. Pisma te noszą charakter urzędowy pozbawiony wszelkiego pamiętniczego indywidualnego charakteru, tem więc większe mają znaczenie jako materyał historyczny.

f.

---

— JESKE-CHOIŃSKI TEODOR: „Neofici polscy.“ Materyały historyczne. Warszawa, druk P. Laskauera, 1905. 8-o, str. 289 + XX.

Jest to pierwsza część wydawnictwa poświęconego zinwentaryzowaniu rodzin polskich żydowskiego pochodzenia. Korzystając z obfitego materyału, jaki przedstawia element żydowski w naszym społeczeństwie, autor wprowadził do swego „słownika neofitów“ tysiąc paraset nazwisk. Plon zaiste znaczny — godzien pracy „lat czterech“ — ale jak dotąd nie zupełny. Nie napotykaemy bowiem wielu ogólnie znanych rodzin, rozsiadłych w rejonie najsumieniejszych studyów autora — w „naszej“ Warszawie. Tłómaczy to autor oświadczeniem, że pomieszcza tych tylko neofitów, których metryki „na własne oczy“ oglądał. Inne więc... głębiej zapadły w pyłach archiwalnych, — autor nie zdążył ich odnaleźć chociaż czas znalazł na przejrzenie, jak dotąd... kilku milionów (!) metryk...

Pierwszy rozdział książki nosi tytuł: „Neofici XVI i XVII stulecia.“ — Znajdujemy tu ustęp: „Gdyby się przejrzało wszystkie księgi kościelne XVI stulecia, znalazłoby się niewątpliwie tu i owdzie jakiego neofitę pochodzenia żydowskiego, praca to jednak nad siły jednego poszukiwacza.“ Mybśmy dodali, wprost niemożliwa, bo większość ksiąg kościelnych z tego czasu już nie istnieje, warto by jednak skorzystać z metryki koronnej i z dokumentów metryk litewskich częściowo ogłoszonych w dziele Berszadzkiego „Dokumenty k historii litowskich jewrejów,“ tom I i II 1388—1569, i tegoż „Dokumenty k historii polskich i litowskich jewrejów 1364—1569,“ tom III (1903 r.).

W następnych rozdziałach zaznajamia nas autor z historią żydów w Polsce, w głównych zarysach daje dokładne wiadomości o znanych mu neofitach, podaje daty ich chrztów, a w końcu książki pomieszcza dokładny wykaz wszystkich wzmiankowanych w dziele rodzin żydowskich. Znajdujemy tu pięknie brzmiące nazwiska: Czarnecki, Dąbrowski, Różycki i skromniejsze, mniej wojownicze: Cwij, Cymes, Majde, Pincas i t. p. f.

— SZYMON RUNDSTEIN DR.: „Studia i szkice prawne.“ Lwów, 1904. Polskie Tow. Nakładowe. 8-o, str. 235.

Dzieło to ma na celu zapoznanie szerszego ogółu z najważniejszymi zagadnieniami prawnymi ostatniej doby. We wstępie czytamy „...chciałbym, by szkice niniejsze znalazły czytelników w kołach szerszych, nie fachowych. W miarę sił i możliwości przykładałem się do tego, by ów dla laików zwykle niewidoczny związek prawa z życiem rzeczywistym uprzystępnić: związek ów wykazać się starałem przy rozbiórce zagadnień o znaczeniu bezpośrednio praktycznym, a też wtedy, gdy napozór ściśle teoretyczne, oderwane poruszałem kwestye. Publiczność zwykle utożsamia prawoznawstwo z suchą wykładnią, z zasklepieniem się w dyalektyce kazuistycznej i niemyli się, gdy ma na myśli dogmatykę prawa.“ Autor jednak omija w niniejszej pracy konstrukcyje dogmatyczne, a główną zwraca uwagę na kwestye ogólnego znaczenia i zadania, które prawoznawstwo w bliższej lub dalszej przyszłości rozwijać winno. Znajdujemy więc rozprawy: o ogólnej teorii prawa, o teorii administracyi w stosunku do polityki społecznej, o sądach polubownych i autonomii prywatnej.

— ZEMMRICH: „Die Polen im Deutschen Reich.“ Globus zes. październikowy 1904. 8-o, str. 213.

Do rozprawy dodano dwie mapy, na pierwszej oznaczył autor sześcioma kolorami rozmieszczenie ludności polskiej w Niemczech podług spisu z r. 1900, ale tylko powiatami, bo ilu polaków w pojedynczych gminach się znajduje, nie ogłoszono. Na takim tle w wielu miejscach błędny występuje obraz, tem błędniejszy, o ile statystyka urzędowa sama przez się dokładnie stosunków narodowościowych nie zebrała. Na drugiej mapie uwydatniono wzrost i cofanie się ludności polskiej od r. 1890 do 1900.

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZEŚCIAŃSKICH wydawana pod kierunkiem *ks. Zygmunta Chełmińskiego* pomieszcza w XI i XII z. swoich wydawnictw dalszy ciąg „Podręcznej encyklopedyi kościelnej“ mianowicie tom III i IV od słowa „Augustyn św. do Bobadilla Mikołaj.“

— Ostatni zeszyt „EKONOMISTY“ z r. 1904, wyszedł z pewnem opóźnieniem. Za to objętość zeszytu została powiększoną. Na czele numeru widnie-

je aktualna praca *St. A. Kempnera*: „O obecnem przesileniu gospodarczem.“ Wywody autora, poparte bogatym materiałem cyfrowym, zasługują na baczność uwagę całej naszej prasy wobec groźnych rozmiarów tej klęski ekonomicznej, która dotknęła kraj cały. — Dziedzinę studyów historycznych reprezentuje praca *J. Kindelskiego* o „przemysle solnym,“ która stanowi cenny przyczynek do dziejów wewnętrznych Królestwa Kongresowego. — W dalszym ciągu bogaty materiał cyfrowy podaje *C. Łagiewski* w swej ciekawej pracy o „Stowarzyszeniach Kredytowych w Królestwie Polskiem,“ a *M. Handelsman* i *Z. Nagórski* w źródłowej monografii „O wsi Bochońnicy kościelnej pod względem ludnościowym.“

Wyczerpujące studjum statystyczno-społeczne *Dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej* o „Własności rolnej w krajach Austrii“ rozpatruje stan kwestyi w Czechach i na Morawach. — O „Ruchu współdzielczym w Anglii“ referuje *J. Lułostawski*. — O „Stanowisku Galicyi pod względem produkcji żyta i pszenicy w stosunku do ilości mieszkańców“ — *J. Arnold*. — Studjum o „Banku Rzeszy Niemieckiej“ zamieszcza *Dr. St. Pernaczyński* z Poznania. — Wreszcie doniosłą kwestyę ze względu na zapowiadane reformy, mianowicie sprawę „Ubezpieczenia robotników w Europie Zachodniej“ porównawczo zestawia *Bohdan Wasutyński*.

Dział „Kroniki ekonomicznej“ został opracowany przez *S. Dziewulskiego*, *W. Zuolińskiego*, *K. Kasperskiego* i *St. A. Kempnera* i porusza tematy najbardziej aktualne.

W końcu zeszytu znajdujemy obszerny dział „rozbiorów i sprawozdań“ i „Przegląd czasopism“ poświęconych przeważnie ekonomii i sprawom społecznym.

— PORADNIK JĘZYKOWY w zeszycie styczniowym br. podaje na czele zajmujący artykuł *Piotra Jaworza* p. t.: „O zmianie znaczenia rzeczowników.“ Jest to bardzo jasne streszczenie książki profesora Uniw. Jag. D-ra Jana Rozwadowskiego p. t.: „Wortbildung u. Wortbedeutung,“ którą ogłosił, polemizując ze słynnym dziełem Wundta „Völkerpsychologie.“ Prof. Rozwadowski stawia własną teorię, która ma wybitne znaczenie dla psychologii języka. W artykule „Teorya a praktyka językowa w naszych pismach codziennych,“ redakcyja zwraca uwagę na niedbałość niektórych pism o poprawny język. W rubrykach „Zapytania i odpowiedzi“ zestawia redakcyja obfity materiał, już to prostując błędne sposoby mówienia, już też wyjaśniając znaczenie właściwe pewnych wyrazów i zwrotów. Naprzykład wyraz „wylądować,“ piszą teraz często dzienniki: „Japończycy wylądowali silny oddział.“ Jest to błąd, źle po polsku, bo wylądować nie jest słowem przechodniem; mówić możemy: „wylądowaliśmy szczęśliwie,“ ale nigdy wylądować kogoś lub coś. Na to jest wyraz inny: „wysadzić wojsko na ląd.“

— PRZEGLĄD POLSKI pomieszcza w zeszycie za styczeń b. r. następujące artykuły: *Z epigramatów greckich. Przekłady wierszem W. Klingera*; — *Marcin Bielski i Erazm z Rotterdamu przez D-ra Tad. Sinkę*; — *Z dziejów Stolicy św. za Piusa VII przez X. Fran. Starowiejskiego*; — *Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi, pamiętniki barona Karola Heykinga (1752—1796) przez Teresę z Potoc-*

kich *Wodzicką* (ciąg dal.);— Sprawy krajowe: Po sejmie, II. Stosunki szkolne przez *D-ra Wład. Leop. Jaworskiego*;— Kronika literacka;— Teatr krakowski przez *D-ra F. Konecznego*;— Muzyka przez *Witolda Noskowskiego*;— Przegląd polityczny przez \* \* \*

Artykuł *D-ra* Tad. Sinki odsłania stosunek Bielskiego do Erazma z Rotterdamu. Autor udowadnia, że źródłem „Sejmu niewieściego“ Bielskiego jest utwór słynnego humanisty „*Senatulus sive Gynajkosynedriion*“ w książce „*Familiaria Colloquia*“, stwierdza przytem, że Bielski nie miał na myśli wcale jakiegoś ruchu feministycznego w Polsce XVI w., lecz poprawę rzeczypospolitej, a mianowicie egzekucję praw.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY zeszyt za styczeń 1905 r., pomieszcza następujące artykuły: „*Jaselka*“ akt II, *Lucyana Rydla*;— Z naszych spraw społecznych, *D-ra Leopolda Caro*;— Towarzystwa etyczne, *X. K. Krokoszyńskiego T. J.*;— Nowiny z historyografii polskiej (c. d.), *D-ra Fel. Konecznego*;— Pod dzisiejszą apologetykę: papieństwo, jako władza państwowa (dok.) *X. K. Czaykowskiego T. J.*;— Cud Madonny, nowela *Zofii Mrozowickiej*. Kończą zeszyt zasobne w treść rubryki stałe: Przegląd piśmiennictwa i Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— W bieżącym miesiącu ukaże się w Krakowie pierwszy zeszyt nowego czasopisma poświęconego specjalnie sprawom słowiańskim, a wychodzącego pod redakcją *d-ra Feliksa Konecznego*. Miesięcznik ten będzie nosił tytuł „*ŚWIAT SŁOWIAŃSKI*“ i według programu ma zawierać:

1) Artykuły i studia treści ogólnej, tyjące się dziejów, literatury i kultury oraz współczesnych prądów życia duchowego we wszystkich krajach słowiańskich.

2) Przegląd prasy słowiańskiej ze szczególnem uwzględnieniem prasy rosyjskiej.

3) Korespondencye z ziem słowiańskich ze szczególnem uwzględnieniem walki słowian z germanizmem, zwłaszcza na pograniczu polsko-niemieckiem.

4) Recenzye dzieł tyjących się Słowiańszczyzny.

5) Bibliograficzne notatki.

6) Kronikę.

Pismo to stawiające sobie za zadanie roztrząsanie spraw słowiańskich, ma dążyć do skupienia obok siebie wszystkich badaczy i znawców rzeczy słowiańskich, a szczególnie tych, którzy się zajmują sprawą rusińską w Galicyi i na Ukrainie, oraz kwestyą litewską.

Redakcyja między innymi kreśli następujące uwagi:

„*KWESTYA SŁOWIAŃSKA* nabiera coraz większej doniosłości. Wysunęła się na pierwszy plan szczególnie w ostatnich wraz z rozrostem militarnej potęgi Prus, pod której opiekunictwem skrzydłem germanizm, dążąc otwarcie do wytopienia polskości w obręb państwa pruskiego, zwraca zarazem swe zaburcze aspiracye w stronę Czech, marzy o Tryeście, Adryatyku i Bałkanie. Z drugiej strony Rosya wkraczała w ciągu XIX stulecia coraz dalej i głębiej w sprawy Słowian, a rosyjscy przedstawiciele idei słowiańskiej, usiłując pozyskać pobratymców naszych dla celów polityki swojej, stale przedstawiali

i przedstawiają nas, jako odstępców od sprawy słowiańskiej. Wobec tego zabranie głosu w Słowiańszczyźnie staje się dla nas potrzebą nagłą. W tym celu i pamiętając, że sama *idea łączności słowiańskiej jest w znacznej mierze naszym polskim wytworem*, i nie jeden raz wycisnęła piętno na dziejach naszych, zakładamy nasz miesięcznik, który będzie przeglądem rzeczy i spraw Słowiańskich ze stanowiska polskiego.“

## BIBLIOGRAFIA.

### TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIA.

BANDROWSKI BRONISŁAW: O metodach badania indukcyjnego, szkic historyczno-krytyczny. Sprawozdanie dyrekcji c.-k. gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie za rok szk. 1904. 8-o, str. 104 i 2 nl. Lwów, 1904. Nakł. fund. nauk.

GAJKOWSKI JAN KS.: Listy świętego Hieronima do Heliodora i Nepocjana o życiu pustelniczym, kapłańskim i zakonnem. Z łaciny na język polski przełożyli alumni kursów teologicznych seminarjum sandomierskiego. Przejrzał, poprawił i wydał... 8-o, str. 41. Warszawa, 1904.

LOMBROSO PAULINA: Życie dzieci. Studium psychologiczno-wychowawcze. Z upoważnienia autorki przełożył z włoskiego *Kazimierz Król*. Warszawa, 1904. 8-o, str. VIII + 185 + II.

NITOBÉ INARO PROF. DR. (Tokio): Bushido—dusza Japonii („Wiedza i Życie“, wydawnictwo związku naukowo-literackiego we Lwowie. Ser. III, tom III). Lwów, 1904. 8-o, str. 117.

PRUS BOLESŁAW (ALEKSANDER GŁOWACKI): Najogólniejsze ideały życia. Wyd. drugie, przejrzane. 8-o, str. 296. Warszawa, 1905. Nakł. J. Fiszera.

TARDIEU EMIL: Znudzenie. Studium psychologiczne przez... w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa. 8-o, str. 234. Warszawa, 1904. „Bibl. dzieł wyb.“ № 358.

WITWICKI WŁADYSŁAW DR.: Analiza psychologiczna objawów woli. Z 4-a figurami w tekście i 1-ą tablicą. (Archiwum Naukowe. Wydawnictwo Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Dział I, tom III, zeszyt 2-gi). Lwów, 1904. 8-o, str. 127.

ZDZIECHOWSKI M.: „Pestis perniciosissima.“ Rzecz o współczesnych kierunkach myśli katolickiej. Warszawa, 1905. 8-o, str. 95.

## HISTORIA LITERATURY.

BRÜCKNER ALEKSANDER: Apokryfy średniowieczne. Część II. Odb. z t. XL Rozpr. wydz. filol. Akad. Umiejęt. 8-o, str. 85. Kraków, 1904. Nakł. Akad. Spółka wyd. pols.

TENZE: Różnowiercy polscy. Szkice obyczajowe i literackie. Serya I. 8-o, str. 280. Warszawa, 1905. Nakład księgarni Naukowej.

FELDMAN WILHELM: Współczesna literatura polska 1890—1904. Tom I z 35-a ilustracjami w tekście i 2-a rycinami kolorowemi. Tom II z 18-a ilustracjami w tekście i 2-a rycinami. Wydanie trzecie. 8-o, t. I str. 292, t. II str. 251. Warszawa, 1905. Nakład J. Fiszera.

NAŁKOWSKI WACŁAW: Sienkiewicziana. Szkice do obrazu. Kraków, 1904. 8-o, str. 87.

PACZOSA FRANCISZEK: Ks. Franciszek Bohomolec. S. J. życie i dzieła. Sprawozdanie dyrekcji c.-k. gimnazjum w Jasle za rok szkolny 1904. 8-o, str. 64. Jasło, 1904. Nakł. fund. nauk.

TOWARZYSTWO wyższych kursów wakacyjnych. Sprawozdanie zarządu z czynności od 1 października 1903 do 30 sierpnia 1904. 8-o, str. 19. Kraków, 1904. Nakł. Tow.

WASILEWSKI ZYGMUNT: Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu. Lwów, 1905. 8-o, str. 300.

## H I S T O R Y A.

20 listopada 1904 r. Na pamiątkę uroczystości poświęcenia kaplicy króla Jana Sobieskiego i odsłonięcia tablicy na Kahlenbergu pod Wiedniem. 8-o, str. 40. Wiedeń, 1904. Nakład Komitetu.

GĄSIOROWSKI WACŁAW: Pamiętniki wojskowe *Józefa Grabowskiego*, oficera sztabu cesarza Napoleona I, 1812—1813—1814. Za zezwoleniem biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie opracował Wacław Gąsiorowski. Warszawa, 1905. 8-o, str. XIV + 344.

GEMBARZEWSKI BRONISŁAW: Wojsko polskie. Księstwo Warszawskie 1807—1814, z przedmową Szymona Askenazego. 4-o, form. duży, str. XII, 362 i LIII, z licznymi rycinami. Warszawa—Kraków, 1905. Gebethner i Wolff.

ŁAGOWSKI STANISŁAW DR.: Radzymin, miasto powiatowe gub. Warszawskiej. Od czasu jego założenia aż do naszych dni, z 11-a rysunkami. Warszawa, 1905. 16-o, str. 48.

KONIC HENRYK: Komisya rządząca 1807 r. Przez... (Odb. z „Wielkiej Encykl. Powsz. ilustr.“). 8-o, str. 115. Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

NIEMCEWICZ J. U.: Żywoty znacznych ludzi w wieku XVIII, wydał dr. A. M. Kurpiel. 8-o, str. 40. Kraków, 1904. Nakł. wyd. „Nowej Reformy.“

RAKOWSKI KAZIMIERZ DR.: Dzieje W. Księstwa Poznańskiego w zarysie (1815—1900). Z portretem autora i mapką Poznańskiego. Kraków, 1904. G. Gebethner i Spółka. 8-o, str. 286.

REMBOWSKI ALEKSANDER: Spadek piśmienniczy po generale Maurycym hr. Hauke. Z rękopismu wydał i przedmową poprzedził Aleks. R. Z 6-iu rycinami. Warszawa, 1905. 8-o, str. LXI + 419.

SZELAĞOWSKI ADAM: O ujście Wisły. Wielka wojna Pruska (Sprawa Północna w wiekach XVI i XVII. Cz. III). Kraków — Warszawa, 1905. 8-o, str. XVI + 463.

UDZIELA M. DR.: Wodociągi przemyskie w XVI w. Przyczynek do dziejów miasta Przemyśla (ze źródeł archiwalnych przemyskich). 8-o, form. wydł., str. 19. Przemyśl, 1904. Nakł. autora.

#### PRAWO. — EKONOMIA.

BORZEMSKI ANTONI: Powiat Sanocki w cyfrach (Studyum statystyczne) Sanok 1904. 8-o, str. 116.

BUTLER JÓZEF: Mój pochod krzyżowy. Zarysy autobiograficzne żywota i pracy. Z przedmową S. Posnera (Biblioteka abolicjonistyczna. Dodatek Ognia, kwartał IV, 1904). Warszawa, 1904. 8-o, str. 131.

COHN AD. J.: Stosunki ekonomiczne żydów w państwie rosyjskiem. Odbitka z „Izraelity.“ Warszawa, 1905. 5-o, str. 77.

DĄBKOWSKI PRZEMYSŁAW DR.: Rękojemstwo w prawie polskiem średniowiecznem. (Archiwum Naukowe. Wydawnictwo Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Dział I. Tom III. Zesz. I). Lwów, 1904. 8-o, str. 254.

PIETKIEWICZ ZENON: Siły i środki ludu naszego. Zarys warunków ekonomicznych ludności włościańskiej w Królestwie Polskiem. 8-o, str. 202. Warszawa, 1905. Wyd. z zapomogą Kasy im. J. Mianowskiego. Księg. Naukowa.

REGULAMIN dla czynności rad gminnych w miastach i znaczniejszych miejscowościach, objętych ustawą gminną z 3 lipca 1896 dz. u. kr. Nr. 51. 8-o, str. 12. Wadowice, 1904. Nakł. gminy miasta Andrychowa.

RUNDSTEIN SZYMON DR.: Studya i szkice prawne. Lwów, 1904. Polskie Tow. Nakładowe. Str. 235.

#### S Z T U K A.

LEPSZY LEONARD: Muzeum dyecezyalne w Tarnowie. Odb. z Teki gro-  
na konserwatorów II. 8-ka duża, str. 24 z 22 ryc. Kraków, 1905.

MUTHER RYSZARD PROF.: *Historya malarstwa. V. Malarstwo w epoce rokoka tudzież wielkiej rewolucyi. Przełożył Stanisław Wyrzykowski.* Warszawa. Nakładem T-stwa, 1905. 8-o, str. 168.

MUZEUW NARODOWE W KRAKOWIE: Przewodnik pobieżny po wystawie zabytków ceramicznych. 8-o format wydł., str. 19. Kraków, 1904.

SPRINGER A.: *Powszechna illustrowana historia sztuki przez... przekład polski Kazimierza Broniewskiego. Tom IV. Część II. Sztuka czasów nowych. W tekście 292 ilustracyj. 8-o f. duży, str. 333 + VI.* Warszawa, 1904. Dodatek do „Gaz. polskiej.“ Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp.

## P O W I E Ś Ć.

(ASNYK ADAM) El...y: *Wybór poezyi.* Wyd. 2-ie. 16-ka, str. 338. Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

BRODOWSKI FELIKS: *Liote. Nowelle: (Liote.—Dziecię Symchy.—Ponad wszystkim.—Tomasz Sitok.—Po co dzień ich budzi).* Warszawa, 1905. 8-o, s. 257.

BRODZIŃSKI KAZIMIERZ: *Wiesław. Sielanka.* Wyd. czwarte. 8-o, str. 32. Warszawa, 1905. Nakł. księg. St. Bukowieckiego.

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska): *Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem. Cz. IV.* Warszawa, 1904. (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 361). 8-o, str. 159.

GERMAN JULIUSZ: *Lilith. Trzy akty.* Lwów, 1905. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 8-o, str. 131 + 4.

PRUS BOLESŁAW (Aleksander Głowacki): *Pisma. Wydanie Jubileuszowe. 8-o, t. I str. 351, tom II str. 312, t. III str. 345, t. IV str. 283.* Warszawa, 1904. Wydanie drugie. Skł. w księg. Gebethnera i Wolffa.

JANKOWSKI CZESŁAW: *Wspomnienia.* 8-o, str. 55. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa.

JASIŃSKI STANISŁAW: *Poezye. Wyd. nowe, powiększone. T. I.* 8-o, str. 147. Lwów, 1905. W. Zukerkandel. Z portretem autora.

JEDNODNIÓWKA ku czci Juliusza Słowackiego. (Dochód przeznaczony na sprowadzenie zwłok jego do ojczyzny). Kraków, 1905. 8-o, str. 151 + 2.

KASPROWICZ JAN: *Uczta Herodyady. Poemat dramatyczny w trzech aktach. Z cyklu „Na wzgórzu śmierci.“* Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, Wende 1905. 8-o, str. 194.

LAGERLÖF SELMA: *Legendy Chrystusowe, przekład Wandy Młodnickiej.* 8-o, str. 2. Lwów, 1905. Księg. Polska, E. Wende i Sp. w Warszawie.

LENARTOWICZ TEOFIL: *Żywot starego żołnierza. Pogadanka zimowa podchwycona i powtórzona wierszem. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Antoni Euz. Baliński.* 8-o f. mały, str. 59. Kraków, 1905. Nakład A. Piwarskiego i Sp.



MACIEJOWSKI JÓZEF: Grzech. Dramat w IV aktach. Kraków, 1904. Nakładem księgarni Fabiana Himmelblaua. Warszawa, Jan Fiszer. 16-ka, str. 96.

MARCINOWSKA JADWIGA: Przeblyski. Kraków, 1905. 8-o, st. 114 + 1.

OR-OT: Z teki Jana Olszewskiego miłośnikom pamiątek, z wierszem wstępnym i zakończeniem, przez... Folio podł. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff.

PRZECLAWSKA JANINA: Dusza. Fantazya dramatyczna w czterech obrazach. Warszawa, 1905. 8-o, str. 112 + 1.

RENAN ERNEST: Dzieła. (Wybór). Dramaty. Przekład G. Centnerszewe-  
rowej. 8-o, str. 96. Warszawa, 1905. Wyd. „Przeł. Tygodn.“

SIENKIEWICZ HENRYK: Na marne. (Pisma tom LXXIV). Warszawa, 1905. 8-o, str. 202.

SZIMACZEK M. A.: Obrazki z życia. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kie-  
tlińska-Rudzka. 8-o, str. 126. Warszawa, 1904. „Bibl. dz. wyb.“ Nr. 359.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: Poezye I. Wyd. 3. 8-o, f. mały, str. 170  
i 3 nl. Warszawa—Kraków, 1904. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

WEYSSENHOFF JÓZEF: Syn Marnotrawny. Warszawa. Nakład Gebethne-  
ra i Wolffa 1905. 8-o, str. 447.

ŻMUDZKI WACŁAW: Księga bytu. Lwów, ks. narodowa 1905. 8-o, str. 69.

ŻULAWSKI JERZY: Eros i Psyche. Lwów, Altenberg 1904, z rycinami.  
8-o, str. 268.

## NAUKI ŚCISŁE.

LANDERER A. DR.: Dyagnostyka chirurgiczna dla praktyków i studen-  
tów. Spolszczył dr. Kazimierz Niedzielski. Część II. Dyagnostyka szczegó-  
łowa. Z 66 rysunkami w tekście. 8-o, str. 223 + III. Warszawa, 1904. Nakł.  
„Bibl. Lek.“ „Bibl. lekarska“ rok II. Tom VII.

ROCZNIK c.-k. centralnego biura hydrograficznego. IX rocznik. 1901,  
XII. Dorzecze Wisły. 4-o, str. 191 z mapą poglądową 1:750,000. Wiedeń,  
1903. W. Braumüller.

— XIII. Dorzecze Dniestru i Dniepru. 4-o, str. 101 z mapą poglądową  
1:750,000. Wiedeń, 1903.

— XIV. Dorzecze Seretu i Prutu. 4-o, str. 61 z mapą pogl. 1:750,000.  
Wiedeń, 1903.

ROSTAFIŃSKI JÓZEF: Prowincjonalne polskie nazwy roślin XVIII w.  
z Prus Książęcych, głównie z rękopisu Andrzeja Helwina.

SIMROTH H.: Biologia zwierząt tłómaczył Jan Sosnowski. Warszawa,  
1905. 8-o, str. 293.

SONNENBERG E. DR.: O błędach lekarskich ze stanowiska nauki i w obliczu prawa. (Odb. z „Czasopisma Lek.“ Nr. 1—5). 8-o, str. 94. Łódź, 1904. Skł. gł. w ks. Ryehl. i Wegnera. Skł. gł. w ks. J. Fiszera w Warszawie.

TAŃSKI JULIAN: Kilka słów w sprawie sanitarnej z powodu działań wojennych. 8-o, str. 36. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. J. Fiszera.

VRIES HUGO DE: Nowa teoria powstania gatunków. Mutacje i okresy mutacyjne. Przełożył i wstępem opatrzył B. Hryniewiecki. Z 8 rysunkami w tekście. 8-o, str. 55. Warszawa, 1905. Nakł. księg. Naukowej.

WEYBERG Z.: Wiadomości początkowe z krystalografii według dzieł *G. Wulffa* i *T. Lebischa*. Warszawa, 1905. 8-o, str. 251 (z liczn. rycinami).

